

Raport: Jak przebiega śledztwo smoleńskie



Oko w oko z prezes TK
Julią Przyłębską

Zagraniczne firmy
wciskają nam kit



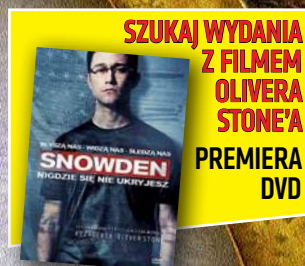
TYGODNIK LISICKIEGO

DO PZECZY

NR 12/214 20-26 MARCA 2017

CENA 6,90 zł (w tym 8% VAT)

WALDEMAR ŁYSIAK
DEMASKUJE
PATOLOGIE
WSPÓŁCZESNEJ „SZTUKI”



Dał nam przykład Orbán, jak walczyć o swoje

Opracowanie graficzne na podstawie portretu księcia Metternicha z 1822 r.
autorstwa Friedricha Johanna Gottlieba Liedera



VIKO YACHTS
— EST 1987 —



VIKO 20, VIKO S 21, VIKO S 22, VIKO 23, VIKO 25, VIKO S 26, VIKO 27DS, VIKO S 30 , VIKO 40



VIKO YACHTS

www.vikoyachts.com

e-mail: info@vikoyachts.com,

tel. + 48 61 670 96 05, + 48 61 306 71 71

Poznań - Zakrzewo, ul.Przemysłowa 24-37

eprasa.pl 398251d2ad



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Holenderska lekcja

Europa odetchnęła z ulgą – w takim tonie utrzymana jest większość komentarzy po wyborach w Holandii. Jedni ogłaszają odwrót populistów, inni cieszą się, że demokratyczna tama wytrzymała napór. Wbrew temu, co pisze większość mediów, ani zwycięstwo rządzących nie było przytłaczające, ani antyimigrancka partia Geerta Wildersa nie doznała klęski. Przeciwnie – poparcie dla niej wyraźnie wzrosło. Z polskiego punktu widzenia najbardziej istotne było co innego: można było na własne oczy zobaczyć, do czego prowadzi nieodpowiedzialna i nierozumna polityka imigracyjna. Paradoksalnie to właśnie głoszona przez Wildersa polityka „deislamizacji” odniosła prawdziwe zwycięstwo, nawet jeśli jej główny głosiciel i rzecznik skorzystał na tym w mniejszym stopniu, niż mógł się spodziewać. Brutalna prawda jest bowiem taka, że największy wpływ na wybór dokonany przez Holendrów mieli mieszkający wśród nich Turcy. Z tym akurat większość analityków się zgadza: premier Mark Rutte zachował

władzę dzięki stanowczości, jaką okazał w ciągu ostatnich kilku dni wobec 400-tysięcznej mniejszości tureckiej w swoim państwie.

Po raz pierwszy od niepamiętnych lat Holendrzy wystali przeciw demonstrantom w Rotterdamie konne oddziały policji, nie ugięli się też pod naciskiem rządu w Ankarze i ze spokojem znieśli wściekłe tyrady tureckich polityków, oskarżających ich o nazizm i faszyzm. Nie znaczy to jednak, że sprawy nie było ani nie ma. Lekcja dla Polski, która płynie z zająć w Rotterdamie, jest oczywista: nie wolno za żadne skarby pozwolić na osiedlenie się w Polsce dużych skupisk islamskich imigrantów. W oczywisty sposób punktem odniesienia dla nich nie będą bowiem interesy polskie, ale interesy państwa, z którego przybyli. Przypadek holenderski mówi sam za siebie: Holendrzy dopuścili do tego, że mniejszość turecka stała się swoistym państwem w państwie albo też swoistym narodem w narodzie. Dla tej mniejszości najważniejsze

jest to, co ma do powiedzenia Ankara – to jest ich prawdziwy punkt odniesienia. Więcej: Turcja, właśnie za pośrednictwem tak dużych grup emigrantów, może skutecznie destabilizować sytuację polityczną w niektórych państwach Unii. A przecież, co warto zauważyć, spośród różnych grup muzułmanów Turcy są najbardziej zeświecczeni, najmniej przeniknięci ideologią fundamentalizmu. Mimo to nie asymilują się z Holendrami. Różnice religijne, kulturowe i cywilizacyjne są nie do przezwyciężenia.

Jeśli zatem tak wygląda sytuacja z Turkami, to co powiedzieć o innych mniejszościach islamskich? Trudno mieć wątpliwości, że politycy unijni, którzy otwierają granice swych państw dla muzułmańskich imigrantów, zachowują się jak dzieci, które bawią się zapalnikami w pobliżu składów benzyny. Tworzą na przyszłość kolejne ogniska zapalne, przygotowują grunt pod przyszłe konflikty i starcia.

Prawdziwym wnioskiem, jaki powinni wyciągnąć przywódcy europejscy z tej awantury, powinien być radykalny sprzeciw wobec otwartej polityki imigracyjnej. Europa może przetrwać tylko wówczas, jeśli będzie umiała chronić swoją tożsamość kulturową i cywilizacyjną. Dobrze, że rozumieją to przynajmniej politycy państw Europy Środkowej, przede wszystkim obecny polski rząd. Kiedy następnym razem

mędrcy z Brukseli, Rzymu, Berlina czy innych ostoji postępu będą ich próbowali przekonać do otwarcia się na imigrantów, niech pokażą zdjęcia płonących ulic Rotterdamu. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CZEGO UCZY NAS ORBÁN?

Polska szarża i realizm Węgrów

20 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM

TO NIE MY POSZLIŚMY NA ZWARCIE



KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI

GRY SMOLEŃSKIE

Czy wiemy coś więcej o katastrofie Tu-154M?

28 PIOTR SEMKA

KRAJOBRAZ PO BITWIE

30 ROZMOWA Z JULIĄ PRZYŁĘBSKĄ

NIE OBAWIAM SIĘ TRYBUNAŁU STANU

33 KRZYSZTOF MASŁOŃ

MAJSTER SŁOWA

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

CZAS RZEK

38 MACIEJ PIECZYŃSKI

EKSSPORTOWANI FACHOWCY

40 ODPOWIEDŹ MKiDN NA TEKST

MAGDALENY OGÓREK

ODZYSKIWANIE DZIEŁ

KULTURA

42 WALDEMAR ŁYSIAK

UPADEK SZTUKI

Patologia sztuki współczesnej

50 ANDRZEJ HORUBAŁA

WEEKEND Z TRÓJCĄ ŚWIĘTĄ

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 DOMINIK ZDORT

MŁOT NA FRANCISZKA

O książce „Poza polityczną poprawność”

Pawła Lisickiego

60 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

APOLOGIA PRO APOSTASIA

62 PIOTR ZYCHOWICZ

FAŁSZYWA HISTORIA

MISTRZYNIĄ FAŁSZYWEJ POLITYKI

HISTORIA

66 MAREK TROJAN

PRZESZŁOŚĆ CIEŚLI Z MINNEAPOLIS

Na tropie ukraińskiego zbrodniarza

ŚWIAT

70 WITOLD REPETOWICZ

TURECKI ATAK NA HOLANDIĘ

Destabilizacja Europy

72 JACEK PRZYBYLSKI

EFEKT SNOWDENA

75 SZEWACH WEISS

NAZWISKA W ŻYDOWSKIEJ TOŻSAMOŚCI

76 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

POLSKA NAD PARANĄ

78 JOANNA BOJAŃCZYK

MODA MADE IN POLAND

EKONOMIA

80 ROZMOWA Z TOMASZEM PISULĄ

KONIEC HANDLU JAK ZA PRL

Pomoc dla polskich firm inwestujących za granicą

84 EDYTA HOŁDYŃSKA

EUROPA DWÓCH JAKOŚCI

SPORT

88 ROZMOWA Z SZYMONEM KOŁECKIM

CIOŚ ZAWSZE MIAŁEM MOCNY

Ciężarowiec wchodzi do klatki w MMA



FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZAŁSKI (56), ZALEWSKI, WOLSKI (65), ZYCHOWICZ, KOPER (68), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Prezesi kontra Kukiz

Prezesi spółdzielni mieszkaniowych chcą zablokować ustawę Kukiz'15, która ma m.in. narzucić kadencyjność na tym stanowisku. W wielu miastach lokatorzy spółdzielczych mieszkań są wzywani do protestu.

„Zarząd Spółdzielni »Osiedle Młodych« w Poznaniu informuje, że w Sejmie RP znajduje się projekt ustawy o spółdzielniach mieszkaniowych, który zakłada m.in. ustawowe zastąpienie spółdzielni wspólnotami mieszkaniowymi bez prawa wyboru przez członków. SM »Osiedle Młodych« na znak sprzeciwu przygotowało protest” – obwieszczenia tej treści wywieszono w wielu blokach na poznańskich osiedlach. Jest też informacja, gdzie lokatorzy mogą podpisem dołączyć do protestu. Jak dowiedziało się „Do Rzeczy”, podobne ogłoszenia pojawiły się w lokalach pozostających w zarządzie spółdzielni mieszkaniowych w całej Polsce.

– Ze spółdzielniami mieszkaniowymi w obecnej formie walczymy od początku kadencji. Uwłaszczyła się w nich, podobnie jak na ogródkach działkowych, stara postkomunistyczna sitwa, ludzie dawnych układów stworzyli swoje sobiepaństwo często wbrew interesom lokatorów – mówi nam Paweł Kukiz, lider Kukiz'15.

Jego klub w styczniu złożył projekt nowelizacji ustawy o spółdzielniach mieszkaniowych. Zakłada m.in., że członek władz spółdzielni mógłby pełnić swoją funkcję najdłużej sześć lat. Posłowie Kukiz'15 chcą także pełnej jawności wszystkich dokumentów podpisywanych przez władze spółdzielni. Projekt wprowadza też rozwiązania ułatwiające przekształcanie się lokali w zarządzane przez samych lokatorów wspólnoty mieszkaniowe.

– Chodzi o to, by oddać spółdzielnię samym spółdzielcom, by wyeliminować nepotyzm, dziwne przetargi, niejawne zlecenia – opowiada nam poseł Jarosław Sachajko (Kukiz'15), współautor ustawy.

Kukizowcy przypominają, że od 2000 r. przy każdej próbie nowelizacji ustawy o spółdzielniach takie zmiany próbowano blokować. Wśród polityków Kukiz'15 mówi się też, że jednym

z elementów takiej kampanii mogła być ubiegłotygodniowa publikacja jednego z tabloidów, w którym zarzucono Kukizowi wykup w 2010 r. od warszawskiego magistratu 37-metrowego mieszkania w Warszawie za 25 tys. zł. Publikacja sugeruje nieprawidłowości. W rzeczywistości ówczesne przepisy, które miały doprowadzić do oddania mieszkań komunalnym ich użytkownikom, pozwalały na wykup mieszkania z nawet 90-procentową bonifikatą. **Wojciech Wybranowski** @@



POKRÓTCE

Piotr Wierzbicki

Europejskie standardy

Oficjalna opinia wystawiona polskiemu kandydatowi na szefa Rady Europejskiej podnosi jego doświadczenie, kompetencje, energię, twórczą aktywność, z czym też powszechnie się zgadzano. Jako że jednak zaraz potem głosowano „przeciw”, wypada sobie zapamiętać, by na przyszłość, gdy trzeba będzie załatwić dla nas w Europie jakiś stołek, rząd złożył solenne zapewnienie innej treści: leniwy, bierny, bez wizji, zrobi wszystko, co mu każą. @@

REKLAMA



#DrapZdrapki
Na MILION
sposobów!



Droży Czytelnicy,

W tym tygodniu list otwarty w sprawie ustawy o prawie łowieckim oraz polemika z głośnym tekstem Rafała A. Ziemkiewicza o „pelikanach”. Zapraszamy oczywiście do naszego serwisu na stronie: www.dorzeczy.pl.

Drogi Panie prezesie Kaczyński

Jestem wielkim fanem Pana intelektu i politycznej wytrwałości, niestety Pana podwładni nie zawsze potrafią Panu dorównać.

Piszę do Pana w związku z dzisiejszym głosowaniem nad ustawą o prawie łowieckim. Zapewne wie Pan, że pan Szyszko, jako zapalony myśliwy, może nie mieć sprawiedliwego, bezstronnego podejścia do sprawy.

Doskonale wie Pan na pewno, że nasza przepiękna przyroda to część naszego dziedzictwa narodowego,



chodzenie po lasach czy zbieranie grzybów to część naszej kultury, dużo powszechniejsza niż łowiectwo, brutalna i anachroniczna rozrywka szlachty. Ma Pan też pięknego kota. Ja sam mam psa i dwa koty, i nie przeżyłbym, gdyby ktoś na spacerze zastrzelił moją cudowną suczkę. Pod nowym prawem taki ktoś nie poniesie praktycznych konsekwencji.

Nowe prawo przeniesie nas z powrotem w czasy feudalne, gdzie panowie myśliwi mają władzę absolutną nad lasem, mogą wyrzucać ludzi, są panami życia i śmierci, mogą wtargnąć na teren prywatny, są usprawiedliwieni, gdy zabiją komuś zwierzę. Są to szokujące przywileje, które łatwo mogą zostać nad-

użyte, szczególnie w środowisku, które jest znane z uprawiania swojej „pasji” w stanie upojenia alkoholowego.

Znane są przypadki śmiertelnego postrzelenia ludzi, którzy znajdowali się w pobliżu lasu podczas polowania, również wzajemne postrzelenia wśród myśliwych, także śmiertelne. To pokazuje, że myślistwo to niebezpieczna „zabawa” dla elity i tę wątpliwą szlachecką tradycję trzeba wygaszać, nie proliferować.

Mam wielką nadzieję, że przekonam Pana do interwencji w tej sytuacji, która może się przeistoczyć w kolejny kłasek dla mediów lub, nie daj Boże, społeczne niepokoje i wzrost niechęci do Pańskich idei, których Polska tak potrzebuje.

Paweł Gnatowski

„Czas pelikanów”

Kompletnie chybiona jest podstawowa teza Rafała A. Ziemkiewicza („Do Rzeczy” 10/2017), że PiS obsługuje wyłącznie swój zdeklarowany elektorat. Socjalny może tak, ale nie patriotyczny, który cierpliwie czeka m.in. na repolonizację mediów, aneks w sprawie WSI, pełne otwarcie archiwów, rzeczywiste, a nie teatralne rozliczenie poprzednich rządów, wznowienie śledztw dotyczących śmierci ks. Popiełuszki, Leppera, Petelickiego.

Kolejne twierdzenia Ziemkiewicza wzbudzają zdumienie, poczynając od: „Polska tak wściekle skłócona, jaką pospołu stworzyli Tusk i Kaczyński”. Reprezentanta niemieckich interesów i jego wyznawców wygaszania Polski należy zrównywać z przywódcą obozu patriotycznego? To nie wojna polsko-polska tylko konflikt Polaków z ludźmi obcymi naszej tradycji i kulturze, marzących o rządach komisarzy unijnych.

Porozumienie ponad podziałami to wytarty frazes w sytuacji wściekłej, dla których nawet program likwidacji gimnazjów jest nie do przyjęcia. Jakie jest wyjście z tego stanu przedrozbiorowego? Wystarczy wysuszyć źródła dywersji propagandowej. Kilkaset osób w skali całego kraju kieruje antypolskimi akcjami i dziw bierze, że służby państwowe są tak bezzadne. Pewnie dlatego, że rząd boi się zarzutów o łamanie demokracji, woli tolerować wroga wewnętrznego, który rośnie w poczuciu bezkarności.

[...]

(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jack Pzybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zbroński (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoi,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Choś (Bruksela),
Krzysztof Czański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska,
Jarosław Kałucki, Katarzyna, Jack Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk
(Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz
Majchrzyk, Marcin Malowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka
Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkos, Anna Piotrowska, Jan
Pospieszański, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tymand,
Paweł Wawrzynski, Szwach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczek, Marcin
Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), **Jack Nadratowski,**
Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysowniki: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **The Metropolitan Museum of Art, Getty Images;**
oprac. graf. MIDAS/JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi
w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisicki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzczy.pl; tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 119 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Sędzia **nieznany**

Rząd Niemiec naciska na media społecznościowe, aby ukrócić w nich plagę fejków i mowy nienawiści – donosi portal Deutsche Welle. Według tych informacji władze RFN „zamierzają wprowadzić horrendalne kary za rozpowszechnianie karalnych treści na Facebooku i Twitterze”. Jak czytamy w informacjach zza Odry: „Przewidziane są grzywny do 50 mln euro, jeśli przedsiębiorstwa takie jak Facebook czy Twitter nie usuną karalnych treści w ciągu 24 godzin od wypłynięcia zażalenia. Ponadto co trzy miesiące te korporacje mają publikować raport na temat skarg. Jeśli tego nie zrobią lub jeśli nie uwzględnią uzasadnionych zażaleń, to również zapłacą karę. Osoba odpowiedzialna, która nie usunie postu zawierającego karalne treści lub robi to za późno, musi liczyć się z karą do 5 mln euro”. Takie zapowiedzi sformułował niemiecki minister sprawiedliwości Heiko Maas.

Urzędnicy resortu sprawiedliwości RFN, tłumacząc potrzebę szybkiego zaostrzenia kar, przywołują dwa najbardziej znane przypadki, gdy zmistyfikowane

sensacje rozhuśtały emocje społeczne, nad którymi trudno było zapanować. Tak było w styczniu 2017 r., gdy na fali oburzenia noworocznymi gwałtami w Kolonii w Internecie pojawiły się pogłoski o rzekomym gwałcie zbiorowym dokonany przez imigrantów na 13-letniej Lisie F. Policja i prokuratura szybko ustaliły, że było to kłamstwo, ale nie przeszkodziło to szefowi dyplomacji rosyjskiej, Siergiejowi Ławrowowi wytykać Angeli Merkel „zamiatanie sprawy pod dywan”. Poruszeni pogłoskami Niemcy rosyjskiego pochodzenia zorganizowali nawet demonstracje w kilku regionach kraju.

Innym przykładem „fake-newsa” mogącego mieć trudne do wyobrażenia konsekwencje była informacja na temat domniemanego gwałtu żołnierzy Bundeswehry, służących w bazie na terenie Litwy, na miejscowej dziewczynie.

W tych dwóch przywoływanych jako klasyka „fake-newsu” sprawach nie ma sporu. Rosjanie od lat podejrzewani są o zalewanie sieci takimi fałszywkami. Więcej wątpliwości

budzi inne pytanie: Jak zdefiniować jasno „fake-newsa” i mowę nienawiści? Przecież oprócz oczywistych kłamstw i wyzwick istnieje wiele wpisów, które mają charakter oceny lub kwalifikacji moralnej. A sugestie rządu RFN sugerują szybkie ścieżki działania i wysokie kary.

Prawicowcy obawiają się dodatkowo braku symetrii. Polityczna poprawność każe interweniować operatorom portali w razie najłżejszej nawet krytyki imigrantów, a jednocześnie moderatorzy pozostają bierni, gdy obraża się uczucia religijne. Jeśli w grę wchodzi dodatkowo gigantyczne kary, to nasuwa się kolejne pytanie: Kto będzie rozsądzał, co jest kłamstwem, a co nie?

Polska prawica dobrze pamięta zeszłoroczne perypetie z usuwaniem z Facebooka stron Marszu Niepodległości, gdy wyszło na jaw, że takie decyzje podejmowały jakieś tajemnicze gremia w odległej Irlandii.

Bezpieczeństwo w sieci jest ważne, ale groźba cenzurowania mediów w imię absolutnej ochrony wolności mocno niepokoi. ©



FOT. ALEKSIE WITWICKI/FORUM

TUSK PRZEKŁADA ZEZNAWANIE

Prokuratura wezwała Donalda Tuska, by jako świadek złożył zeznania w sprawie dotyczącej umowy o współpracy Służby Kontrwywiadu Wojskowego z rosyjską FSB, którą podpisano po katastrofie smoleńskiej w 2010 r. Nowo wybrany szef Rady Europejskiej miał zeznawać w ubiegłym tygodniu, ale poinformował śledczych, że nie dotrze do Polski z powodu ważnych obowiązków (m.in. składania sprawozdania ze szczytu UE). Tusk poprosił prokuraturę o wyznaczenie innego terminu. (luz) ©

Dokładnie wiedzieli, czego chcą i że mogą to osiągnąć wyłącznie dzięki piwu. Kiedy inne zamki rozrastały się z powodu wojen lub ambicji swoich panów, właściciele warowni w Namysłowie postawili na złoty napój, wygrywając w ten sposób los na historycznej loterii

Namysłów leży ok. 60 km od Wrocławia i niemalże tyle samo od Opola. Gdyby spojrzeć na miasto z lotu ptaka, jego najstarsza część wygląda jak okręt, na którego dziobie stoi potężny zamek, masztem zaś jest wieża ratusza. Od wieków niemal każdy mieszkaniec produkował tu piwo, choć miało ono zupełnie inny smak niż to, które znamy dzisiaj. Wystarczy przypomnieć, że Ludwik IX, francuski władca z XII w., piwo pijał w ramach pokuty, równocześnie w tym samym czasie uważano je w niektórych krajach za afrodyzjak. Nie wiemy, jak oceniliby je dzisiejsi koneserzy, wiemy natomiast, że było napojem codziennym, bezpieczniejszym od pełnej zarazków wody i miało niewiele alkoholu. Było za to bardzo kaloryczne i wspomagało zdrowie. Za piwem szły także pieniądze, dlatego z czasem na namysłowskim rynku pojawili się trzej potężni liderzy: browary książęcy, franciszkański i zamkowy. Od samego początku na prowadzenie wyszedł ten ostatni.

Jak chce tradycja, już w 1348 r. zamkowe piwo mieli pić tu Kazimierz Wielki i Karol IV Luksemburski. Kroniki wspominają, że każdy tutejszy gość był witany przede wszystkim piwem, a dopiero potem winem, chlebem, owsem oraz mięsem. Władcy doświadczali tej gościnności w dwójnasób. Stuknięcie szklanicami przypieczętowało nie tylko pokój między dwoma królami, lecz także ich dożgonną przyjaźń. Po raz pierwszy dała o sobie wtedy znać pokojowa moc złocistego napoju.

TOAST ZA CESARZA

Namysłów zakochał się w Karolu Luksemburskim nie tylko dlatego, że za sprawą jego ojca śląskie piwa trafiły do Czech. Po przejęciu Śląska król i przyszły cesarz ufortyfikował miasto i w miejscu wcześniejszego drewnianego zamku wznosił kamienny. Zgod-



nie z ówczesnym zwyczajem kamień węgielny położył w porze dokładnie wyznaczonej przez astrologów, zaczynając – jak twierdzą kronikarze – złotą erę Namysłowa.

Ambicje Karola szły jednak znacznie dalej. Nie podporządkowało mu się jeszcze pobliskie księstwo świdnicko-jaworskie, ważne ze względów politycznych. Władca załatwił więc tę sprawę zgodnie z ówczesnymi standardami. Ożenił się z Anną, księżniczką świdnicką. Była jego trzecią i przedostatnią żoną. W 1355 r. Luksemburczyk włożył na skronie koronę cesarską, czyniąc w ten sposób Annę, jako jedyną Piastównę w naszej historii, cesarżową. Przy okazji jednak stracił klejnoty koronne, które w wianie

przywiozła mu poprzednia, francuska żona. Żeby zostać cesarzem, potrzebował środków, klejnoty małżonki zastawił więc na Śląsku, kilkadziesiąt kilometrów od ulubionego Namysłowa. Zostały odnalezione dopiero w 1986 r. i dziś znane są jako Skarb Tysiąclecia.

Mimo problemów finansowych Luksemburczyk wracał do Namysłowa jeszcze przynajmniej cztery razy. Nie szczędził pieniędzy na budowę murów miejskich, zawsze witany był z przepychem i pełną szklanicą. Namysłów uhonorował Karola, nazywając na jego cześć cesarską groblę za zamkiem. Ufortyfikowanie miasta wiązało się przecież nie tylko z bezpieczeństwem mieszkańców, lecz także z nadaniem mu odpowiedniej



Zamek należący dziś do Browaru
Namysłów FOT. BARTĘK SADOWSKI

rangi i prestiżu. Wystarczyło jednak zaledwie kilka lat pokoju, żeby namysłowianie sami wymyślili sobie wewnętrzne wojny, tym razem o piwo.

BITWY NA KUFLE

Zamkowy browar, mimo że był najpotężniejszym graczem w piwnym interesie, musiał trzymać cały czas rękę na pulsie. Piwo było podstawą tutejszej ekonomii. Pod koniec XVII w. w Namysłowie obowiązywał wyszynk wyłącznie miejskich produktów. Rajcy ustalili, że „warzyć piwo mogą tylko ludzie honorowi”, następnie – że „można warzyć tyle piwa, ile nie będzie szkodą dla miasta”. Podobne obostrzenia obowiązywały pobliskie osady, co nie każdemu się

podobało. Zarzewiem problemu było również to, że produkcją piwa mogli zajmować się tylko mieszczanie. Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to wiadomo, że chodzi o pieniądze.

W annałach zachowały się informacje o szlachcicach o nazwisku Kotlińscy z pobliskiego Świerczowa, którzy nie bacząc na regulacje prawne, zaczęli produkcję chmielowych napojów. Doprowadzili w ten sposób do konfliktu, który o mało nie skończył się otwartą wojną z Namysłowem. Po wielu niesnaskach, a nawet po poważnym ostrzeżeniu, żeby nie naruszali przywilejów Namysłowa, Kotlińscy wygrali spór. Oni, szlachcice, mogli wzorem mieszczan warzyć piwo. W ich ślad poszli inni, jeszcze w 1701 r. wyższe stany starały się odkupić zamkowy browar, tak żeby ograniczyć miejskie przywileje. Trzy lata później problem rozwiązał się sam. Zamek, wraz z okolicznymi wsiami, kupili Krzyżacy i z pełną surowością załatwili sprawy od ręki.

Pierwszą rzeczą, którą zrobili nowi gospodarze, było wydanie bezwzględного nakazu, że konsumenci z okolicy mają kupować produkty wyłącznie z browaru zamkowego. Jako że rycerze pełnili w okolicy również władzę sądowniczą, nikt nie odważył się sprzeciwić. Na rękę poszedł im też cesarz. Choć pobierali w jego imieniu podatki, to on zwolnił ich na cztery lata z płacenia podatków dla niego. To doprowadziło krzyżacki interes do pełnego rozkwitu. Zamek na piwnych fundamentach nie miał już żadnej konkurencji.

Z NAMYSŁOWA W HIMALAJE

Nie znamy receptur namysłowskiego piwa z tamtych czasów, niemniej jednak musiało być popularne, skoro historycy narzekali, że należy pomyśleć o wprowadzeniu prawa, które zwiększyłoby liczbę „niepijanych” mieszkańców. Zresztą i na samym zamku Krzyżacy nie stronili od degustacji. Choć badania archeologiczne w warowni wykazały, że w warstwach z kilku epok jest mnóstwo fragmentów szkła i ceramiki, to dopiero badania archiwalne w Wiedniu, gdzie znajduje się dokumentacja zakonu, pozwoliły odnaleźć pokale, z których pijali wówczas komturowie. Zaradnicy dbali o komfort. Pięknie wykonane naczynia z karkonoskich hut zostały również starannie wygrawerowane. Picie z takich szklaneczek było czystą przyjemnością.

– Na zamku zawsze pracowało kilku urzędników, którzy podpisywali liczne sprawozdania finansowe. Główne dochody zamku pochodziły z produkcji piwa. Co roku zszyte w specjalną księgę sprawozdanie finansowe było wysyłane do wielkiego mistrza – mówi dr Dariusz Woźnicki z Instytutu Kultury Rycerskiej, który bada historię zamku. – Niestety, w 1810 r. zakony na terenie Prus zostały rozwiązane i dawny browar Krzyżaków zaczął działać pełną parą dopiero po kilkudziesięciu latach. Wtedy kupiła go bawarska rodzina Haselbachów.

Albrecht Haselbach, przedstawiciel trzeciego pokolenia piwowarów w Namysłowie, postanowił połączyć piwne tradycje ze sztuką. Przedsiębiorstwo odziedziczył w 1937 r. i od razu zaczął szukać krzyżackich śladów. Marzył mu się „rycerski zamek”, pełen pamiątek, tradycji, wyposażony w zabytkowe meble. Browarnik, mimo że był człowiekiem o artystycznej duszy, do interesów podchodził w sposób, na którym mogliby wzorować się późniejsi specjaliści od marketingu. Eksperymentował, wymyślał nowe receptury, uzyskał wiele patentów, m.in. na piwo sportowe, o obniżonej zawartości alkoholu. W 1930 r. razem z ojcem podjął decyzję o sponzorowaniu Międzynarodowej Wyprawy Himalajskiej na Kanczendzongę, reklamując w ten sposób swoje śląskie przedsiębiorstwo. Mieli wyjątkowe szczęście. Górską ekspedycję była pierwszym tego typu przedsięwzięciem uwiecznionym na taśmie filmowej. Haselbachowie zaczęli przechodzić do historii.

– Nie można mówić o Namysłowie bez zamku, którego funkcjonowanie już od XIV w. było związane z produkcją piwa. Choć znamy inne piwa zamkowe, to w Namysłowie chmielowa produkcja trwała niemal bez przerwy. Nawet w czasie II wojny światowej browar odegrał strategiczną rolę, bo ogrzewając pomieszczenia zamkowe, ocalił od wilgoci i zniszczenia zamagazynowane tam czasowo dzieła sztuki z zachodnich rubieży Niemiec. Jego wizerunek znalazł się również na notgeldzie, który był pieniądzem zastępczym w Namysłowie zaraz po I wojnie światowej – mówi dr Woźnicki. Namysłów to zamek, a zamek to piwo. W tym przypadku piwne fundamenty okazały się wyjątkowo stabilne.

Joanna Lamparska

Autorka jest podróżniczką, pisarką i autorką książek o tajemnicach historii



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Na chama

Jeden z tych spryciarzy od reklamy, którzy wierzą, że są w stanie absolutnie każdemu wejść niezauważalnie do mózgu i pokierować nim, jak zechcą, opowiadał mi kiedyś o badaniach, jak klient postrzega postaci z reklamowych filmików. Miało im z tych badań wyjść, że wierzą im bezkrytycznie. Nawet jeśli klient doskonale wie, że do kupna jakiegoś leku zachęca

Nie wiem, czy to prawda, ale w świecie mediów któryś z wajcho-wych najwyraźniej zrobił podobne badania i wyszło mu, że emocje wzbudzone rzucaniem w programach informacyjnych newsem działają równie dobrze, gdy gołym okiem widać, że news został kompletnie wyssany z palca. A jeśli taki „fake-news” zostanie zmyślony zrzęcznie, tak, by trafić w oczekiwania publiczności, to nawet lepiej.

Nie ma dnia, by w nagłówkach portali, w telewizjach i radiu nie były mielone jakieś cytaty, które nigdy nie padły, czy zdarzenia, które nigdy nie miały miejsca. I co z tego, skoro odnoszą się do nich autorytety, z powagą komentują zapraszani eksperci, cytują je wesołkowie, wbijają w głowę memy?

Opisany przez „Rzeczpospolitą” wywiad z Marine Le Pen, w którym miała powiedzieć, że będzie razem z Kaczyńskim demontować Unię Europejską, był jednak przekrocze-

nieniem wszelkich dotychczasowych granic. Kłamstwem było tu wszystko (Le Pen w ogóle nie udzieliła wywiadu gazecie, a „zacytowano” słowa ze spotkania z dziennikarzami i nie było w nich niczego, co uzasadniałoby puszczony w świat podtytuł) i choć kłamstwu temu zaprzeczono natychmiast, to grzane było w mediach przez cały dzień, komentowano je, rozdzierano szaty, potępiano PiS – a sprawcy czekali z wybąkaniem jakichś guzik wartych przeprosin aż do wieczora.

Takiej chamowacji jeszcze nie robiono – i miałbym się za naiwnego, gdybym wierzył, że była przypadkiem, a nie efektem jakiegoś kolejnego spotkania pana Hajdarowicza pod śmietnikiem z przyjaciółmi z „opozycji totalnej”.

Przykro nam patrzeć, w jaki propagandowy szmatławiec zmienił „przyjaciół przyjaciół” gazetę, której większość z nas poświęciła kawał życia. ©©

Nie ma dnia, by w nagłówkach portali, w telewizjach i radiu nie były mielone jakieś cytaty, które nigdy nie padły

go wcale nie lekarz, tylko aktor przebrany w biały kitel i trzymający stetoskop, to i tak reklama działa na niego dokładnie tak samo jak zapewnienia światowej sławy profesora. Ba, jeśli aktor jest znany i popularny, to nawet bardziej.



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O wdrażaniu postępu

Za Stalina w imię postępu i krzewienia kultury siłą wleczono umęczonych robotników do teatrów, kin, oper albo sprowadzano im do świetlicy pana pisarza. Szaleństwo obrosło bogatą anegdotą i dowcipami o zderzeniu kultury wysokiej z nieokrzesanym grubiaństwem.

Dzisiaj siły postępu mają w ręku subtelniejsze narzędzia. Choćby regulacje unijne i ich interpretacje. Para włoskich gejów pracujących w Londynie zgodnie z brytyjskim prawem zaadoptowała dwóch braci. Następnie zwróciła się do sądu we Florencji, by uznać ich prawa ojcowskie na terenie Włoch, bo

w Italii gejom adoptować dzieci nie wolno. Sędzia prawa im przyznał.

Podstawą wyroku było to, że we Włoszech należy respektować decyzje sądów, które zapadły w innych państwach unijnych. Aż prosi się spytać: Dlaczego brytyjscy sędziowie nie przestrzegali regulacji włoskich?

Pojawiają się brzydkie podejrzenia, że w całej sprawie chodziło nie o chłopców, ale o sprawę gejowską: usankcjonowanie gejowskich adopcji przeprowadzonych za granicą. W Italii identycznie rzecz się ma z „wynajmowaniem łona”. Proceder uwłaczający godności surogatek i zazwyczaj

wykorzystujący ich trudną sytuację materialną jest zabroniony i grozi wieloletnim więzieniem. Jeśli jednak włoscy geje wynajmą sobie łono biednej kobiety za granicą (cena od 20 do 100 tys. euro), to jeden wraca do domu ojcem. Co zresztą zdumiewające, ideę wspiera spora część feministek w imię hasła: „Łono jest moje”.

Jeśli chodzi o wdrażanie postępu społecznego w Unii, to znów przychodzi przywołać nieśmiertelnego Szwejka, który wręczając por. Lukásowi skradzioną kure, wyjaśnił: „Są rzeczy, których robić nie wolno, ale można”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia



ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Knebel Tajaniego

Kobiety muszą zarabiać mniej od mężczyzn, bo są mniejsze – stwierdził Janusz Korwin-Mikke w Parlamencie Europejskim. Do dziś zachodzę w głowę, co lider partii Wolność miał na myśli, stawiając tezę, która przecież nie jest regułą uniwersalną. Weźmy choćby taką Annę Grodzką.

Tak czy owak, wystąpienie owo, w którym J.K.M. uzasadniał, dlaczego równości płacowej (i nie tylko) między mężczyznami i kobietami być nie może, kosztowało go bardzo drogo. Przewodniczącą PE Antonio Tajani (z Europejskiej Partii Ludowej) zawiesił J.K.M. w prawach posła na 10 dni, odebrał mu miesięczną dietę, a co najważniejsze – nałożył roczny zakaz reprezentowania na zewnątrz Parlamentu Europejskiego, co

Rompuya: „Kto pana wybrał?! Kto na pana głosował?!” oraz stwierdził, że Van Rompuy ma charyzmę „mokrej ścierki”.

„Parlament” pochodzi od francuskiego słowa „parler”, co oznacza „mówić”. Istotą parlamentu jest dyskusja, często gwałtowna, ostra. Nie bez powodu brytyjska tradycja parlamentarna zakazuje pociągać do odpowiedzialności za słowa wypowiedziane w wyraźnie wyznaczonym obszarze sali Izby Gmin. W Parlamencie Europejskim obowiązują jednak inne zasady: tam zakres wolności słowa wyznacza polityczna poprawność. Można mówić wszystko pod warunkiem, że mieści się to w jej granicach.

Czy słowa Korwin-Mikkego były mądre? Delikatnie mówiąc – nie bardzo. Czy były słuszne? Nieszczególnie. Miały oparcie w faktach? Wątpię. Może nawet ktoś powiedziałby, że były skandaliczne. Jednak karanie za słowa wypowiedziane z parlamentarnej mównicy, nawet najbardziej ekscentryczne, jest znacznie większym skandalem.

A może ktoś powinien spytać pana Tajaniego, jaką karę nałożyłby na Silvio Berlusconi, lidera nieistniejącej już partii Forza Italia, której Tajani był niegdyś członkiem, za słowa, które Berlusconi wypowiedział w PE w 2003 r. pod adresem Martina Schulza: „Znam producenta filmów o obozach koncentracyjnych. Mógłby pana zaangażować w roli kapo!”. Tajani nie powinien mieć problemów z odpowiedzialnością, w latach 90. był w końcu nawet rzecznikiem Berlusconi. ©



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

WSPARCIE DLA
DZIECI BOHATERÓW

Dzieci funkcjonariuszy i żołnierzy, którzy zginęli lub odnieśli rany, pełniąc służbę, często potrzebują szczególnego wsparcia. Fundacja Dorastaj z Nami ufundowała stypendia dla 48 z nich. Dyplomy stypendialne wręczył prezydent Andrzej Duda z małżonką.

– To nie jest kredyt, to nie jest pożyczka, tu nie ma żadnego długu. Tu dług został zaciągnięty kiedyś przez tych, dla których wasze mamy, wasi ojcowie służyli, poświęcali się; dla polskiego państwa, dla ludzi, dla społeczeństwa, dla bliźnich – mówił prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości w Pałacu Prezydenckim.

Fundacja pomaga dzieciom od siedmiu lat. Honorowy patronat nad jej najnowszą akcją „Ogólnopolski program pomocy systemowej – Koalicja: Razem dla Bohaterów” objął prezydent Andrzej Duda. Od 2010 r. fundacji udało się zebrać ponad 2,5 mln zł, które przeznaczono na stypendia dla ponad 200 dzieci strażaków, policjantów i ratowników, poległych lub ciężko rannych oraz poszkodowanych w trakcie służby ojczyźnie.

– Nie jest to bynajmniej jednorazowa finansowa opieka. Gdy ktoś trafia pod skrzydła naszej fundacji, wówczas staramy się jego dzieci objąć wsparciem, aż do ukończenia przez nie 25. roku życia, jeśli się uczą – mówi nam Magdalena Pawlak, prezes fundacji Dorastaj z Nami. Tłumaczy, że chodzi o wsparcie edukacyjne, m.in. pomoc doradców edukacyjnych w rozwoju talentów i umiejętności podopiecznych, sfinansowanie kursów, niezbędnych narzędzi. Jest też pomoc psychologiczna, a dla wchodzącej w dorosłe życie młodzieży staże i praktyki. (ww) ©

W Parlamencie Europejskim
zakres wolności słowa
wyznacza polityczna poprawność

oznacza m.in. nieuczestniczenie w zewnętrznych spotkaniach, sympozjach i wyjazdach. Tajani zapowiedział, że „takie zachowania” nie będą tolerowane.

Nie pierwszy to raz, gdy poseł PE jest karany za poglądy wygłaszane na forum izby. W 2010 r. brytyjski eurosceptyk Nigel Farage został ukarany przez ówczesnego szefa PE Jerzego Buzka utratą 10-dniowych poborów za słowa o Hermanie Van Rompuy, wtedy przewodniczącym Rady Europejskiej. Farage – słusznie – pytał Van

SZAFIARKI CUD-MIÓD!

Mateusz Hładki, reporter telewizji śniadaniowej, który zajmuje się plotkami z show-biznesu, zachwyił się blogerkami miodowymi. Ostatnio w „Dzień dobry TVN” opowiadał, że blogerki pełnią funkcję coacha i pokazują zwykłym nastolatkom wielki świat.

– Blogerka to nie jest modelka. To dziewczyna, która pokazuje, jak dobrze dobrać ubrania. Pokazuje, jak się ubierać za małe pieniądze. Pokazuje też wielki świat. Gdzie szukać inspiracji, jak dobrać ubrania do sylwetki. Jest trochę nawet takim coachem! – powiedział. Odnosił się także do zarobków w branży blogersko-miodowej. – Pieniądże są wszędzie, to branża, gdzie zarabiasz. Jeżeli masz wpływ, zasięg, jesteś influencerką, to się zarabia – tłumaczył. Pan Hładki mówi o szafiarkach z takim zachwytem i podziwem, jakby miały zaraz lek na raka wynaleźć. Coż, każdy mierzy swoją miarą.

JAK ANIOŁ

Magda Gessler od lat zmienia oblicze polskich restauracji. Z różnym skutkiem, bo pojawiały się też sygnały, że niektórym z nich, zamiast pomóc, tylko zaszkodziła. Bywało, że sprawa kończyła się w sądzie. Ona sama się broni, że to margines. – Na ponad 200 restauracji procesów jest kilka. Program trwa już siódmy rok i z 200 restauracji, które do niego przystąpiły, 120 działa dobrze i właściciele dziękują Bogu, że się spotkaliśmy – powiedziała w niedawnym wywiadzie. – Ostatnio przed programem dowiedziałam się, że właściciel restauracji ma nowotwór i w ramach programu musiałam przygotować jego żonę do przejęcia firmy, by mieli pieniądze na leczenie męża. I teraz mam od nich list, jakiego w życiu nie dostałam. Jest też pani w Wiśle, która miała 50 zł obrotu dziennie, ale po paru latach stawia hotel. Dorobiła się na kilku daniach z pstrąga, które razem wymyśliłyśmy. Jestem aniołem. Pomogłam wielu ludziom, żeby byli szczęśliwi. Dałam coś od siebie, nie oczekując niczego w zamian – dodaje skromnie. Poza oglądalnością i wynikającą z niej stawką, którą dostaje za program. To jednak szczegół. Nieistotny z punktu widzenia aniołów.

PRAWIE AMERYKANKA

Edyta Górniak rozpyla się nad urokami życia w Los Angeles. Mówi, że tam znalazła swoje miejsce na ziemi. Czuje się tam bezpiecznie i co najważniejsze – anonimowo. – Jaka to różnica codziennego życia, od kawy, przez

spacery, po spotkania i kolacje. Po 26 latach mogę po prostu ubrać klapki i być zupełnie anonimowa. Jestem postrzegana przez pryzmat osoby medialnej, traktowana przedmiotowo, a tutaj relacje są inne, naturalne. Alan jest tam szczęśliwy, czasami narzeka w poniedziałek, że musi ubrać mundurek szkolny. Tego do końca nie lubi. Ja uważam, że to jest dobre, że są mundurki. Wszyscy są podobnie odbierani. Daję mu dużo przestrzeni, w Polsce nie puszczałam go samego nigdzie – opowiada zachwycona Edzia. W ramach dbałości o swoją prywatność i anonimowość stara się udzielać wywiadów za każdym razem, gdy jest w Polsce. Czasami podejrzewamy Edzię, że wyjechała do Ameryki głównie dla tych wywiadów, co to ich teraz masowo udziela tu w Polsce. Może i niekonwencjonalne, ale jakie skuteczne!

OKIEM EKSPERTA

Dominika Zasiewska, znana bardziej jako wiodzianka z programu Kuby Wojewódzkiego (czyli taka pani, która w neglizżu roznosiła gościom wodę), próbuje za wszelką cenę wrócić do show-biznesu po tym, jak Wojewódzki wyrzucił ją z programu. Pomaga jej w tym jedna z telewizji śniadaniowych, która zaprasza ją w roli eksperta. Ostatnio wypowiadała się w kwestii kultury na dyskotekach w związku z pomysłem, by wprowadzić ograniczenia wiekowe dla imprezowiczów, bo taki pomysł rozważają właściciele lokali w Sopocie. – Wpuszczanie do klubów, jak się będzie miało legitymację studencką, to bzdura. To segregacja – oceniła w „Dzień dobry TVN” ekswozdzianka. – Sopot kiedyś był laniarski. Teraz widać efekt 500+, są sandaleczki – podsumowała tonem znawcy. – Jest też kwestia temperatury. Podwyższenie cen nic nie da. Kultura osobista może się kończyć przy którejś łufie. Człowiek ma temperament, może nie do sikania na ulicy, ale do śpiewów, zabawy – stwierdziła na koniec. Pani ekswozdzianka musiała strasznie temu Wojewódzkiemu podpaść, skoro teraz cały TVN się na niej mści, zapraszając ją i pozwalając jej mówić. ©©



FOT. PAMEŁ GONIMADA



FOT. TOMASZ URBANEK / DOTYWIJEST NEWS

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, zidentyfikowaliśmy kolejny z ważnych problemów feminizmu. Otóż feministki walczą także z kanonami, które nakazują im golenie pach i miejsc intymnych. Dlatego hasło „Pier***ę, nie golę” jest w polskich realiach rozpaczliwym krzykiem, a nawet wezwaniem do zachowania przez waginoosoby godności w postaci zarośniętych pach. Należy więc zastanowić się, kto i kiedy wprowadził obowiązujące kanony, a następnie znieść je ustawą oraz wprowadzić kanony nowe, postępowe, które odpowiadałyby świeckiemu duchowi czasu oraz nowoczesnemu, nieangażującemu podejściu do depilacji.

Jak wiadomo, taki kanon to sprawa umowna. Dlaczego więc znów

Z drugiej strony kolega-gej i były supervisor Fabian zostali pochwaleni za bujne brody, na szczęście reżim jeszcze nie wie, iż są to brody hipsterskie i ironiczne, które mają za zadanie poddać dyskusji tradycyjny paradygmat płciowy xD

Na dobry początek tygodnia przygotowaliśmy quiz: **Jaką potrawą z jarmużu jesteś?**

1) Wybór Tuska na Krula Europy uczciłeś:

- a) z kolegą-gejem na crossfocie,
- b) z frendami z korpo przy piwku ze sprajtem,
- c) byłeś na zmianie w korpo, więc tylko entuzjastycznym wpisem na fejsiku,
- d) wystawiłeś znicz w oknie i poszedłeś płakać.

patrzeć na martwe zwierzęta, potem płaczesz, tuląc do siebie pęto podwawelskiej,

b) klasyczne zakupy bez szaleństw: mleko sojowe, kielki sushi i sprajcik do piwerka,

c) jesteś łowcą promocji, zawsze wiesz, kiedy ser za 99,99 zł/kg jest przeceniony do 98,99 zł/kg,

d) zakupy na cały tydzień, które do domu zawozisz na grzbiecie żony.

5) W gronie przyjaciół:

a) od kiedy poczułeś się wegemisjonarzem, masz co najwyżej znajomych, którzy Cię unikają,

b) opowiadacie sobie żarty z „500 +”, pijecie piwko ze sprajtem, wychodzicie na shopping,

c) twoimi przyjaciółmi jest twój team z korpo, nie masz czasu na relacje poza miejscem pracy,

d) pijecie alkohol, palicie papierosy, jecie steki i gracie w karty.

ROZWIĄZANIE:

Większość odpowiedzi:

a): uwielbiasz zdrowy styl życia i wszyscy muszą o tym wiedzieć. Uprawiasz crossfit i ekologiczny jarmuż na balkonie. Jesteś tolerancyjny, ale na wszelki wypadek wszystkim narzucasz swój punkt widzenia. Jesteś proeko, profit, ale wciąż wyglądasz dość prząśnie, bo przyjechałeś spod Sanoka. Jesteś jarmużowym smoothie.

b): niczym się przesadnie nie wyróżniasz, ale czai się w tobie cząstka hipstera. Chciałbyś więcej szaleństwa w życiu, ale po ośmiu godzinach w korpo chcesz już tylko leżeć na kanapie i oglądać seriale. Jesteś chipsami z jarmużu.

c): jesteś dynamicznym pracownikiem wielkiej korporacji, który za 2 tys. zł netto potrafi zrezygnować z przyjaciół, rodziny i zainteresowań. Cenisz sobie wolność, dlatego zawsze bierzesz nadgodziny. Na co dzień lubisz nieskomplikowaną prostotę. Jesteś sałatką z jarmużu.

d): nawet się nie przyznawaj. Nie jesteś jarmużem, tylko wąsatym januszem. Zastanów się nad sobą. ©©



należy umawiać się z tym, co przez wieki narzucali fallusoosobnicy? Waginoosoba na basenie w dwuczęściowym kostiumie i z wydepilowaną pachą? Średniowiecze!

Niestety, ale ponosimy konsekwencje protestu 8 marca: (Do naszego korpo wpadła bez zapowiedzi kontrola w postaci księdza, lokalnej działaczki pis i przedstawicielki młodzieży wszechpolskiej. Nastąpiło komisyjne sprawdzanie nóg i pach naszych frendziar pod kątem obowiązkowej w IV RP depilacji. Krwawa rewolucyjna trójka uznała owłosienie frendziar za nadmierne i skierowała je na przymusową depilację heblem do zaprzyjaźnionego warsztatu stolarskiego, który prowadzi kuzyn jednego z ministrów za 35 tys. zł miesiecznie!!!

2) W czasie wolnym najchętniej:

- a) przeliczasz kalorie, prowadzisz kulinarny blog i propagujesz wśród znajomych dietę wegańską i witariańską,
- b) oglądasz koreańskie etiudy filmowe na Filmboxie Arthouse,
- c) bierzesz kolejne nadgodziny, by zrealizować normy sprzedażowe,
- d) jeździsz na wycieczki z rodziną, zwiedzasz Polskę.

3) Uważasz się zwłaszcza za:

- a) weganina, Europejczyka, człowieka,
- b) subtelny intelektualistę, bo masz książkę Houellebecqa,
- c) skutecznego konsultanta call center z realizacją planu sprzedażowego na poziomie 95 proc.,
- d) Polaka i katolika.

4) W supermarkecie:

- a) robisz awanturę na stoisku mięsnym, iż nie masz ochoty

FASHYŚM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

Głupia sprawa z tym programem „10 000+” dla emerytów, którzy zamiast na emeryturę mieliby dalej iść do pracy. Wszyscy twierdzą, że nie ma tematu, że to tylko takie teoretyczne rozważania. Wiemy, że jest inaczej. Temat jest, i to bardzo konkretny. Wspomniane zapomogi dla niedoszłych emerytów miałyby być jednak wprowadzone pod warunkiem, że czas przepracowany dodatkowo nie wliczałby się do stażu emerytalnego.

Słyszeli państwo o ustawie wywalającej ludzi służb i PRL z dyplomacji? Jest gorzej. Niektórzy politycy PiS mają jeszcze bardziej szatańskie plany. Otóż wreszcie przyszło im do głowy, że byli esbecy i kapusie nie dają rękojmi dotrzymania tajemnicy państwowej. I poważnie się zastanawiają nad wpisaniem takiego wymogu do ustawy. Nie możemy przestać szlochać nad losem nieszczęśników, którzy nagle nie będą mogli brylować w biznesie i tefauenach. Dziesiątkowanie wydaje się przy tym pieszczotą. Czas się nauczyć nowego terminu – dwójkowanie.

Byli szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego Piotr P. założył sobie profil na Twitterze. Nie możemy podać jego nazwiska, bo facet ma zarzuty prokuratorskie. Możemy natomiast stwierdzić, że określenie „pytlowanie” nabrało nowego znaczenia.

To, co najpiękniejsze. Solidarność w gmachu przy al. Szucha staje okoniem przeciw wspomnianej już ustawie, która ma wymieść z resortu złogi

bierutowsko-gomułkowsko-gierkowskie. Z tej okazji prezentujemy krótką sylwetkę szefa Solidarności w resorcie dyplomacji. Zdzisław Raczynski – absolwent słynnego MGIMO, pracownik wydziału zagranicznego ZHP, ambasador w Tunezji i Armenii.

Dla tych, którzy uważają, że sformułowanie „złogi bierutowskie” to lekka

presada. Zdziwilibyście się. Za Radka Sknerusa Sikorskiego powinowata towarzysza Tomasza była nawet wiceministrem, a potomkowie Wandy Górskiej zwanej za Bolesława Bieruta „królową Belwederu” to już trzecie pokolenie w resorcie.

À propos Radka. W odróżnieniu od ludzi małej wiary nie mamy Sknerowskiemu Sikorskiemu za złe, że – jak napisał – dostał różańce „od papierzy”. Pan Bug mu odpóści.

Zaraz po tym, jak król Europy Tusk ogłosił, że Rotterdam zniszczyli naziści, niejaki Adam Mazguła, ksywa Pułkownik, ogłosił, że nazistów wychowują PiS i minister Błaszczak. Sprawa jest więc oczywista – Rotterdam zniszczyli ludzie Błaszczaka, wszyscy Niemcy byli w tym czasie kucharzami lub konduktorami.

Ciekawa sprawa z ministrem Rafalską. Kiedy w wyszukiwarce wyświetla się lista stron jej poświęconych, na pierwszym miejscu wyskakuje strona Rafalska.eu – i słusznie. Opis linku wyświetlany przez wyszukiwarkę brzmi „Elżbieta Rafalaska”. W sumie też słusznie, choć niezbyt ortodoksyjnie.

Zaniepokojonych stanem zdrowia Rycha Czarneckiego uspokajamy – będzie żył. Rękę na temblaku nosi, bo ma uraz czy tam inne zapalenie kaletki. Znajomym się chwali, że to „uraz typowo sportowy”. W opisie choroby czytamy, że występuje u „osób wykonujących czynności wymagające powtarzających się ciągłych ruchów”. Nasza diagnoza – powtarzające się otwieranie drzwi do studiów radiowych i telewizyjnych. Rychu lubi ten sport.

À propos spraw telewizyjnych. Dzień przed premierą w TVP2 programu jednego z Panów G. oraz Rafała A. Ziemkiewicza biuro rzecznika z Woronicza rozesłało do mediów e-maila zatytułowanego „Telewizja Polska z programami dla seniorów”. Przypadek?



Dla ciekawskich – program nosi tytuł „Przybliżenie” i będzie pojawiał się co dwa tygodnie w TVP2 w piątkowe wieczory o godz. 22.20. Na pytanie: „Kogo będzie przybliżał?”, odpowiadamy zaczepnie: a nie wystarczy, że jego autorów?

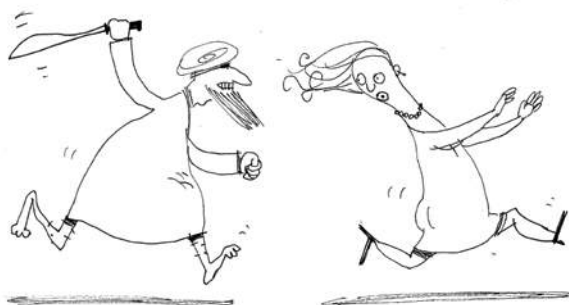
Szczecin to piękne miasto. Warto je odwiedzić choćby na kilka dni. Do czego zapraszamy pracowników CBA i innych agencji. Chodzi o to, że skończyła się tam już kontrola sądów należących do lokalnej gwiazdy PeŁo – Jacka Chrzanowskiego. Wiewiórki twierdzą, że te sady trochę mało spełniają warunki, które trzeba było spełnić, żeby sobie chapnąć unijne dotacje.

Jest jednak gorzej. Wiewiórki wygryzają na deskach kolejne nazwiska do sprawdzenia – nazwiska innych miejscowych sław PeŁo. Na przykład związanych z urzędem marszałkowskim. Jak widać, region kontynuuje tradycje „orzechowego ministra” Macieja Trzeciaka. A mimo to źli ludzie mówią, że coś takiego jak dziedzictwo rządów PeŁo nie istnieje.

Nie rozumiemy ataków na prezydenta Andrzeja Sebastiana, któremu KOD-uchy wytykają, że w tym roku był już siedem razy na nartach. Ludzie, bądźcie konsekwentni – skoro skandujecie, że to marionetka Kaczora, to chyba lepiej dla Polski, żeby podrygiwał na stoku, a nie w pałacu? Na stoku niczego się nie podpisuje, można za to zrobić sobie coś w kaletkę.

Ze zrozumieniem za to przyjęliśmy informację o 60 tys. zł wydanych na szkolenie medialne marszałka Kuchty-Kuchcińskiego i jego ekipy. Niektórzy się burzą – po co wydawać, skoro Kuchta i tak nic nie mówi. No

Europa dwóch prędkości



cezary krysztopa blog publicy.az.pl

właśnie! To musi kosztować! Mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Kochany poseł Szczerba z PeŁo nie docenia faktu, że może pomilczeć za darmo. I rozpacza, że odwołano jego wizytę kurtuazyjną w TVP Info, więc jest prześladowany. Naszym zdaniem do prześladowania dochodzi raczej wtedy, kiedy trzeba wystąpić w TVP Info.

Zmediów. Podobno każda wykupiona prenumerata „Wyborczej” to jedno posadzone drzewo. W miejsc wyciętego. Jak wynika z oficjalnych wyliczeń, Hanka Gronkiewicz-Waltz będzie musiała dla warszawskiego ratusza zaprenumerować 150 tys. egzemplarzy.

Jeden z Panów G. (ten od tematów śledczych) chciał zaproponować akcję „każda prenumerata »Do Rzeczy« to jeden posadzony aferzysta”, ale niestety nie możemy przed „dobrą zmianą” stawiać aż tak trudnych zadań.

Jeszcze o Agorze. Sprawa poważna. Według analityków giełdowych akcje wydawcy „GazWybu” są OK, bo stan spółki poprawia się dzięki programowi „500+”. Chodzi o to, że rodziny, które otrzymują pieniądze z „500+”,

wydają je m.in. na bilety do kina. A sporo kin należy do Agory. Przyznacie, że strasznie to wszystko perwersyjne.

Tymczasem mimo fejkowego newsa o Marine Le Pen demontującej wraz z Kaczorem-Dyktatorem Unię Europejską w „Rzeczpospolitej” nadal pojawiają się różne ogłoszenia i wkładki

finansowane przez różne ministerstwa i rządowe agendy. Kto powiedział, że perwersja ma ograniczać się do kin i do „Wyborczej”?

Tymczasem na kawiorowej lewicy. Marzenie Ryśka Kalisza bliskie jest realizacji – Włodek Czarzasty, wielki wódz czerwonoskórych, chciałby go bowiem wystawić jako kandydata na prezydenta Warszawy. Popieramy. Cieszą nas świeże twarze w polityce.

Zmarł Wojciech Młynarski. Nie zawsze nam było po drodze, ale i tak jesteśmy w żałobie, bo talent, to talent. Jeśli mielibyśmy wybrać z jego twórczości jakieś przesłanie, to poniższe. Z „Ballady o dwóch koniach”:

*Kto się stawia ten ma z tego
Mimo wszystko jakiś zysk,
A kto słucha i ulega,
Ten najpierwszy bierze w pysk.* ©

REKLAMA



**FUNDACJA
GŁOS DLA ŻYCIA**

Stanowi bezpośrednie zaplecze Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia i obecnej kampanii „**Kochamy każde dziecko**”, której efektem było stworzenie projektu ustawy obejmującej pełną ochroną życie wszystkich dzieci poczętych.

Od ponad 20 lat edukuje i prowadzi akcje na rzecz obrony życia człowieka na każdym etapie jego rozwoju.

Stworzyła autorski program edukacyjny
Jaś w każdej szkole - by każdy uczeń w Polsce otrzymał model 10 tygodniowego dziecka - tzw. Jasia.
To skuteczny sposób na budzenie w młodych ludziach szacunku dla życia.



Prosimy o **przekazanie 1% podatku** na rzecz Fundacji Głos dla Życia i wsparcie finansowe. O naszych darczyńcach pamiętamy codziennie w modlitwie.



Nr KRS: 0000037425

Nr konta: 22 1090 1359 0000 0000 3501 8621

Dziękuję!

dr Paweł Wosicki

Prezes Fundacji „Głos dla Życia” i Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia

www.glosdlazycia.pl

do pobrania
bezpłatny



Program do PIT

Gdy przy wyborze szefa Rady Europejskiej okazało się, że Polska w swej chęci odwołania Donalda Tuska jest zupełnie osamotniona, największa nasza złość skupiła się na Viktorze Orbánie. Kto jak kto – uznali zwolennicy rządu – ale przynajmniej on miał obowiązek nas poprzeć! Jak mógł tego nie zrobić?!

Na pytanie, dlaczego właściwie Węgry powinny popierać nas w sprawie postrzeganej (niestety, za sprawą naszej nieroztropnie poprowadzonej ofensywy dyplomatycznej) jako wewnętrzny spór polsko-polski, w ogóle niepotrzebnie wywleczony na forum europejskie, nikt z komentatorów kibicujących obecnemu rządowi nie próbował nawet odpowiedzieć. Jakoś milcząco uznano, że skoro i tu, i tam rządzi (cokolwiek to znaczy) „prawica”, że i Węgry, i Polska są przez eurokratów stawiane na cenzurowanym, to taka wspólnota losów do czegoś Orbána zobowiązuje. Tym bardziej że my ze swej strony wielokrotnie okazaliśmy Węgrom sympatię i poparcie, więc powinni nam się za to odwdzięczać. No, a poza tym – jak zdradził Jarosław Kaczyński – we wcześniejszych rozmowach nam poparcie obiecali. A jak można łamać daną obietnicę?!

Wszystko to pokazuje, do jakiego stopnia polska polityka nie ma nic wspólnego z polityką rozumianą jako „sztuka osiągnięcia celów możliwych do osiągnięcia”.

EPP I FRAKCYJKA PIS

Spróbujmy na to spojrzeć z punktu widzenia Viktora Orbána, licząc możliwe zyski i straty.

Co osiągnęłyby Węgry, głosując przeciwko pozostawieniu aktualnego przewodniczącego Rady Europejskiej na drugą część kadencji?

Na decyzję szczytu nie miałoby to żadnego wpływu – 27 do 1 czy 27 do 2 oznacza tak samo, że wniosek upada. Orbán zyskałby oczywiście wdzięczność rządu polskiego. Jednak co mu po niej? Wspomniana wyżej wspólnota interesów oznacza, jeśli spojrzeć na nią z drugiej strony, że Polska i tak musi z Węgrami w wielu sprawach „trzymać sztamę” – z wdzięcznością za symboliczny gest solidarności w sprzeciwie wobec personalnego dyktatu Niemiec czy bez niej.

A ceną za wdzięczność Polaków byłoby zrażenie do siebie chadeckiej międzynarodówki EPP, do której (podobnie jak PO) należy partia Orbána w Parlamencie



Rafał A. Ziembkiewicz

Zamiast się obrażać na premiera Węgier, że nie poparł naszej beznadziejnej szarży w Brukseli, powinniśmy mu być wdzięczni za udzieloną lekcję „polityki realnej”, takiej, jaką wcześniej prowadzili np. Talleyrand czy Metternich. I wreszcie zacząć się od Orbána uczyć

Czego uczy nas Orbán?





FOT. DYLAN MARTINEZ/REUTERS/FORMA

Europejskim. Tusk jest przecież oficjalnie reprezentantem i kandydatem bynajmniej nie Polski, ale właśnie owej frakcji.

Prawo i Sprawiedliwość do EPP należeć nie chciało. Być może dlatego, że wedle kryteriów zachodnich nie jest partią chadecką, tylko konserwatywną – ale Fidesz przecież także. Być może zadziałały emocje niepozwalające PiS być w jednym ugrupowaniu z PO i PSL. A być może prezes PiS został obydwojema powyższymi argumentami rozegrany przez wpływowego wtedy na jego dworze Michała Kamińskiego, który chciał popłynąć się w blasku funkcji lidera frakcji, choćby malutkiej? W każdym razie PiS założył frakcyjkę konserwatywną z brytyjskimi torysami, czym skazał się na marginalizację. A gdy Brytyjczycy zdecydowali o opuszczeniu Unii, został już zupełnie na lodzie. To dlatego właśnie Polska może być stale na cenzurowanym, odbywają się kolejne czołgające nas debaty w europarlamencie, a Komisja Europejska próbuje sobie przydać znaczenia, strasząc właśnie Polskę „procedurą kontroli praworządności”.

Fakt, że Węgry, choć są krajem mniejszym i jako pionier antyestablishmentowego buntu przez pewien czas były w Unii zupełnie osamotnione, nigdy aż tak zdecydowanie pod europejskim prężeniem ustawiane nie były, to właśnie skutek przynależności partii Orbána do EPP. Za kulisami Unii toczy się bowiem nieustająca rywalizacja o stołki i wpływy pomiędzy frakcjami (nie od rzeczy będzie powiedzieć wprost – klikami) chadecką, socjaldemokratyczną i liberalną, w której nawet kilkanaście euromandatów, dostarczonych przez Fidesz, ma swoją wagę. Europejskim chadekom opłaca się zatem pilnować, aby ataki na Węgry wyczerpywały się w słowach i nie przeradzały w żadne konkretne działania przeciwko nim. Utratę tego politycznego

parasola w UE niełatwo byłoby Orbánowi zrekompensować. A w tej konkretnej sprawie nie widać właściwie żadnych zysków, które by z narażenia go na szwank miały Węgry wyciągnąć.

Mówiąc nawiasem, przetrwanie najtrudniejszego politycznie czasu, gdy wściekli postępowcy z Europy Zachodniej starali się trwale napiętnować reformy Fideszu jako faszystowskie i wykluczyć osamotniony w swej prawicowej kontrrewolucji Budapeszt z rodziny „cywilizowanych” stolic, zawdzięczają Węgrzy giętkości Orbána, która wyrażała się i wyraża m.in. dużą ustepliwością w sporach z pozostającymi pod rządami lewicy instytucjami unijnymi. Orbán nigdy nie postawił żadnej sprawy na ostrzu noża, nie zdarzyło mu się odmówić podpisania jakichś konkluzji czy protokołu i ogłaszać przy tym, że nieczne potraktowanie przez eurokratów Węgier pokazuje ich prawdziwą twarz i neglizuje naturę Unii Europejskiej jako organizacji, w której większe państwa mają więcej do powiedzenia. Przeciwnie – zdarzało mu się ustępować, przyznawać krytykom, że poszedł za daleko, i obiecywać dostosowanie się do unijnych oczekiwań. Oczywiście niczego takiego nie robił, co najwyżej zmieniał kwestionowane przez Unię prawo na inne, stanowiące w inny sposób to samo, ale dawał eurokratom okazję do wycofania się z twarzą i pozorami triumfu. W publicznych wystąpieniach, zależnie od publiczności, do której są one kierowane, używa Orbán innych języków. Na rynek wewnętrzny jest twardy i nieprzejednany, na rynek zewnętrzny – pragmatyczny, giętki i skłonny do kompromisów.

ROSYJSKI ATOM

Szczyt w Brukseli zajął się z jedną z największych strategicznych gier, jaką rozgrywa pozostający u władzy już trzecią kadencję premier Węgier – to kwestia bezpieczeństwa energetycznego jego kraju. Ponad 40 proc. zużywanej na Węgrzech energii pochodzi ze zbudowanej jeszcze za czasów sowieckich elektrowni atomowej w Paksie. Modernizacja istniejącej elektrowni jest tańsza i łatwiejsza niż budowa nowej, a skoro ta konkretnie elektrownia zbudowana została w technologii rosyjskiej, to nie sposób jej modernizować bez współpracy Rosji. I to decyduje o stosunkowo dobrych stosunkach Orbána z Putinem. Wzajemne wizyty, demonstracyjne

■ uściski ręki i deklaracje obustronnego zaufania, wymieniane z prezydentem Rosji, postrzeganym nad Wisłą jako główne zagrożenie dla Polski, a bodaj i świata. Irytują nas niepomernie, ale nie jesteśmy w stanie nic na nie poradzić. Viktor Orbán ma prawo sądzić, że skoro Polska nie obraziła się na niego za dobre kontakty z Rosją, to tym bardziej nie może się obrażać o taki czysto symboliczny gest jak głosowanie w sprawie Tuska.

Sprawa elektrowni w Paksie jest zresztą bardzo skomplikowana. Zmodernizować można ją tylko z Rosjanami, ale nie można tego zrobić bez zgody odpowiednich unijnych organów. Umowa z Rosatomem, warta 12 mld euro (z czego 10 pochodzić ma z kredytu gwarantowanego przez rząd rosyjski), zakładała bowiem monopol Rosji na dostawy paliwa atomowego oraz zaangażowanie budżetu państwa węgierskiego, a poza tym zawarta została bez przetargu. W każdym z tych punktów mogła zostać zakwestionowana przez Komisję Europejską jako niezgodna z prawem wspólnotowym.

I oto kilkuletnia walka o zielone światło z Komisji doczekała się właśnie satysfakcjonującego dla Węgier – praktycznie – finału. Trzy dni przed szczytem w Brukseli Komisja Europejska wydała opinię, że umowa z Rosatomem nie narusza prawa o pomocy publicznej. Ba, ceną za zgodę komisji okazało się skrócenie o połowę przewidzianego czasu monopolu Rosji na dostawy uranu – co akurat jest jak najbardziej w interesie Węgier. Można więc powiedzieć, że możliwy sprzeciw komisji zdołał Orbán wykorzystać do zmiękczenia stanowiska Putina!

Trudno sobie wyobrazić, by mając w zasięgu ręki taki sukces, nie w kwestiach symbolicznych czy wyłącznie prestiżowych, jak tak nas zajmujące pojątki co do „standardów demokratycznych”, ale przekładający się na grube miliardy, premier Węgier obrażał się demonstracyjnie na Unię za to, że wygodny w swej miernocie dla wszystkich poza Polską przewodniczący najmniej istotnego ze wspólnotowych organów łamie wobec kraju swego pochodzenia wpisaną w europejskie prawo zasadę bezstronności, aktywnie wspierając w nim opozycję przeciwko rządowi.

POLITYCZNY TARG

Czy, jak zaraz skomentowano to w „hardkorowych” mediach wspierających PiS, Orbán „sprzedał nas” za



Trudno byłoby oczekiwać, że Viktor Orbán, mając w zasięgu ręki zgodę UE na modernizację elektrowni, będzie konfrontował się z Angelą Merkel i innymi przywódcami w sprawie przewodniczącego Rady Europejskiej. FOT. CARSTEN KOALL/GETTY IMAGES

unijną zgodę na tę wspólną z Putinem inwestycję? W Unii, jak zresztą w ogóle w polityce międzynarodowej, jest powszechnie stosowanym mechanizmem stawianie jakichś żądań nie po to, by zostały one spełnione, ale by wytargować załatwienie jakiejś zupełnie innej, drobniejszej sprawy. W tym przypadku wątpliwe wydaje się jednak, by Orbán mógł wytargować tak grubą sprawę za obietnicę „zdradzenia” Kaczyńskiego. Zwłaszcza że owa „zdrada” w praktyce nic nie zmieniała.

Nie znaczy to oczywiście, że eurokratom, a zwłaszcza Niemcom, którzy rozgrywali sprawę przedłużenia kadencji Tuska jako najbardziej tym zainteresowani, nie zależało na tym, aby Orbán nie poparł Polski. Niemal na pewno był on do tego nakłaniany i najwyraźniej skalkulował, że opłaca mu się dać namówić. W sprawie Tuska ewidentnie postanowiono Polsce udzielić nauczki.

Nie chodziło wcale – jak ujęli to nawet niemieccy komentatorzy – o zrobienie na złość Kaczyńskiemu. W realnej polityce, tak jak nie kieruje się sympatią, tak też nie robi się na złość tak po prostu. Zresztą przecież zaledwie kilka tygodni przed szczytem odwiedzająca

Warszawę Angela Merkel wykonała pod adresem Kaczyńskiego kilka znaczących gestów, na czele z doproszeniem nas na szczyt G20.

NIEMIECKIE STOŁKI I NORD STREAM 2

Oczywiście obecna kanclerz przed wyborami w swoim kraju chce mieć „na odcinku unijnym” spokój. Z tego powodu Tusk jest dla niej wygodny. Jednak za pewne dałoby się przekonać ją do kogoś innego. Tym, co sprawiło, że Niemcy podjęły dyplomatyczną kontrofensywę przeciwko działaniom rządu polskiego, było powodowane przez nas zagrożenie dla z trudem osiągniętej równowagi rachunku unijnych synekur. Ze skrócenia kadencji Tuska nikt, poza rządzącymi Polską, nie miałby pożytku – natomiast groziłaby ona pomniejszeniem stanu posiadania EPP (do której należą także CDU i CSU). Na dodatek Polska nie pofatygowała się ubrać swych działań w niezbędne w unii pozory działania na rzecz wspólnoty. Nasza dyplomacja działała tak, jakby stanowisko piastowane na mocy bardzo skomplikowanych ustaleń przez Polaka po prostu należało się Polsce i Polska władna była wymieniać jednego swojego przedstawiciela na drugiego, bo w Polsce jest nowy rząd, a przewodniczący pozostał ze starego rozdania.

Karą za takie zachowanie jest pokazanie, że Niemcy – i inne kraje unijne – związane są z państwami, na które liczyła naiwnie polska dyplomacja, realnymi interesami, i jeśli Polska nie chce się liczyć z realiami, to może je bez trudu zmienić w jej przeciwników. W tym sensie w kontrapunkcie do akceptacji dla węgierskiej elektrowni trzeba umieścić inną decyzję Komisji Europejskiej, podjętą tuż po fatalnym dla nas szczyście – w praktyce oznaczającą akceptację dla gazociągu Nord Stream 2 i odrzucenie obiekcji zgłaszanych przez nasz region.

Że w ten sposób „pokazaliśmy prawdziwą naturę UE” i to ma być naszym sukcesem, jak wmawia swoim żelaznym wyznawcom PiS? Gdyby którykolwiek z klasyków europejskiej polityki mógł to słyszeć, pękłby ze śmiechu. Talleyrand może przywołałby swoje: „To gorzej niż zbrodnia, to błąd”, a twórca ładu ustanowionego na kongresie wiedeńskim, Klemens von Metternich wzruszyłby zapewne ramionami. Ten ostatni zresztą szczególnie dobrze rozumiałby sytuację, albowiem konstrukcja dzisiejszej

„wspólnej” Europy bardzo przypomina wzniesiony przez niego gmach Świętego Przymierza. I demaskowanie tego nie ma za grosz sensu, bo każdy, kogo to interesuje, dobrze o tym wie – a kogo nie interesuje, tego nie zainteresują także żadne „demaskacje”. Polityka nie polega w ogóle w najmniejszym stopniu na tym, żeby cokolwiek „pokazać światu”. Jeśli grę polityczną, mającą na celu konkretne interesy, ośłania się pozorami, to bynajmniej nie dlatego, że świat jest tak niemądry, że nie umie zrozumieć jej prawdziwego sensu i potrzebuje naszych mędrców, by mu pokazali, jak bardzo to wszystko niemoralne i niesłuszne. Skoro świat udaje, że wierzy w te pozory, to widać te pozory są mu do czegoś potrzebne – w przeciwieństwie do naszych demonstracji.

POLSKI PROBLEM

Problem ze zrozumieniem, na czym polega polityka, nie jest problemem konkretnej partii, ale Polski jako takiej. Na nierealistyczną politykę PiS „opozycja totalna” odpowiada promowaniem swojej równie nierealistycznej polityki uległości, prowadzonej w ostatnich latach,

zachwalając nam rozkosze „bycia w głównym nurcie”. Gdyby – mówiąc najkrócej – miało to jakiekolwiek znaczenie, to należy uznać, że upadek ZSRS był dla nas historyczną katastrofą – przecież dopóki należeliśmy do bloku sowieckiego, dopóty mieściliśmy się doskonale w nurcie polityki jednego z dwóch światowych supermocarstw! Do takiej „potęgi” jak wtedy nie mamy dziś szans wrócić, choćby nie wiem jak wiernopoddane adresy zanosili do Brukseli co drugi dzień Schetyna i Petru.

Mamy naprawdę problem. Polską rządzą, rządzą i usiłują wrócić do rządów elity, które nie umieją dostrzegać okazji i zagrożeń, formułować oczekiwań, rozpoznawać interesów. Używają polityki zagranicznej jako podrzędnego narzędzia do prowadzenia polityki wewnętrznej, a nawet gorzej jeszcze – politycznej propagandy na użytek krajowy albo jako formy demonstrowania różnych oczekiwań lokujących się na obszarach moralistyki, a nie realizowania konkretnych potrzeb państwa i narodu. Zachowujemy się jak klient, który wchodzi do banku i upiera się, że powinien dostać kredyt nieoprocentowany i w ogóle na

swoich warunkach, bo czerpanie przez bank zysków z jego trudnej sytuacji jest niemoralne i nieuczciwe. I straszący, że jeśli go nie dostanie, to wszystkim powie, kim naprawdę są bankierzy.

Tylko że do banku żaden Polak tak nie wejdzie. Tego, czym jest system bankowy, już się nauczyliśmy. Natomiast polityki jakoś nie możemy. Chociaż jest się od kogo uczyć. Skoro tak zaimponował nam Orbán, że zaczęliśmy marzyć o „Budapeszcie nad Wisłą”, to przyjrzyjmy się może tajemnicy jego sukcesów? Ach, szczyt w Brukseli każe dopisać do nich jeszcze jeden: „zdradzając” Polskę, przekonał eurokratów, że zupełnie nie mieli racji, zwalczając go przez tyle lat – jest przecież obliczalny, pragmatyczny i rozsądny. Przynajmniej na tle Kaczyńskiego. Może to jego powinni traktować jako lidera regionu?

Kiedyś doskonale rozegrał podobną grę u siebie, gdy przejął dawny elektorat socjalistów, skutecznie strasząc go, jako alternatywą, Jobbikiem. Skoro dajemy mu możliwość powtórzenia tej gry na arenie unijnej... Talleyrand, Metternich czy książę Górczakow na pewno podchwyciliby taką okazję w lot! © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dyplomacja



Marcin Wolski

W swej znakomitej pracy o Talleyrandzie Waldemar Łysiak opowiada, jak ów przegrany dyplomata z przegranej Francji łąduje w charakterze piątego koła w wozu na kongresie wiedeńskim. Nie posiada żadnych atutów poza sprytem i własną inteligencją. Nie ma poparcia nawet własnego rządu i towarzyszy mu opinia Napoleona, który nazwał go „gównem w jedwabnych pończochach”. A jednak kończy wspomniany kongres jako nieformalny przywódca Europy, który ocalił wielkość Francji i zmienił pozostałych uczestników w swoje marionetki.

Czy było to ładne? Raczej paskudne. Jednak dyploma-

cja to nie konkurs piękności. Jedynym jej kryterium jest skuteczność! Polska przeważnie bywała moralnym zwycięzcą i u schyłku XVIII w., i podczas narodowych zrywów, i w roku 1939. Jednak kompletnie osamotniona, zdradzana, kiedy w dziejowym pokerze dochodziło do sakramentalnego „sprawdzam”, traciła wszystko.

Wróćmy do Talleyranda. Skąd brały się jego sukcesy? Po pierwsze, z doskonałego rozeznania sił i środków, umiejętnego zawierania kompromisów, wchodzenia w taktyczne sojusze i robienia nieprzyjacznych mu koalicji.

Czy Donald Tusk powinien zostać ponownie „Cesarzem Europy”? Po stokroć nie! I Polska nie miała prawa

go poprzeć, ale kiedy zorientowała się w swoim osamotnieniu, należało opuścić salę na czas głosowania. Mogła też spróbować wykonać ruch z Saryuszem-Wolskim, koncept był genialny, tyle że trzeba było przygotowania zacząć pół roku wcześniej i policzyć szablę przed przystąpieniem do batalii. Tymczasem przez wiele miesięcy prowadzony był dziwny kontredans – „poprzemy Donalda, a może nie poprzemy” – nieczytelny dla potencjalnych koalicjantów.

Jeśli mamy mocne kwity, to należało przyspieszyć wszelkie możliwe śledztwa – od smoleńskiego, do Amber Gold, sformułować przeciw „Słońcu Peru” akt oskarżenia i wystawić europejski list gończy, jeśli nie – to odpuścić. Na jakiś czas. A tak załatwio-

no Tuskowi jedynie nimb zwycięzcy i świeże paliwo dla bezradnej oraz zagubionej dotąd opozycji.

Mleko się jednak rozlało. I co teraz? Można działać „na Breżniewa”, spuścić firanki i udawać, że pociąg jedzie dalej. Można czekać, aż dekompozycja Europy i pełna bezradność jej „przywódcy” potwierdzą trafność naszych diagnoz. Można wreszcie i należy, nie obrażając się na „zdradców z Wyszehradu”, odbudowywać sojusze, szukać partnerów w wielu innych często mniejszych sprawach, mocniej orientować się na nowe siły dochodzące do władzy w Europie i na świecie, a przede wszystkim ogłosić casting na polskiego Talleyranda.

No, może żądam za wiele – na Talleyranda! © ©

To nie my poszliśmy na zwarcie

Z prof. Zdzisławem
Krasnodębskim,
europosem PiS
rozmawia
Łukasz Warzecha



ŁUKASZ WARZECHA: Od jak dawna było wiadomo, że Polska nie poprze Donalda Tuska na stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej?

PROF. ZDZISŁAW KRASNOŁĘBSKI: Polskie zastrzeżenia w stosunku do Donalda Tuska były znane od dawna. Prawo i Sprawiedliwość krytycznie oceniało jego działalność jako polskiego premiera, a także jako przewodniczącego Rady Europejskiej. Polityka jest natomiast sztuką kompromisu i można sobie było wyobrazić, że przy spełnieniu pewnych warunków, mimo licznych zastrzeżeń, byłaby jednak z naszej strony niechętna zgoda na dalsze sprawowanie przez niego funkcji. Przecież poparliśmy ostatecznie tę kandydaturę w 2014 r.

Dlaczego teraz nie mogliście zrobić tego samego?

Wtedy byliśmy w opozycji, dziś jesteśmy partią rządzącą. Obserwowaliśmy poczynania Tuska w Radzie Europejskiej i wyciągaliśmy wnioski. Sam Donald Tusk nie wystąpił o poparcie polskiego rządu. Ponadto w europejskich instytucjach trwają działania przeciwko Polsce, którym były premier się nie przeciwstawiał, a nawet można mieć uzasadnione przekonanie, że je wspierał. Tego wszystkiego

nie było dwa i pół roku temu. Mimo to – podkreślam ponownie – istniała możliwość dogadania się ze zwolennikami jego kandydatury, a więc przede wszystkim z Niemcami.

Pytam o moment, w którym zapadła polityczna decyzja o niepopieraniu Tuska. Jeśli było to dość dawno – a tak wynika z pana słów – to powstaje pytanie, czy nie mogliśmy lepiej przygotować swojej dyplomatycznej ofensywy.

Od dawna było wiadomo, że to nie nasz kandydat i chętnie widzielibyśmy na tym miejscu kogoś innego, najlepiej oczywiście innego Polaka. Zgoda na dalsze pełnienie przez Donalda Tuska funkcji w Radzie Europejskiej byłaby dla nas bardzo trudna, ale byliśmy gotowi do kompromisu w zamian za ustępstwa w ważnych dla Polski sprawach. Nie można zatem mówić, że ostateczna decyzja o sposobie naszego działania w tej sprawie zapadła dawno. Przeciwnie – decyzja, że kompromisu nie będzie, zapadła późno.

Czego mogłyby dotyczyć te ustępstwa?

Chociażby budowy gazociągu Nord Stream 2. Nasz niemiecki partner – który

wciąż twierdzi, że to projekt czysto biznesowy, w co nikt oczywiście nie wierzy nawet w Parlamencie Europejskim – mógł na przykład powiedzieć: „Bardzo nam zależy, żeby nasz kandydat Donald Tusk sprawował nadal swoją funkcję, więc jesteśmy gotowi ustąpić w sprawie gazociągu”. Mając na szali bardzo ważny interes Polski i Donalda Tuska, wybrali byśmy na pewno to pierwsze.

Tylko żeby dokonać wymiany, trzeba mieć coś, co jest partnerowi niezbędne. Moglibyśmy na nią liczyć, gdybyśmy mieli realną możliwość zablokowania kandydatury Tuska w trakcie głosowania, ale od dawna było wiadomo, że jej nie mamy i mieć nie będziemy. Dlaczego więc Berlin miałby nam cokolwiek oferować na wymianę?

W Unii liczą się również niepisane zasady. Są nimi np. poszukiwanie zgody oraz niechęć do konfrontacji. Dlatego zabiegano o naszą zgodę na Tuska. Nie chciano powtarzać konfrontacji, do której doszło w kwestii przymusowej relokacji uchodźców. Wybrano konsensus zamiast głosowania. Miałem zresztą wrażenie, że stronie przeciwnej początkowo wcale tak bardzo nie zależało na kandydaturze Donalda Tuska.

REKLAMA

III Europejski Kongres Samorządów

27-28 marca 2017, Centrum Kongresowe ICE Kraków

SAMORZĄDY W OBLICZU WYZWAŃ XXI WIEKU



Miejsce spotkań liderów samorządowych z organizacjami pozarządowymi, nauką, biznesem, przedstawicielami ministerstw i agend rządowych – blisko 2000 osób



Ponad 60 wydarzeń – paneli, bloków programowych, wykładów, prezentacji, warsztatów – podzielonych na siedem ścieżek tematycznych



Nagroda Kongresu „Lider Samorządu” dla najlepszych władarzy polskich miast i gmin: prezydentów, burmistrzów i wójtów

■ forum@isw.org.pl ■ www.eks-krakow.pl
■ #EKS2017 ■ [@ForumEkonomiczne](https://www.facebook.com/ForumEkonomiczne)

Miasto Gospodarz EKS:  KRAKÓW
krakow.pl

W którym momencie to się zmieniło?

Jasny komunikat o twardym stanowisku Niemiec dostaliśmy dopiero podczas niedawnej wizyty Angeli Merkel w Polsce. Jednak wciąż chodziło o uzyskanie zgody Polski. Mówię to oczywiście jedynie z pozycji skromnego obserwatora, szeregowego posła Parlamentu Europejskiego...

Nie był pan skromnym obserwatorem. Razem z prof. Ryszardem Legutką był pan obecny przy rozmowie kanclerz Merkel z Jarosławem Kaczyńskim.

Nie ja podejmuję decyzje. Natomiast mogę powiedzieć, że nawet w czasie tamtych rozmów, choć podtrzymywaliśmy oczywiście nasze negatywne stanowisko w sprawie Donalda Tuska, wciąż była szansa na kompromis, a druga strona świetnie sobie z tego zdawała sprawę. Wziąwszy pod uwagę to, co się dzieje we Francji, Niemcy mogli znaleźć w Warszawie solidnego partnera nawet dla przebudowy UE, gdyby tylko byli w stanie pokonać swoje uprzedzenia i słabości charakteru, takie jak apodyktyczność i swego rodzaju autyzm polityczny. Ten autyzm ma też niestety elementy skrytego nacjonalizmu, ukrytego za europejską flagą.

Czy szansa na tę współpracę została zaprzeczona?

W tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Wydawało mi się, że budujemy wzajemne zaufanie, moźolnie, po niemieckim szoku spowodowanym wynikiem wyborów w Polsce w 2015 r., poprzez spotkania, rozmowy w Parlamencie Europejskim, dogadywanie się z niemieckimi posłami Europejskiej Partii Ludowej, poprzez spotkania przywódców CDU i PiS, o których opinia publiczna dowiedziała się niedawno. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy na dobrej drodze. Niestety, do porozumienia w sprawie Tuska nie doszło i trzeba jasno powiedzieć, że nie Polska ponosi winę za sytuację, która miała miejsce podczas szczytu w Brukseli. Był to skutek taktyki Berlina, a to każe postawić pytanie: Dlaczego Niemcy taką drogę wybrali.

Zatem – dlaczego?

W samych Niemczech ścierają się różne koncepcje. Co prawda niemiecka prasa nie pisze o napięciach, które mogłyby zaszkodzić niemieckim interesom, a niemiecka opozycja nie wynosi takich spraw na zewnątrz, ale wiadomo, że istnieją rozbieżności w widzeniu polityki zagranicznej między ministerstwem

Nasi partnerzy liczyli na to, że się cofniemy pod presją. Tak to nierzadko wygląda w przypadku innych państw naszego regionu. Ich przywódcy bywają ostrzy w retoryce wewnętrznej, ale na forum europejskim tracą kontenans

spraw zagranicznych a urzędem kanclerskim. Niemiecki rząd jest koalicyjny, a to oznacza, że twardy kurs wobec polskiego stanowiska mógł być wypadkową opinii CDU i SPD. Inne wyjaśnienie niemieckiej postawy jest takie, że nie chciano szukać kompromisu w tej sprawie, żeby nie musieć go szukać w innych, o wiele ważniejszych – na przykład w kwestii przebiegu i warunków Brexitu albo w kwestii przyszłości całej Unii Europejskiej, o czym będzie mowa na szczycie w Rzymie.

Odwroć ten argument: może to my zrobiliśmy błąd, idąc na zwanie w sprawie w gruncie rzeczy symbolicznej, zamiast zachować nasz potencjał i siły na naprawdę istotną batalię – o energetykę lub przyszłość UE? Czy dla naszych partnerów nie byłoby bardziej zrozumiałe i bardziej racjonalne, gdybyśmy zajęli mocne stanowisko w kwestii ważnej dla wszystkich, a nie tylko wewnętrznie dla nas samych?

Muszę powtórzyć kolejny raz: to nie my poszliśmy na zwanie. Natomiast wydaje mi się, że nasi partnerzy liczyli na to, iż się cofniemy pod presją. Tak to nierzadko wygląda w przypadku innych państw naszego regionu. Ich przywódcy bywają ostrzy w retoryce wewnętrznej, ale na forum europejskim tracą kontenans i godzą się ostatecznie na narzucane im rozwiązania. Tak właśnie postąpiła Grupa Wyszehradzka.

Może po prostu są rozsądni i nie widzą powodu, dla którego mieliby nadstawiać karku za nasze wewnętrzne spory.

Nie, są właśnie nierozsądni. Powinni rozumieć, na czym polega problem nierówności państw w UE. Raz przezwyciężyli ich najbardziej żywotnych interesów, czyli kwestii relokacji uchodźców. Wówczas Grupa Wyszehradzka zaistniała jako podmiot polityczny. W polityce trzeba bowiem mieć także trochę odwagi. Trzeba umieć walczyć o swoją pozycję. Nie zawsze trzeba spuszczać głowę i potakiwać.

Jednak trzeba również umieć wygrywać, a my przegraliśmy.

Jeśli się nie walczy, to nigdy się nie wygrywa.

Najlepiej walczyć wówczas, gdy jest szansa na wygraną.

Naturalnie, walczy się po to, żeby wygrywać, zgoda. Powtarzam jednak: warunkiem jest w ogóle podjęcie walki.

Mówi pan o braku odwagi naszych partnerów z Grupy Wyszehradzkiej. To mocne oskarżenie, dla nich na pewno nieprzyjemne. Jeszcze ostrzej zareagował elektorat PiS, obrażając obelgami Viktora Orbána na jego profilu facebookowym. Jak teraz będzie wyglądała współpraca w ramach V4?

Polacy mają prawo reagować emocjonalnie w pewnych sytuacjach. Natomiast przyszłość V4 oceniam realistycznie. To jasne, że nasze kraje nie we wszystkim się zgadzają. Nie od nas zależy, czy jako całość grupa będzie podmiotem politycznym, czy nie. Jednak moment, gdy takim podmiotem się raz staliśmy – właśnie w sprawie relokacji – był niezwykle znaczący. Niestety, nie został powtórzony.

Może nie został powtórzony, bo – inaczej niż w przypadku kwestii imigracji – państwa V4 nie dostrzegały żadnego swojego interesu w sprzeciwianiu się wyborowi Donalda Tuska?

Zgoda, nie była to dla nich sprawa zasadnicza, w każdym razie polityczna, lecz moralnie była bardzo ważna. Można na to spojrzeć szerzej. Wtedy zobaczymy, że nie była to tylko sprawa wewnętrzna Polski, ale sprawa pewnych zasad, solidarności, długoterminowej wartości sojuszu państw Europy Środkowej oraz niezgody na forsowanie przez silniejsze państwo UE swojego rozwiązania wbrew woli innego państwa członkowskiego. A przecież takie podejście – skoro już raz zastosowano je wobec Polski i nie spotkało się ze sprzeciwem – można będzie w przyszłości zastosować wobec innych. I w zapobieżeniu takiej ewentualności nasi partnerzy z Grupy Wyszehradzkiej mogli dostrzec swój interes, choć przyznaję, że realistycznie rzecz biorąc, nie mieliśmy dużej nadziei. Powinni sobie jednak zdawać sprawę, że to krok w stronę federalizacji Unii wokół jednego kraju.

Co dalej? Nie udało nam się zablokować wyboru Donalda Tuska, a przed nami szczyt w Rzymie, na którym będzie omawiana przyszłość UE. Co powinniśmy zrobić?

Tę bitwę przegraliśmy, musimy iść dalej. Pojawiają się nowe, ważne kwestie, a walka

o przyszły kształt UE jest niezmiernie istotna. Jeszcze przed konfliktem w sprawie przewodniczącego UE Grupa Wyszehradzka przygotowała swoje stanowisko i zostanie ono zgłoszone. Będziemy za wzmocnieniem państw narodowych oraz opowiemy się za trudnym procesem przebudowy UE poprzez otwarcie traktatów. Nie jest zresztą moim zdaniem przypadkiem, że w tym samym mniej więcej momencie mieliśmy konfrontację w sprawie Donalda Tuska oraz przerwanie procesu uzgadniania stanowisk w kwestii przyszłości wspólnoty pomiędzy nami i naszymi zachodnimi partnerami, którzy swoje własne stanowisko ogłosili w Wersalu.

Może w ogóle nie ma o czym rozmawiać? Marine Le Pen mówi, że jeśli zostanie prezydentem, to przeprowadzi w ciągu pół roku referendum w sprawie wystąpienia Francji z UE. Niby mało prawdopodobne, ale Brexit też wydawał się niemożliwy.

Nawet gdyby do czegoś takiego doszło, to jakieś transnarodowe struktury łączące państwa Europy pozostaną. Tak jak po wystąpieniu z Unii Wielkiej Brytanii. Jednakże nie możemy udawać, że Unia nie popada w coraz większe kłopoty. Słuchałem niedawno wykładu uznanego

niemieckiego ekonomisty, który mówił o tym, jak wielkie korzyści z unii monetarnej czerpie tylko jeden kraj – jego własny. I on przed tym przestrzegał – słusznie, bo pogłębiająca się nierównowaga gospodarcza i polityczna sprawia, że całość trzeszczy i będzie musiała się zmienić.

Kilkakrotnie w czasie tej rozmowy powiedział pan o rezultacie szczytu w Brukseli „przegrana bitwa”. Tymczasem Jarosław Kaczyński i inni politycy PiS mówią o wygranej. Zatem bitwa przegrana czy wygrana?

Trudne pytanie. Ocena zależy od przyjętego punktu odniesienia i oczekiwań. Wspaniale byłoby, gdyby Jacek Saryusz-Wolski został przewodniczącym Rady Europejskiej, ale sądzę, że on sam świetnie wiedział, iż to bardzo mało prawdopodobne. Ja uznałbym, że wygraną byłoby już odłożenie decyzji w czasie. I w tym sensie rzeczywiście w krótkiej perspektywie czasowej przegraliśmy. Jednak przegralibyśmy całkowicie i na długo, gdybyśmy się ugięli, tak jak oczekiwali nasi partnerzy.

Oslabiliśmy czy wzmocniliśmy swoją pozycję?

Euroentuzjaści uważają zapewne, że ją osłabiliśmy. Jednak zaniepokojone komen-

tarze z brzucha hegemonu – czyli z Niemiec – których autorzy zadają nerwowe pytania: co teraz będzie, czy nie zagraliśmy za ostro? – pokazują, że być może jednak naszą pozycję wzmocniliśmy.

W 2007 r., gdy negocjowano traktat lizboński, ostatecznie jednak ustąpiliśmy, choć wówczas szło o sprawę daleko ważniejszą niż obsadzenie stanowiska przewodniczącego RE.

Taka była decyzja prezydenta Lecha Kaczyńskiego. I była w tamtym czasie słuszna. Miało to jednak pewne psychologiczne konsekwencje, które obserwowałem z Niemiec. Otóż do momentu naszego ustępstwa istniała autentyczna obawa co do tego, jak się zachowa Polska. Tak jakbyśmy dysponowali polityczną bronią atomową. Gdy zrezygnowaliśmy z oporu, pojawiło się przekonanie, że ostatecznie zawsze ustąpimy. Miałem poczucie, że to naszą pozycję również w innych sprawach znacząco osłabiło. Teraz uważam odwrotnie: nasza stanowczość wzmocni polski potencjał. I wbrew twierdzeniom niektórych jest to podejście realistyczne: pozycja gracza zależy nie tylko od siły, jaką dysponuje, lecz także od odwagi, z jaką się jej używa. © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

NASZYM CELEM JEST
WALKA RAKIEM

ALIVIA.ORG.PL KRS: 0000358654

PRZEKAŻ 1% I POMÓŻ GO POKONAĆ

FUNDACJA ALIVIA PRZEKAZAŁA CHORYM NA RAKA JUŻ PONAD 5 600 000 ZŁ
NA POKRYCIE NIEREFUNDOWANYCH PRZEZ NFZ KOSZTÓW LECZENIA

ALIVIA
FUNDACJA ONKOLOGICZNA

Gry smoleńskie



Wojciech Wybranowski

Antoni Macierewicz zapowiada ogłoszenie kolejnego raportu o katastrofie smoleńskiej. Jednak podawane do tej pory informacje budzą wątpliwości, czy tragedia doczeka się rzetelnego wyjaśnienia

Mocne zapowiedzi szefa MON, deklaracje polityków, medialne sensacje stały się już rytuałem towarzyszącym obchodom kolejnych rocznic tragedii. Czy ponad rok po powołaniu przez ministra Antoniego Macierewicza Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego, a także po utworzeniu prokuratorskiego „zespołu smoleńskiego” jesteśmy bliżej wyjaśnienia przyczyn tragedii, do jakiej doszło 10 kwietnia 2010 r. na lotnisku w Smoleńsku? I tak, i nie.

– Możemy oczywiście znaleźć mnóstwo zaniedbań w działaniach poprzedniego rządu i prokuratury dotyczących katastrofy smoleńskiej. Na to też wskazywały zespół parlamentarny i podkomisja smoleńska, ale to już wiemy od dawna. Zaniedbania są nam znane, nie są tajemnicą, ale to nie wyjaśnia bezpośrednich przyczyn katastrofy – mówi tygodnikowi „Do Rzeczy” dr Zuzanna Kurtyka, żona zmarłego w katastrofie prezesa IPN

prof. Janusza Kurtyki. I dodaje: – Powoli tracę nadzieję, że uda się je ustalić. Ta tragedia stała się elementem obustronnej gry politycznej.

Wśród wielu tych, którzy w poprzednich latach nie przyjęli na słowo honoru raportu komisji Millera czy wcześniejszego raportu rosyjskiego MAK, wciąż obecna nadzieja na pełne wyjaśnienie sprawy nierzadko miesza się z rozczarowaniem.

– Jeszcze mam wiarę, że wszystkie okoliczności katastrofy zostaną wyjaśnione, bo gdybym tę nadzieję stracił, to po co byłoby te siedem lat szykan, zniewag, opluwania, jakie musieliśmy znosić jako bliscy zmarłych w katastrofie? – zaznacza w rozmowie z „Do Rzeczy” Janusz Walentynowicz, syn zmarłej w katastrofie Anny Walentynowicz, legendy Solidarności. Jednak i on przyznaje, że w kakofonii politycznych deklaracji zastanawia się, czy pełne ustalenie faktów będzie możliwe. – Jedyne, czego chcę, to poznać prawdę o śmierci mojej mamy.

Nie prawdę polityczną, ale pełną prawdę, jakkolwiek by ona była – podkreśla Walentynowicz.

MIZERNE EFEKTY

Krótko po zwycięstwie wyborczym PiS, w lutym 2016 r., minister obrony narodowej powołał w resorcie specjalną Podkomisję ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego. Zastąpiła Zespół Parlamentarny ds. Zbadania Przyczyn Katastrofy Tu-154M, którym Macierewicz kierował w latach 2010–2015. Na czele podkomisji stanął współpracujący wcześniej z politykiem PiS dr Wacław Berczyński, w skład zespołu weszło też wielu naukowców związanych z zespołem parlamentarnym.

Deklaracje i medialne zapowiedzi były obiecujące: wyjazd do Rosji i badania wraku tupolewa, spotkania i konsultacje z rosyjskimi ekspertami MAK, badanie samolotu w tunelu aerodynamicznym, analiza zachowania skrzydła tupolewa w zderzeniu z brzoza, ujawnienie ewen-

◀ CZY WIEMY COŚ WIĘCEJ O KATASTROFIE TU-154M? ▶



PODKOMISJA DO PONOWNEGO
ZBADANIA WYPADKU LOTNICZEGO
ul. Klonowa 6
00-909 Warszawa

Warszawa, dnia 8 marzec 2017 r.

PPZWL 69/2017

Dotyczy: prośby o udostępnienie informacji publicznej.

POWIADOMIENIE O WYZNACZENIU NOWEGO TERMINU DO ZAŁATWIENIA WNIOSKU O UDOSTĘPNIENIE INFORMACJI PUBLICZNEJ

Działając na podstawie art. 13 ust. 2 ustawy o dostępie do informacji publicznej (t.j. Dz.U. z 2016.1764 j.t.), powiadamiam Wnioskodawcę, iż wyznaczam dzień **25 maja 2017 r.** jako nowy termin na załatwienie wniosku o udostępnienie informacji publicznej z dnia 27 lutego 2017r.

Jednocześnie powiadamiam Wnioskodawcę, iż powodem opóźnienia w załatwieniu wniosku z dnia 27 lutego 2017 r. jest szczegółowy zakres pytań, który należy poddać szerszej analizie, czy odpowiedź na któreś z nich nie będzie naruszać zasad badania wypadku lotniczego. Ponadto należy przeanalizować, czy udzielenie kolejnych informacji na temat działania Podkomisji nie naruszą bezpieczeństwa i prywatności, czy też swobody w prowadzeniu badania przez członków Podkomisji, ekspertów czy też innych uczestników postępowania. W chwili obecnej w sferze publicznej znajduje się duży zasób ogólnie dostępnych informacji, na temat członków Podkomisji, które w niektórych przypadkach wchodzi w prywatną sferę danej osoby, zatem kolejne informacje mogą przynieść negatywny skutek w postaci pełnej identyfikacji naruszające dane osobowe. Wyjaśniam, iż informację publiczną Przewodniczący udostępni na umotywowany wniosek wyłącznie w celu zapobiegania zdarzeniom lotniczym na podstawie art. 104 § 1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. – Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz.U. z 2016 poz. 23 z późn. zm.) oraz art. 16 i art. 5 ustawy z dnia 6 września 2001 r. o dostępie do informacji publicznej (t.j. Dz.U. z 2016.1764 j.t.) w zw. z art. 134 ust. 1 i 1a ustawy z dnia 3 lipca 2002 r. Prawo lotnicze (t.j. Dz.U. z 2016 poz.605 z późn. zm.).

Sporządzający powiadomienie:

Imię i nazwisko MACIEREWICZ DEBRYNICKI
Stanowisko PRZEDKŁADAJĄCY

wykł. Z. Wójcik (T1/35)
tel. 261 842 250

tualnych manipulacji przy wcześniejszym badaniu katastrofy przez Komisję Badania Wypadków Lotniczych.

Na działalność podkomisji przeznaczono w roku ubiegłym 4 mln zł, z czego podkomisja wykorzystała 1,4 mln zł. Efekty prac? Mizerne. Chociaż w miesiącach poprzedzających przedstawienie pierwszych wniosków prac podkomisji niektórzy jej przedstawiciele komisji i sam Macierewicz w medialnych wystąpieniach nie oszczędzali mocnych słów (dr Berczyński mówił o tym, że samolot rozpadł się w powietrzu jeszcze przed uderzeniem w ziemię, szef MON z kolei przekonywał, że prezydent Kaczyński i współpasażerowie padli ofiarą zamachu), to w przedstawionym w październiku ubiegłego roku raporcie z prac podkomisji nie przedstawiono dowodów na wcześniej wygłaszane stwierdzenia.

Członkom podkomisji udało się jedynie potwierdzić, że podczas wcześniejszego badania przyczyn katastrofy, prowadzonego przez komisję Millera

jeszcze za czasów rządów PO-PSL, doszło do poważnych zaniechań i błędów, m.in. związanych z przekazaniem śledztwa Rosjanom. To nic nowego. Podobne wnioski wyciągał wcześniej parlamentarny zespół, postępowanie w tej sprawie prowadzi też prokuratura.

Zdaniem podkomisji zebrany przez nią materiał dowodowy ma też wskazywać, że jeszcze gdy tupolew znajdował się w powietrzu, ok. 15 m nad gruntem, doszło do poważnej usterki samolotu. Podkomisja nie wskazała jednak, dlaczego miało do awarii dojść, kto za nią odpowiada i czy mogłyby to być działania celowe. Starannie wystrzegano się też określenia „zamach”. – Nie przyjmujemy żadnych wstępnych hipotez ani żadnych założeń, nie wiemy, co się stało. Po to nas powołano, żebyśmy wyjaśnili, co się stało, bez żadnych wstępnych założeń – mówił w październiku dr Berczyński.

To spora zmiana w podejściu do sprawy. Raport przedstawiony w 2015 r. przez Zespół Parlamentarny ds. Zba-

dania Przyczyn Katastrofy Tu-154M, w którym rolę eksperta pełnił również dr Berczyński, wskazywał, że przyczyną katastrofy prawdopodobnie doszło do serii wybuchów m.in. na lewym skrzydle i w prezydenckiej salonce.

GDZIE ZAWIADOMIENIA?

Podczas prezentacji raportu podkomisji nie obyło się bez kontrowersji. Szef MON zaprezentował nagranie z 10 kwietnia 2010 r., na którym widać ówczesnych premierów Donalda Tuska i Władimira Putina oraz ministra ds. nadzwyczajnych Siergieja Sojigu. Przekonywał, że materiał przedstawia fakty dotąd nieznanne. Tymczasem, jak ujawnili dziennikarze śledczy zajmujący się katastrofą smoleńską, nagranie to było znane od sześciu lat.

Antoni Macierewicz zapowiadał też złożenie do prokuratury zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa przez Donalda Tuska, który – jak argumentował – wziął na siebie od-

powiedzialność za badanie tragicznej katastrofy. Szef MON do tej pory takiego zawiadomienia nie złożył.

Mimo medialnych deklaracji Macierewicz nie złożył też w prokuraturze innego zawiadomienia, o którym opowiadał dziennikarzom: przeciw Bogdanowi Klichowi, szefowi MON w rządzie PO-PSL. Według Macierewicza jego poprzednik za późno powołał państwową komisję do zbadania przyczyn katastrofy smoleńskiej. – Bogdan Klich złamał prawo. Będę występował do prokuratury w tej sprawie – zapowiadał szef MON. I powoływał się przy tym na art. 231 Kodeksu karnego.

Jak informuje „Do Rzeczy” prok. Ewa Bielik, rzeczniczka prasowa Prokuratury Krajowej, do tej pory Podkomisja ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego skierowała do prokuratury tylko jedno zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Dotyczy ono sfalszowania zapisów rejestratora ATM-QAR. Zawiadomienie to zostało dołączone do głównego śledztwa.

Europosłanka Beata Gosiewska, której mąż Przemysław, były szef klubu PiS, zginął w katastrofie smoleńskiej, broni efektów prac sejmowej podkomisji.

– Dlaczego nie ma wymiernych efektów jej prac? Moim zdaniem, po pierwsze, prace komisji zaplanowano na dwa lata, więc trudno po roku oczekiwać ostatecznych orzeczeń. Wierzę, że prace trwają – mówi „Do Rzeczy”. – Pamiętajmy jednak, że podkomisja może analizować jedynie ten sam materiał, który miała komisja Millera, naprawiać zaniedbania, badać to, co nie zostało, choć powinno zostać zbadane. Niemniej jednak bez oryginałów czarnych skrzynek i wraku trudno oczekiwać przełomu – zaznacza.

Bardziej sceptyczna jest Zuzanna Kurtyka. – Podkomisja smoleńska to bardzo dziwny twór, niejasny jest dla mnie do końca jej formalnoprawny status, niejednoznaczne są jej kompetencje, a efekty prac są... no, jakie są – mówi Kurtyka. – Podkreślam, że moim zdaniem powinna zostać powołana międzynarodowa komisja śledcza realizująca konkretne zadania, w której znaleźliby się naukowcy mający doświadczenie w badaniu katastrof lotniczych, w Polsce takich osób nie ma – dodaje.

WSZYSTKO ŚCIŚLE TAJNE

Na funkcjonowanie podkomisji w tym roku przeznaczono 2 mln zł. Na jakim etapie prac jest? Nie wiadomo. Ostatnia



Doktor Wacław Berczyński (drugi od lewej), ekspert Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego. FOT. TOMASZ ADAMOWICZ/GAZETA POLSKA/FORUM

informacja o planach prac zamieszczona na stronach internetowych MON pochodzi z 15 listopada 2016 r. Nie wiadomo też, czy członkowie podkomisji w tym roku w ogóle się spotkali – na stronach MON takiej informacji brak.

„Do Rzeczy” zwróciło się z pytaniami do podkomisji. Chcieliśmy wiedzieć m.in.: czy zapowiadana analiza została przygotowana, jakie działania zmierzające do odzyskania wraku tupolewa zostały podjęte, jakie czynności wykonała podkomisja od czasu przedstawienia raportu jesienią ubiegłego roku, a także w jakich sprawach podkomisja składała zawiadomienia do prokuratury. Poprosiliśmy również o przedstawienie zaplanowanego harmonogramu prac podkomisji.

Na pytania nie uzyskaliśmy jednak odpowiedzi. Przewodniczący podkomisji dr Wacław Berczyński poinformował nas, że przesunął termin nadesłania odpowiedzi o dwa miesiące. „[...] Powodem jest szczegółowy zakres pytań, które należy poddać szerszej analizie, czy odpowiedź na któreś z nich nie narusza zasad badania wypadku lotniczego” – napisał ekspert [skan pisma na poprzedniej stronie – przyp. red.]. Szef podkomisji, uznał też, że w przestrzeni publicznej krąży zbyt wiele ogólnie dostępnych informacji na temat członków podkomisji, dotyczących ich prywatności, a „kolejne informacje mogą przynieść negatywny skutek w postaci pełnej identyfikacji naruszającej dane osobowe”.

Na brak informacji cierpią jednak nie tylko dziennikarze. Skarżą się na to także rodziny zmarłych w katastrofie smoleńskiej. – Mniej więcej od roku moja wiedza na temat katastrofy smoleńskiej jest na tym samym poziomie – mówi dr Zuzanna Kurtyka. – Brakuje np. informacji o prowadzonych działaniach i ich rezultatach.

Jedynie o czym, jako rodziny zmarłych w katastrofie smoleńskiej, wiemy, to o działaniach prokuratury, która próbuje nadrobić zaniedbania, do jakich doszło w ostatnich latach; sprawdza, weryfikuje, prowadzi ekshumacje, które powinny zostać przeprowadzone w kwietniu 2010 r.

KOLEJNE HIPOTEZY

Przed publikacją raportu z prac podkomisji szef MON niejednokrotnie mówił, że przyczyną katastrofy miał być zamach. Od października ubiegłego roku starannie się tego słowa wystrzega. Teraz, zapowiadając kolejny raport, który niebawem ma przedstawić podkomisja, sugeruje, że potwierdzone zostaną odpowiedzialność rosyjska za doprowadzenie do katastrofy i odpowiedzialność Donalda Tuska za zaniechania dotyczące śledztwa smoleńskiego. – Będzie to wyjaśnienie przyczyn technicznych tragedii oraz wskazanie odpowiedzialności za działania i zaniechania w związku ze śledztwem smoleńskim. Tak jak w pierwszej kwestii sprawstwo Rosjan, tak w drugiej Donalda Tuska są bezsporne – deklarował Antoni Macierewicz w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy”.

„Odpowiedzialność Rosjan” stała się nośnym politycznie hasłem Antoniego Macierewicza. W styczniu, witając w Żaganiu amerykańskich żołnierzy, katastrofę smoleńską wymienił jako przykład rosyjskiej agresji. Podobną tezę postawił też miesiąc później na konferencji prasowej w Monachium, gdzie odbywała się 53. Konferencja Bezpieczeństwa.

W kuluarach PiS nieoficjalnie mówi się, że Macierewicz znów wyrывa się przed szeregiem i pośpieszonymi ocenami może sprawie zaszkodzić. – Oczywiście jest, że Rosja na sprawie zyskała politycznie, propagandowo, ograła też nas, jak chciała – mówi jeden z partyjnych

kolegów szefa MON. – Jednak dopóki nie ma się twardych dowodów na faktyczny udział Rosji w katastrofie, dopóty lepiej milczeć, bo różnymi niesprawdzonymi hipotezami tylko daje się zielone światło przeciwnikom i rosyjskiej agenturze wpływu, by sprawę ośmieszyć – dodaje.

Rzeczywiście hipotez, które głosił obecny szef MON, było już kilka. Zaledwie parę miesięcy po katastrofie mówił, że przyczyną katastrofy smoleńskiej był wyciek paliwa. Później wersja się zmieniła – odpowiedzialność za tragedię mieli ponieść kontrolerzy z wieży lotniczej w Smoleńsku, którzy mieli celowo naprowadzać polski samolot „na śmierć”. Była też mowa o „oślepiającym błysku” i trzech osobach, które przeżyły katastrofę. Wreszcie pojawiła się wersja o wybuchach i zamachu. A każdą kolejną teorię Macierewicz przedstawiał nie jako hipotezy, ale jako fakty.

Czy wyjaśnienie przyczyn katastrofy smoleńskiej i wskazanie odpowiedzialnych za nią osób polegnie w gąszczu kontrowersji, politycznych spekulacji i niesprawdzonych hipotez?

ŚLEDZTWO I ZARZUTY

– Moim zdaniem idziemy jednak do przodu, zarówno dzięki pracom podkomisji, jak i pracy zespołu prokuratorów jesteśmy bliżej niż dalej wyjaśnienia wszystkich okoliczności katastrofy. To, co bardzo szanuję, to zmiana podejścia prokuratury do katastrofy smoleńskiej – mówi „Do Rzeczy” mec. Stefan Hambura, prawnik części rodzin smoleńskich.

Sprawą zajmuje się zespół śledczych Prokuratury Krajowej. – Obecnie zespół

śledczy prowadzi siedem postępowań dotyczących różnych aspektów związanych z katastrofą smoleńską. Żadne postępowanie nie zostało zakończone decyzją merytoryczną – informuje prok. Ewa Bielik, rzeczniczka Prokuratury Krajowej.

Część z nich dotyczy zaniechań i braku działań funkcjonariuszy publicznych w związku z wyjaśnianiem katastrofy. W ciągu ostatniego roku prokuratorzy z zespołu śledczego zdecydowali o wszczęciu dwóch postępowań. Jedno z nich zostało wszczęte o czyn z art. 129 kk (nadużycie zaufania w stosunkach z zagranicą). Drugie zaś dotyczy ujawnienia lub udostępniania informacji niejawnych.

W ciągu siedmiu lat śledztwa prokuratura postawiła zarzuty dwóm kontrolerom z wieży w Smoleńsku. Rosja odmówiła doręczenia im wezwań

Prokuratura Krajowa zawarła też umowę z brytyjskim Forensic Explosives Laboratory na analizę śladów materiałów wybuchowych w próbkach pobranych w trakcie śledztwa smoleńskiego. W 2012 r. Cezary Gmyz na łamach „Rz” ujawnił, że badania próbek pobranych z wraku samolotu wskazały, iż mogą się w nich znajdować ślady trotylu.

Sensacyjne okazały się dotychczasowe wyniki ekshumacji szczątków części ofiar katastrofy smoleńskiej, które śledczy

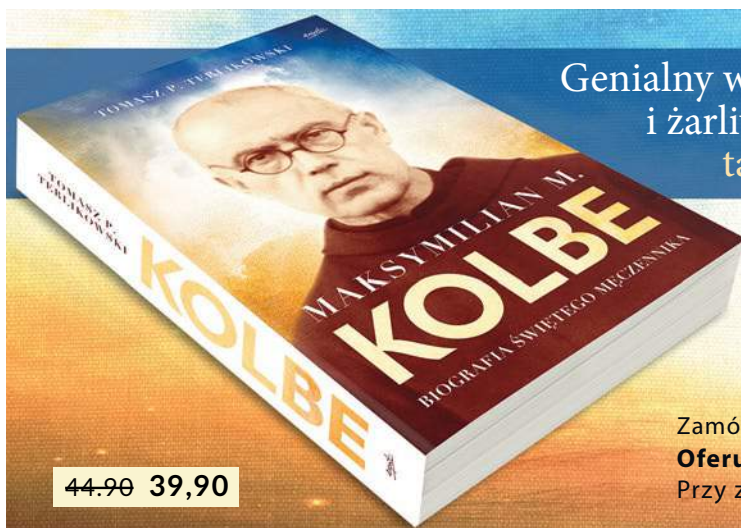
zdecydowali się przeprowadzić mimo głośnych protestów opozycji. Wiadomo już, że była to decyzja uzasadniona. Po autopsji szczątków znalezionych w grobie, w którym miał spoczywać Piotr Nurowski, okazało się, że pochowano tam ministra Mariusza Handzlika.

W ubiegłym tygodniu we wtorek ekshumowano ciało z grobu Andrzeja Przewoźnika oraz ciało najmłodszej ofiary katastrofy smoleńskiej, stewardesy Natalii Januszko. Szczątki będą podane ekspertom w jednym z zakładów medycyny sądowej.

W ciągu siedmiu lat śledztwa prokuratura zdecydowała się postawić zarzuty dwóm kontrolerom lotu z wieży w Smoleńsku. Do tej pory nie zdołała ich jednak im przedstawić. Rosja odmówiła doręczenia wezwań z polskiej prokuratury, twierdząc, że nie podlegają wykonaniu. Jeden z kontrolerów miał usłyszeć zarzuty nieumyślnego spowodowania katastrofy, drugi – bezpośredniego spowodowania niebezpieczeństwa katastrofy.

Zarzuty przedstawiono natomiast dwóm oficerom byłego 36. specpułku, podejrzanym o niedopełnienie obowiązków służbowych w związku z organizacją lotu Tu-154M. Z oskarżenia prywatnego przed sądem stanęli natomiast: Tomasz Arabski, były szef kancelarii premiera Donalda Tuska, oraz dwóch pracowników KPRM i dwóch ambasady RP w Moskwie. Część rodzin smoleńskich zarzuca im niedopełnienie obowiązków przy przygotowywaniu wizyty w Smoleńsku. Proces trwa. © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Genialny wynalazca, medialny lider i żarliwy patriota. Terlikowski odsłania tajemnice wielkiego świętego!

To wielka książka. I znakomita przygoda duchowa. Gorąco polecam. Adam Woronowicz

Zamów na esprit.com.pl lub zadzwoń: 12 267 05 69

Oferujemy rabaty!

Przy zamówieniu powyżej 70 zł - przesyłka gratis.

44.90 39,90

Krajobraz po bitwie



Piotr Semka

W rozgrywce o reelekcję Donalda Tuska PiS popełnił błędy i musi z tego wyciągnąć wnioski. Na horyzoncie są nowe problemy

Poszło źle. Ekipa PiS po szczycie brukselskim i reelekcji Donalda Tuska musi wyciągnąć wnioski. Zrozumiałe, że w obliczu frontalnego ataku opozycji Jarosław Kaczyński minimalizował straty, wskazując na obronę zasad i niezginanie karku przed Paryżem i Berlinem. Teraz jednak jego partia ma czas na wyciąganie wniosków w wewnętrznych dyskusjach.

Jednakże odezwały się głosy sugerujące, że ekipa PiS mogła wybrać dobre scenariusze wyjścia ze sporu o Tuska. Nie było dobrych. Były złe i bardzo złe. Wydarzenia nie stoją w miejscu. Przed PiS pojawiają się już nowe dylematy i zagrożenia. Wyliczmy wyzwania, które jawią się na horyzoncie,

i zastanówmy się, jak Polska winna sobie z nimi poradzić.

NOVA MITOLOGIA

Każda porażka wywołuje nerwowe dyskusje. Część krytyków polityki PiS po prawej stronie spełnia wymogi racjonalności, ale część tworzy nową mitologię.

Pierwszy mit głosi, że Tusk i tak był skazany na reelekcję i PiS powinien to „mięko” przyjąć do wiadomości. Bardzo długo pozycja Tuska była niepewna. On sam w wywiadzie z 20 grudnia dość asekurancyście mówił: „Tym wszystkim, którzy robią źle Polsce, nie odpuszczę, czy w Brukseli, czy po powrocie do Polski”.

Czy PiS – jak to sugerują dziś niektórzy „doradcy” – mógł wystąpić z wielomiesięczną kampanią przeciw reelekcji Tuska i powołać do budowania koalicji państw w tej sprawie? Nie sądzę. Na pewno zmobilizowałoby to wszystkich obsesyjnych wrogów „dobrej zmiany” w Polsce spod znaku Guya Verhofstadta czy Fransy Timmermansa.

Jarosławowi Kaczyńskiemu pozostawało jedynie czekać na dobrą koniunkturę, która zbiegłaby się z decyzją Angeli Merkel, by poświęcić Tuska na ołtarzu normalizacji

relacji z Polską rządzoną przez PiS. Kaczyński wziął za dobrą monetę trwającą od lata zeszłego roku dyskretną dyplomację z Merkel. Jej zwieńczeniem była wizyta kanclerz w Polsce 7 lutego 2017 r. Czy padły wtedy jakieś aluzje z ust Merkel, że Tusk nie jest „pewniakiem”?

Kaczyński twierdzi, że jeszcze miesiąc przed szczytem brukselskim emisariusze szefowej niemieckiego rządu zapewniali, że Tusk nie zostanie wybrany wbrew woli rządu w Warszawie. Niezależnie od tego, czy Kaczyński źle odczytywał sygnały, czy Merkel zmieniła linię – lider PiS słusznie mógł uznawać zachowanie Berlina w sprawie Tuska za test wiarygodności prób poprawienia relacji na linii Kanclerz – Nowogrodzka.

Trudno odmówić tej polityce racjonalności. Problem pojawił się w momencie, gdy się okazało, że Niemcy w drugiej połowie lutego zaczęli na nowo skłaniać się ku swemu ulubieńcowi. Pamiętajmy, że na rzecz reelekcji Tuska działało spore lobby w polityce i mediach.

Być może sygnałem do ofensywy zwolenników Tuska był przeciek na łamach „Financial Timesa”, że Kaczyński miał

się przechwalać w rozmowie z Merkel, że wysłał list gończy za byłym liderem PO. To pomogło orędownikom reelekcji Tuska zdefiniować opór Warszawy wobec ambitnego gdańszczanina jako prywatną obsesję Kaczyńskiego i stworzyć hasło: „Nie wolno ustępować PiS”. Wkrótce potem – jak pisałem w poprzednim „Do Rzeczy” – Merkel zaniepokojona sukcesami SPD w kampanii do Bundestagu uznała, że kontrolowalny Tusk to bezpieczniejsza alternatywa, a socjaliści uznali, że niedawanie Kaczyńskiemu satysfakcji z porażki Tuska jest ważniejsze niż wywalczenie stanowiska szefa RE dla kogoś ze swojego grona.

Do tej chwili Kaczyński działał racjonalnie, choć przeceniał determinację Merkel na rzecz normalizacji relacji z Polską.

Lider PiS popełnił błąd, gdy odreagował nieprzyjemne zaskoczenie odkryciem, że Niemcy stają murem za Tuskiem – poprzez pospieszne i nieprzygotowane wystawienie kandydatury Jacka Saryusza-Wolskiego. Na użytek krajowy był to efektowny sztucz – Platforma została zaskoczona, a PiS pokazał, że nadal umie wyciągnąć opozycji ważną postać z jej szeregów.

Tyle że „akcja Saryusz” na forum Rady Europejskiej nie zdała egzaminu.

Jeśli prawdą jest, że była ona dziełem Ryszarda Czarneckiego i Zdzisława Krasonońskiego, to widać w niej skrzywienie perspektywy. W europarlamencie Jacek Saryusz-Wolski jest znany, ale na forum szefów rządów unijnych już nie.

Kolejnym błędem było wypuszczenie z otoczenia ministra Witolda Waszczykowskiego groźby użycia „broni atomowej”, czyli nieuznania szczytu w razie odmowy wysłuchania Saryusza-Wolskiego jako kandydata. Doświadczeni bywalcy unijnych szczytów ostrzegliby, że Berlin i Paryż, choćby dla zasady, znajdą jakiś kruczek proceduralny, aby podciąć Polsce nogi.

Nie było za to błędem wystąpienie Beaty Szydło na Radzie Europejskiej, podczas którego spokojnie przedstawiła przesłanie Polski: że Unia nie robi dobrze, łamiąc niepisaną zasadę, iż nie powołuje się na wysokie stanowisko unijne kogoś, kto nie ma wsparcia rządu macierzystego kraju, i że stało się coś złego. Może ten głos naszego kraju zapadnie w pamięć, może nie. Nie przekonamy się o tym szybko. Jednak to za spokojną determinację tego wystąpienia i wcześniejsze wytrzymanie perswazyjnej rozmowy z Angelą

Merkel liderzy PiS witali polską premier na lotnisku w Warszawie kwiatami.

W POJEDYNKĘ KAŻDY JEST SŁABSZY

Paru moich kolegów po piórze chwaliło ostatnio Viktora Orbána za kierowanie się własnym interesem i rozgrzeszyło go z poparcia Tuska oraz złamania – jak się zdaje – obietnicy danej Kaczyńskiemu, że Węgry nie poprą nikogo z Polski bez zgody polskiego rządu. Powiem wprost – nie rozumiem tego zachwytu.

Zaufanie w polityce jest takim samym czynnikiem jak pieniądze czy siła militarna. Viktor Orbán, łamiąc swoją obietnicę, osłabił zdolność wszystkich państw Grupy Wyszehradzkiej do wspólnych akcji na forum Unii. Rozgrywanie przeciw sobie państw naszego regionu przez silnych ma długą i niedobrą tradycję.

Orbán korzysta dziś z parasola (dość dziurawego) w postaci EPP i specjalnych relacji Fideszu z niemiecką CDU. Jeśli jednak jesienne wybory w RFN wygrają Martin Schulz i jego SPD, a we Francji nowym prezydentem zostanie Emmanuel Macron, to dwaj nowi socjalistyczni liderzy Unii mogą szybko dobrać się do Węgier jako „bastionu populizmu”. Idźmy dalej. W postanowieniach ostatniego szczytu znalazły się enigmatyczne zobowiązania do zmian w polityce azylowej Unii jeszcze za obecnej prezydencji Malty, czyli do końca czerwca. Co będzie, jeśli Angela Merkel zechce złagodzić nastroje niemieckich wyborców zaniepokojonych liczbą imigrantów w RFN przeferowaniem jeszcze przed wyborami obowiązkowych kwot?

A co, jeśli zacznie się obcinanie dotacji Polsce w myśl złowróżbnej zapowiedzi François Hollande’a? Kto następny po Polsce może zostać tak ukarany?

Teoretycznie kraje wyszehradzkie mają wiele powodów, by działać razem przeciw lekceważeniu ich podmiotowości przez największych unijnych graczy. W praktyce nie mają tradycji działania razem i dzieli je mnóstwo uprzedzeń. Od różnych interesów – np. różny jest poziom ich obaw przed Rosją – do wzajemnej nieufności wynikłej z historii, od czeskiej niechęci do polskiej wielkopolskości, do podejrziwości Słowaków wobec resentymentów terytorialnych Węgrów. Elity proeuropejskie mają nawyk kpienia z „partykularyzmu” krajów wyszehradzkich i orientowania się wyłącznie na Berlin.

Każde z państw V4 dogadujące się z Niemcami i Paryżem za plecami pozostałych jest znacznie słabsze niż razem. Niemiec i francuscy politycy dobrze zapamiętają sobie elastyczność Orbána i kiedyś wykorzystają ją przeciw premierowi Węgier. Wielu z jego dzisiejszych chwalców nie wierzy w jakiegokolwiek prawo narodów naszej części Europy do prowadzenia samodzielnej polityki. Retoryka jednoci zawsze premiuje najsilniejszych.

PADŁEŚ – POWSTAŃ

Nadzieja Jarosława Kaczyńskiego na jakieś partnerstwo z Angelą Merkel została wystawiona na poważną próbę. W stosunku do Viktora Orbána prezes PiS nie potrafił ukryć „uczucia zawodu”. Co pozostaje? Wrócić do rzeczy małych. Szukania zbieżności interesów z krajami V4, państwami bałtyckimi czy nawet opuszczającą Unię Wielką Brytanią w rzeczach małych i średnich. Bez nadziei na szybkie i efektowne sojusze. I przyglądać się uważnie rozwojowi wydarzeń w Europie. Ci, którzy wybrali Donalda Tuska na złość Polsce, też mają swoje kłopoty.

PiS musi się skupić na wzmocnieniu infrastruktury dyplomatycznej, a nie na gromkich wywiadach Jarosława Kaczyńskiego zapowiadających, że nie będzie zgody na Europę kilku prędkości. Polska dyplomacja musi mniej mówić, a bardziej uważnie obserwować zmiany sił w obecnej Unii, aby znaleźć miejsce dla swoich interesów. Zmiany w MSZ jawią się jako coś coraz bardziej oczywistego.

Jarosław Kaczyński musi zrozumieć, że nie da się robić polityki międzynarodowej bez własnego aparatu analitycznego w sprawach zagranicznych. Mszczą się zaniedbania z lat pozostawiania w opozycji.

Bądźmy jednak realistami. Rząd PiS płaci frycowe za prawie 25 lat monopolu na posady w dyplomacji dla postkomunistów i Unii Wolności oraz Platformy. Ambasadorzy i dyplomaci z nowego zaciągu uczą się swej roli i z czasem będą zdobywać coraz większe doświadczenie.

Opozycja ma własny interes, by krzyknąć, że „nie stać nas na naukę dyplomatów”. Gdy ogląda się Rafała Trzaskowskiego czy Grzegorza Schetynę pozujących na znawców Europy, warto przypomnieć sobie odwrotność PiS-owskiego potykania się o własne nogi. Klub białej flagi. O tym też warto pamiętać przy okazji ostatnich wydarzeń.

MARCIN MAKOWSKI: Czy rozmawia pani regularnie z innymi sędziami Trybunału Konstytucyjnego?

JULIA PRZYŁĘBSKA: Tak, rozmawiamy regularnie.

I jakie nastroje?

Nastroje są różne, przechodzimy teraz przełomowy moment. Wybrani zostali nowi sędziowie, paru odeszło, w tym były prezes prof. Andrzej Rzepliński, który w dość specyficzny sposób prowadził prace Trybunału. Przez rok pod jego kierownictwem nie zebraliśmy się w pełnym gronie na żadną radę...

Pytam o rozmowy z sędziami, bo kilku z nich się żali, że nie chce pani wysłuchać ich głosu krytycznego. Sędzia Pszczołkowski twierdzi nawet, że otwierana jest prywatna korespondencja.

Zacznę od korespondencji. Zarzut sędziego Pszczołkowskiego dotyczył sędziego Muszyńskiego i mówimy o incydencie, a nie o „otwieraniu prywatnych listów”. Do wiceprezesa Biernata przyszła służbowa poczta z zaproszeniem na konferencję do Luksemburga, ja otrzymałam identyczne. Otwarto oba listy, aby to zaproszenie przekazać i uruchomić procedurę przygotowania wyjazdu. I tyle, cała historia z „inwigilacją”. Natomiast jeśli chodzi o dialog wewnątrz TK, to gdy wnioskowałam o podobne spotkania, sędzia Rzepliński odpowiadał, że nie ma takiej potrzeby. Dzisiaj słyszy się, że to ja nie chcę debatować przy okrągłym stole. Wcześniej spotykaliśmy się na korytarzu, nie było fundamentalnej dyskusji o TK, a teraz nagle niektórym zmienia się koncepcja. Jeśli ktoś do mnie przychodzi indywidualnie, to zawsze go wysłuchuję. Być może do większego spotkania dojdzie po audycie, który muszę przeprowadzić. Na razie jednak część sędziów nie chce podobnego spotkania. Musimy uzgodnić stanowiska, bo tylko rozmowa w pełnym gronie miałaby sens. Nie da się przecież ukryć, że to potrzebne, bo są między nami napięcia.

Faktycznie trudno udawać, że nic się nie dzieje, jeśli wiceprezes Trybunału alarmuje, iż instytucja nie funkcjonuje normalnie, a pani łamie regulamin.

Nie rozumiem, co znaczy, że Trybunał „nie funkcjonuje normalnie”. W stosunku do jakiej normalności? Tej, która była? Chętnie bym o to zapytała sędziego Biernata, ale przebywa obecnie na urlopie wypoczynkowym i będzie na nim przebywał długo, bo do końca jego kadencji jest kilka miesięcy. Od 1 kwietnia będzie



**Z Julią Przyłębską,
prezes Trybunału
Konstytucyjnego
rozmawia Marcin Makowski**

Nie obawiam się Trybunału Stanu



miał łącznie 57 dni urlopu do wykorzystania. Możliwe, że do pracy już nie wróci. Będę uparcie podkreślała, że te zalety muszą być wykorzystywane, bo to skandaliczna praktyka, żeby sędziowie regularnie odbierali z tego tytułu ogromne ekwiwalenty pieniężne.

Sędzia Biernat tłumaczy, że z urlopu nie korzysta, bo znacznie częściej niż pani orzeka i pracuje. Po prostu nie ma czasu na wolne.

W sierpniu, gdy nie ma sesji Trybunału, też nie można wziąć wolnego? Powiem krótko – temat urlopów uważam za zamknięty. Każdy sędzia musi te dni odebrać zgodnie z obowiązującym prawem pracy przed końcem swojej kadencji. Nie przyjmuję do wiadomości tłumaczenia Stanisława Biernata, że to sędzia sam decyduje, kiedy i ile czasu wolnego odbierze. Podobne praktyki się skończyły. To prezes TK będzie decydował o administrowaniu i organizowaniu, również pracy sędziów. W zeszłym roku prezes Rzepliński, gdy błyskawicznie w ciągu tygodnia chciał rozpoznać jakąś sprawę, potrafił pół składu ściągnąć z urlopów, opłacić wszystkie koszty i nikt nie dyskutował. Nikt nie kwestionował jego kompetencji. Proponowałabym sędziom więcej refleksji i konsekwencji. Jeśli zaczniemy sytuacyjnie traktować normy prawne, to powstanie prawdziwy chaos.

Chaos chyba już jest. Przecież inaczej były prezes Trybunału Jerzy Stępień nie mówiłby, że w polskim

sądownictwie „panuje klimat jak z lat 40.”

Znam te słowa i jestem zbulwersowana podobnym porównaniem. Nie żyłam w czasach nazizmu oraz stalinizmu, ale wszyscy mamy dostęp do literatury historycznej i warto z niej korzystać. Nie ma żadnej analogii między obecną Polską a Polską lat 40. Używanie wielkich kwantyfikatorów, uogólnień i barwnych metafor w podobnych przypadkach moim zdaniem nie przystoi sędziemu TK w stanie spoczynku.

Profesor Andrzej Zoll idzie jeszcze dalej. Jego zdaniem obecna sytuacja polityczna w Polsce – również wokół wymiaru sprawiedliwości – „nosi znamiona faszyzmu”.

Słucham tych wypowiedzi i nie potrafię ich zrozumieć. Gdyby sędziowie Zoll i Stępień najpierw dokonali definicji nazizmu, stalinizmu czy faszyzmu, opisałiby pokrótce, jak i czy w ogóle w takich systemach funkcjonował niezawisły wymiar sprawiedliwości, a następnie zestawiliby te fakty ze stanem obecnym, to dopiero wtedy byłoby możliwe podjęcie jakiegokolwiek dyskusji. Ponieważ tak się nie dzieje, nadużywanie tych określeń przez sędziów i profesorów uważam za degenerację cywilizowanego dyskursu.

Przejdźmy do aktualnych prac Trybunału. 2 marca grupa posłów PiS skierowała skargę, w której politycy podważają legalność wyboru pierwszej prezes Sądu Najwyższego, prof. Małgorzaty Gersdorf. Twierdzą oni, że w 2014 r. prezydent Komorowski nie mógł zgodnie z przepisami powołać Gersdorf na urząd, bo Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN nie przedstawiło mu uchwały dotyczącej kandydatów. Zgadza się pani z tą opinią?

Niestety, nie mogę się na ten temat wypowiadać, ponieważ jestem przewodniczącą składu sędziowskiego orzekającego zasadność wniosku posłów PiS.

Opozycja twierdzi, że mianowanie pani na to stanowisko sprawia, iż można mówić o politycznej próbie karania „niepokornego” Sądu Najwyższego. Skład orzekający to w końcu pięciu sędziów, z których czterech zostało wybranych już za kadencji obecnego rządu.

Nie widzę żadnego zagrożenia odnośnie do upolitycznienia wniosku o zbadanie legalności wyboru prof. Gersdorf. Wszyscy jesteśmy takimi samymi sędziami, nie należymy do partii politycznych, a jeśli opozycja ma co do tego wątpliwości, to proponuję poczekać do zakończenia naszych prac i przeanalizowania ich przebiegu.

Kiedy możemy się spodziewać konkluzji z tego sporu?

Myślę, że wkrótce, ale proszę pamiętać, iż w Trybunale czekają jeszcze sprawy z 2013 r. Może przestaniemy funkcjonować tak, jak to w przeszłości często bywało, że w pierwszej kolejności załatwiano „świeże” rzeczy, a pozostałe odkładano na bok. Jest wiele wniosków zwykłych obywateli – niemniej ważnych, a może nawet ważniejszych niż polityków – i z równą starannością będziemy się im przyglądać. Każdy traktujemy według tych samych standardów, tj. badania zgodności z konstytucją. Nie ma innych pozamerytorycznych kryteriów.

■ Czy podobnie pani zdaniem będzie w sprawie, która na wniosek Andrzeja Rzeplińskiego przez sąd apelacyjny trafiła do Sądu Najwyższego, a dotyczy legalności pani wyboru na fotel prezesa TK?

Jeśli chodzi o wniosek, który został złożony w postępowaniu przed sądem apelacyjnym, to mam do niego wiele uwag czysto merytorycznych. Nie tylko ja, również wielu prawników, z którymi rozmawiałam. Są zdumieni, że w ogóle taki wniosek został sformułowany. Sądy powszechne nie są uprawnione do badania zasadności, jeśli chodzi o wybór prezesa Trybunału. Poza tym nie wiem, jaką zdolność procesową ma sędzia w stanie spoczynku Andrzej Rzepliński. Nie rozumiem intencji sądu i nie znajduję dla niego żadnego uzasadnienia w obowiązującym prawie.

Wnioskodawca twierdzi, że uzasadnienie istnieje, ponieważ kandydatów na prezesa Trybunału przedstawia się prezydentowi w formie uchwały. Tymczasem na Zgromadzeniu Ogólnym Sędziów TK głosowano nad kandydatami, ale uchwały nie podjęto ze względu na brak wymaganej większości. Do Andrzeja Dudę dotarło tylko pismo zatytułowane jako „uchwała”, ale nie spełniało jej wymogów.

Przepis z ustawy o Trybunale, na który powołuje się sędzia Rzepliński, mówi o tym, że wyborowi prezesa nadajemy formę uchwały i nie ma tutaj drugiej uchwały podpisywanej przez Zgromadzenie, ale jej definicję wyczerpuje sam akt wyboru. Chodzi o to, żeby ustanowienie nowego prezesa nie było jakimś wyciągiem z protokołu zebrania, ale miało bardziej oficjalną formę możliwą do przedstawienia prezydentowi. Legalność mojego wyboru nie ulega żadnej wątpliwości. Osoby, które nie potrafią czytać norm prawnych, odsyłam do jednoznacznej treści uzasadnienia do ustawy wprowadzającej te przepisy.

Wątpliwości, nie tylko formalne, zgłaszane są przez opozycję również w kwestii sposobu pani pracy. Czy prezes Trybunału może być skuteczny, jeśli mieszka poza granicami Polski, dojeżdża na obrady i trzeba mu specjalnie wynajmować mieszkanie w Warszawie? To optymalny układ?

Na pewno jest to sytuacja niewykraczająca poza normę. Jest wielu sędziów TK, którzy mieszkają poza Warszawą: wiceprezes Biernat, sędzia Tuleja, Szafnicka, Kieres i wielu innych. Wcześniej, przed przeprowadzką do Berlina, przebywałam na stałe w Poznaniu i mieszkanie dla mnie zostało wynajęte już wtedy i jest jednym z wielu, które są do dyspo-

zycji pracowników Trybunału. Wszyscy sędziowie mają identyczny standard, bez względu na to, czy mieszkają w Radomiu czy w Brukseli. Tak stanowią przepisy funkcjonujące od wielu lat. Przecież nawet sędzia Stanisław Rymar, który mieszka kilkadziesiąt kilometrów pod Warszawą, złożył podobny wniosek. Warto na to zwrócić uwagę, oceniając sędziów według tych samych kryteriów. Taki jest wymóg ustawy, aby zapewnić wszystkim sędziom Trybunału miejsce zakwaterowania w Warszawie.

À propos kryteriów oceny postępowania sędziów – rzecznik KRS Waldemar Żurek stwierdził niedawno, że w stosunku do sędziów prowadzi się obecnie rodzaj politycznej nagonki. Mówi, że może zostać usunięty z pracy, ale „przysięgi sędziowskiej nie złamie”. Ktoś zmusza w Polsce sędziów do działania niezgodnego z prawem?

Nie znam takich sytuacji, a jeśli są, to chętnie je poznam. Sędzia Żurek często wypowiada się w podobnym duchu, mówi o szykanach, których doświadcza całe środowisko. Czekam na opis tych przypadków,

Ponieważ sądownictwo traciło w ostatnich latach swój autorytet, nic dziwnego, że zmiany są czasem stanowcze

bo jeśli są prawdziwe, to powinna się tym zająć prokuratura. Natomiast z oceną reformy wymiaru sprawiedliwości proponowałabym się wstrzymać do jej zakończenia.

Nie ma pani wrażenia, że jednak coś się w podejściu do sędziów w Polsce zmieniło? Być może Ministerstwo Sprawiedliwości zbyt radykalnie zabrało się do zmian i stąd ten opór części środowiska?

Uważam, że po zmianie władzy rozpełtała się jakaś nieuzasadniona polityczna histeria, w którą niestety włączyło się wielu sędziów. Cały czas rozmawiam z prawnikami o różnych poglądach i prawie każdy się zgadza, że reforma wymiaru sprawiedliwości jest potrzebna. Musimy pamiętać, że trzecia władza nie jest dla sędziów, ale dla społeczeństwa, i to społeczeństwo jest podmiotem opiniotwórczym, który ma prawo do oceny, jaki model funkcjonowania tejże władzy mu odpowiada. Ponieważ sądownictwo

traciło w ostatnich latach swój autorytet, nic dziwnego, że zmiany są czasem stanowcze.

Czy również jako stanowcze można określić plany reformy Krajowej Rady Sądownictwa, której większość członków miałby wybierać parlament? Wielu konstytucjonalistów twierdzi, że może to być precedens do upolitycznienia tego ciała.

Jest to jedno z tych pytań, na które prezes Trybunału nie może odpowiadać, ponieważ dotyczy obecnie proceduralnych regulacji. Natomiast jeśli chodzi ogólnie o funkcjonowanie trójpodziału władzy, pamiętajmy, że żadna z jej części nie działa w oderwaniu i całkowitej niezależności. Dobrze, aby potrafiły się one rzetelnie przenikać i uzupełniać swoje kompetencje.

Obawia się pani dualizmu prawnego w Polsce? Niektórzy sędziowie zaczynają otwarcie sugerować, że sądy powszechne powinny wyrokować na podstawie samej konstytucji. Sędzia Zoll twierdzi nawet, że: „Sędziowie dublerzy nie są sędziami TK. Orzeczenia z ich udziałem są non est”. Do czego to zmierza?

Wierzę w niezawisłość i rozsądek sędziów, którzy będą potrafili osądzić, czy podobne zarzuty są adekwatne do rzeczywistości. Nie ma „sędziów PiS-owskich”, „sędziów dublerów” etc. Każdy z tych trzech sędziów został włączony do orzekania zgodnie z obowiązującym prawem, co pośrednio uznał były prezes Andrzej Rzepliński, nie odmawiając im prawa do wynagrodzenia i zasiadania w ławach Trybunału. Podobne argumenty moim zdaniem są wyrazem bezsilności, bo nie da się dyskutować o prawie, używając języka pozaprawnego, a niestety z takimi przypadkami mamy nagminnie do czynienia.

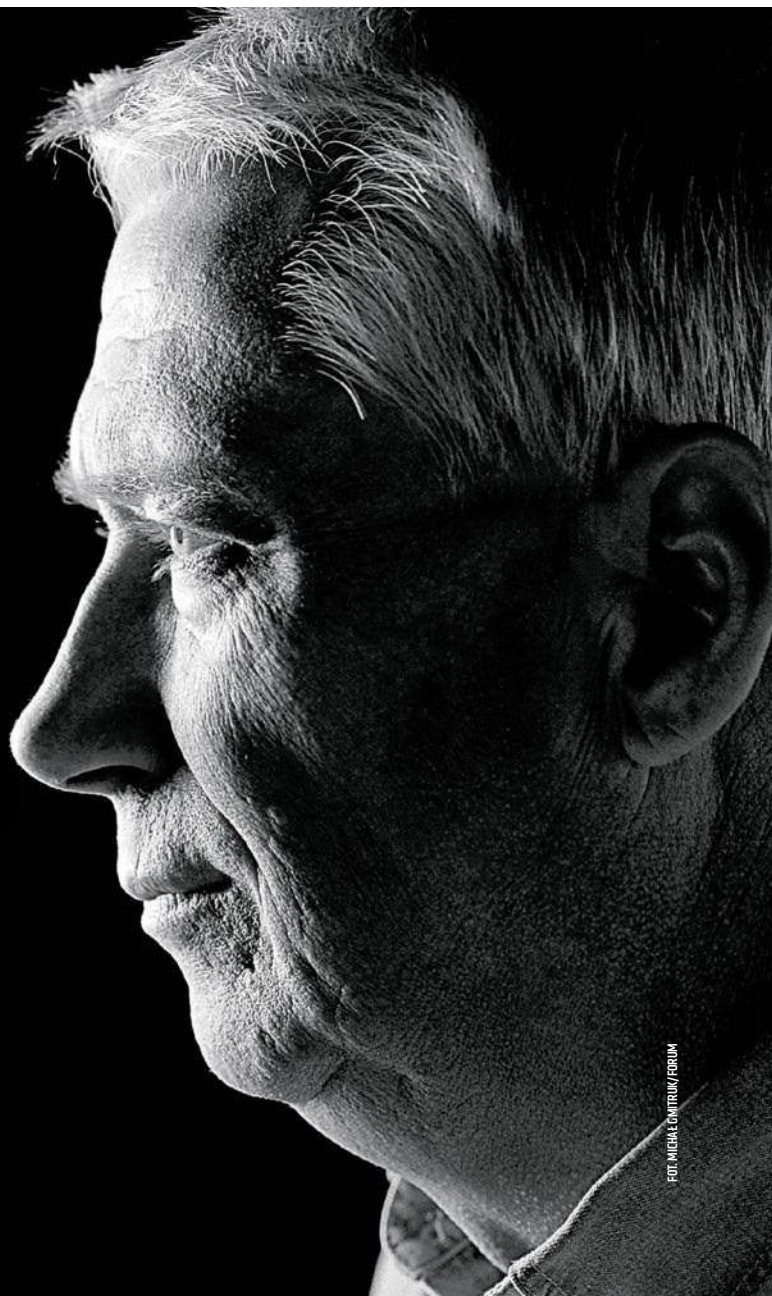
Nie boi się pani zatem zapowiedzi, że po zmianie władzy zostanie pani postawiona przed Trybunałem Stanu?

Nie obawiam się Trybunału Stanu. Raz jeszcze podkreślam, to retoryka polityczna, która nie znajduje uzasadnienia w obowiązujących przepisach. Jeśli ktoś może mieć sobie coś do zarzucenia, to raczej ci przedstawiciele zawodu, którzy uważają się za „wyjątkową kastę ludzi” albo po prostu dokonują pospolitych przestępstw, kradnąc w sklepach. Dzisiaj część środowiska sędziowskiego musi dokonać głębokiej autorefleksji i to jest prawdziwe, realne wyzwanie stojące przed trzecią władzą. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



26 marca skończyłby 76 lat. Zabrakło 11 dni.
Zmarł Wojciech Młynarski,
obok Agnieszki Osieckiej i Jonasza Kofty
najwybitniejszy polski autor tekstów piosenek
oraz znakomity ich interpretator,
poeta i felietonista, jedna z najważniejszych postaci
naszej powojennej kultury

Majster Słowa



FOT. MICHAŁ GONTLIK / FORUM

To, co napisał na przełomie lat 60. i 70. zeszłego wieku, tworzy kanon polskiego kabaretu, estrady, musicalu. Już swoimi pierwszymi utworami podbił publiczność, odnajdując zupełnie nowy, satyryczny ton, nieznany wcześniej, krytyczny wobec otaczającej nas rzeczywistości, a przy tym utrzymany na niesłychanie wysokim poziomie artystycznym.

Jego dawnych utworów, tych najstarszych, z „Jesteśmy na wczasach”, „W co się bawić” i „Światowym życiem” na czele, domagano się na koncertach pół wieku po ich premierze. Tej pierwszej piosenki, jak mówił, nie był już w stanie

śpiewać. – Jak długo można? – pytał, udając zgorzelenie. Słuchacze nie mieli takich obiekcji, Młynarski ich bawił, wzruszał, skłaniał do myślenia. Tą samą „Układanką”, tymi samymi „Róbmy swoje”, „Polską miłością”, „Lubię wrony”.

W 1971 r. nagrał płytę zatytułowaną po prostu „Recital '71”. Świetną muzyką: ze znajdującymi się wtedy u progu wielkiej kariery Adamem Makowiczem i Michałem Urbaniakiem. Są tam „Hotel Europa” oraz „Przyjdzie walec i równa”. Te piosenki przegrywano sobie wcześniej na magnetofonach, niczym songi Wysockiego w ZSRS. A, swoją drogą, Młynarski tłumaczył tego świetnego

rosyjskiego barda i śpiewał jego piosenki, tak jak utwory Bułata Okudźawy.

I PROSZĘ CIOĆ, I PROSZĘ STRYJCÓW

Wściekał się na estradową amatorszczyznę i uprawianą przez współczesnych wykonawców najpodlejszą tandetę udającą sztukę. On sam – twórca absolutnie wybitny, bezbłędny liryczny – najchętniej mówił o sobie po prostu „tekściarz”. A ze swoich cech autorskich najwyżej stawiał, jak każdy porządny rzemieślnik, pracowitość.

W 1997 r. napisał „Dyktaturę wyjćców”. Stosunkowo mało znaną, a że jest niedługa, zacytuje ją w całości:

**Kiedyś, gdy się budziła Polska
z przeszłości nieodległej, znam to,
to jej śpiewały Rena Rolska
Sława Przybylska, Irka Santor.**

**Urocz były te piosenki,
małe dramaty i tęsknoty,
i odpływały kawiarenki,
na szczęście lśnił pierścionek złoty.**

**A dziś kto powie: mea culpa,
gdy się przelewa wciąż od rana
muzyczna przeraźliwa pulpa
i słowa, dzieło grafomana?**

**Melodie nie do powtórzenia,
fryzura, strój – małpiarstwa szczyt
i szczyt samozadowolenia,
choreografia: święty Wit.**

**Wiem, daję za to Fryderyki,
na tym polega qui pro quo
i pseudokopia Ameryki.
Ale kochani, póki co**

**przeklinam po angielsku: Goddam!
I proszę ciao, i proszę stryjców,
nigdy, przenigdy się nie poddam
tragicznej dyktaturze wyjść.**

Rzeczywiście, śpiewanie wymienionych przez niego piosenek dominowało w muzyce rozrywkowej w młodziennych latach artysty, tworzyło estetykę tamtego okresu. Jednak przecież Młynarski, przy całym swoim szacunku do przeszłości, hołdował dla Hemarów i Ordonek, nazwisko wyrobił sobie, pisząc teksty z jednej strony dla kabaretów (w tym do najlepszego z nich – Dudka – którego stał się, obok Stanisława Tyma, najważniejszym autorem), a z drugiej strony dla młodych wykonawców bigbitowych.

CZASAMI TRZEBA PIANO

Spod jego ręki wyszło wiele przebojów Skaldów, zespołu wyjątkowego, bo przecież pisali dla niego i inni znakomici autorzy, z Agnieszką Osieką i Leszkiem A. Moczulskim na czele. Młynarski zaczął z nimi współpracę w 1967 r. od – powstałego ponoć w ciągu 20 minut – utworu „Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał”. A potem się posypało... Na trzecim, najpopularniejszym longplayu braci Zielińskich i s-ki nagrana jest m.in. „Prześliczna wiolonczelistka” i będący ewenementem w dziejach Skaldów „Bas”, z wyraźnie politycznym, antygomułkowskim podtekstem: „Nie zawsze twój bas dociera do mas, / Czasami trzeba piano...”

Nie tylko pisał dla bigbitowców, lecz także podpowiadał im... „Jechaliśmy kiedyś ze Zgaduj-Zgadulą – wspominał – na wspólną trasę i w autobusie usiadłem obok Czesława [Niemena], którego jeszcze wtedy nie znałem. Zobaczyłem, że czyta jakiś wiersz Norwida. Powiedziałem, że chętnie pożyczę mu mój PIW-owski zbiorek – ten w słynnej żółtej obwolucie – bo tam znajdzie dziesiątki znakomitych tekstów przyszłych songów: to po prostu gotowe przeboje! I że już teraz mogę mu polecić z czystym sumieniem »Bema pamięci żałobny rapsod«.

On to potraktował śmiertelnie serio – ja zresztą też. W każdym razie napuściłem go, mówiąc krótko i żargonowo, na tego Norwida i on go rzeczywiście przeczytał i powiedział, że coś spróbuje zrobić. No i zrobił: coś wspaniałego!”

Towarzysko przynależał jednak Młynarski do starszyny estradowo-festiwalowej, prowadząc się np. z Kądyńskimi. Dosłownie w ciągu kilku lat znalazł się w czołówce polskich tekściarzy, współpra-

**Wojciech Młynarski
w ciągu kilku lat znalazł
się w czołówce polskich
tekściarzy. Zabiegali o niego
najwybitniejsi wykonawcy**

cując z... Właściwie łatwiej powiedzieć, z kim nie współpracował. A zabiegali o niego najwybitniejsi wykonawcy. Dla Krystyny Konarskiej napisał „Jesiennego pana”, dla Teresy Tutinas – „Jutro Warszawa”, Jarema Stępowski wyśpiewał jego „Statek do Młocin”, a Andrzej Zaucha „Bądź moim natchnieniem”. „Z kim tak ci będzie źle jak ze mną” – pytał jego słowami Kalina Jędrusik. „Żyj kolorowo” – namawiała Ewa Bem, a „Poranne łyzy” liczyła Krystyna Prońko. A gdzie Edyta Geppert („Och życie, kocham cię nad życie”), gdzie Dana Lerska („Po prostu jestem”)? Halina Frąckowiak („Czekam tu”), Halina Banaszak („Mam ochotę na chwileczkę zapomnienia”), gdzie Bronisław Mec („Z wielkiej nieśmiałości”), Michał Bajor („Ogrzej mnie”), Zbigniew Wodecki („Lubię wracać tam, gdzie byłem”) i tylu, tylu innych...

KTO NIE PASUJE DO WINIETKI

Napisał tysiące krótkich form poetyckich, większość piosenek, ale nie mało pozostało też jako wiersze. Swego czasu

wyspecjalizował się w czymś, co krytyka nazwała, przy jego aprobach, „rymowaną felietonistyką”. Felietony te publikował – oczywiście już w wolnej Polsce – w różnych stołecznych gazetach, które jak jeden mąż upadały, a Młynarski przenoślił się ze swoim tekstem do innego dziennika. Aż w końcu nie było już gdzie pójść. No, prawie...

W okolicach wyborów z 4 czerwca 1989 r. popełnił Młynarski wstrząsające dzieło pod tytułem „Siwieję” ze słowami:

**Znów na pierwszych stronach gazet kraj
kochany
Huczy Tokio, piszczy Paryż, dudni Londyn
O Michnikach i Kuroniach
A ja słucham i na skroniach
Coraz bardziej platynowy jestem blondyn.**

**No i myślę tak, że jakby się powiedło
I Mazowieckiemu, i Solidarności
Byłbym pierwszym – tak na oko –
Lokatorem tego bloku
Co osiwił nie ze zmartwień, a z radości!**

Minęło ponad ćwierć wieku i oto po pierwszych wynikach wyborów prezydenckich roku 2015 Wojciech Młynarski, wcześniej zdeklarowany zwolennik Tuska i Komorowskiego, pisze utwór „Liczę na cud”, spopularyzowany przez niezawodną „Gazetę Wyborczą”:

**Nienormalni i normalni,
skołowany polski ludu.
Rodacy nieobliczalni,
żyjący w krainie cudów.**

**Nowa czeka nas atrakcja,
którą tak bym zdefiniował,
szykuje się demokracja
policyjno-wyznaniowa.**

**Na nowego Prezydenta,
co podkreślam w tym wierszyku,
będzie wpływać Trójca Święta
ustami swych urzędników.**

**I nareszcie, piękna sprawa
w skali makro, w skali mikro,
można będzie z mocy prawa
zapuszkować za in vitro.**

**A kto spyta – Co jest grane?
Nie pasuje do winietki,
się odwiedzi go nad ranem
i założy bransoletki.**

WIELORYB GOLIATH

No, na takie proroctwa przy Czerskiej miejsce znajdowało się zawsze. Brakowało z pewnością na ważniejsze, ale od

polityki dystansujące się strofy i dystychy. Dodajmy: od polityki bieżącej, swoją popularność w PRL zbudował przeciw Młynarski na opozycyjności względem systemu. Skądinąd, jak na wybitnego przedstawiciela Salonu Warszawskiego przyszło, do czasu grywał na dwóch klawiaturach jednocześnie, w efekcie czego w 1987 r. otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za całokształt twórczości, a rok później kulturalną Nagrodę Solidarności. Krzyż Oficerski otrzymał artysta od prezydenta Kwaśniewskiego w roku 2000 – za wybitne zasługi w ruchu studenckim z okazji jubileuszu Zrzeszenia Studentów Polskich (sic!), a Krzyż Komandorski 11 lat później – od Komorowskiego. Dosłownie kilka dni temu został kawalerem francuskiego Orderu Sztuki i Literatury, przyznano mu za upowszechnianie kultury francuskiej w Polsce. Za realizowane w jego ukochanym teatrze Ateneum widowisk „Brel” i „Brassens”, za tłumaczenia Aznavoura, za nasycenie własnej twórczości klimatami znad Sekwany, za „Niedzielę na Głównym” czyli naszą odpowiedź na „Dimanche à Orly” Gilberta Becoud.

To właśnie „Niedzielę na Głównym” uważał Wojciech Młynarski za swój profesjonalny debiut – w roku 1963. Był nieprzychylnie młody – miał 22 lata, studiował polonistykę, a jego piosenki (m.in. „Ulicę Żabią”) z powodzeniem śpiewano w Hybrydach – klubie mieszczącym się wtedy przy ulicy Mokotowskiej, o którego obliczu decydował Młynarski, m.in. z Janem Pietrzakiem. Dwa lata później do spółki z Krzysztofem Dzikowskim napisali do muzyki Janusza Senta musical „Niedopasowani, czyli Goliath Wieloryb”. Mało kto wie, z czego się wziął tytuł tego, nawiąsem mówiąc, niezbyt udanego dzieła. Otóż imieniem Goliath ochrzczono martwego wieloryba, którego pokazywano w Warszawie przed Halą Mirowską, a oglądały go tłumy ciekawskich mieszkańców stolicy. A z musicalu „Niedopasowani...” wyszła piosenka Karin Stanek „Trzysta tysięcy gitar nam gra”.

Duże formy pociągały autora, który w latach 70. napisał kilka librett operowych i musicalowych. Z tego wziął się „Henryk VI na łowach” do muzyki Karola Kurpińskiego, powiedzmy, że z odniesieniami do sztuki Wojciecha Bogusławskiego. Powstały też „Cień”, „Życie paryskie”, „Kalmora”, „Awantura w Recco”, „Wesołego, powszednie-

go dnia”, „Kominiarze”. Jednak to nie te dzieła decydować będą o miejscu Wojciecha Młynarskiego w kulturze polskiej, ale piosenki. Nawet niekoniecznie te, które śpiewała plejada polskich piosenkarek i piosenkarzy, ale te, które wykonywał sam. Często było tak, że autor brał do swego repertuaru te utwory, które wcześniej miały premierę w innych – bywało, że znakomitych – interpretacjach, na ogół aktorskich. Tak było choćby z „Balladą o Dzikim Zachodzie”, w Dudku śpiewaną przez Jana Kobuszewskiego i Wiesława Gołasa, a później przez Młynarskiego na jego recitalach. Jak sam opowiadał, raz tylko nie zdecydował się na powtórzenie swojej piosenki za kimś innym, w tym przypadku Gołosem, który genialnie zaprezentował jeden z najważniejszych utworów Młynarskiego – „W Polskę idziemy”.

JEŚLI AŻ TYLU PRZYJACIÓŁ...

W 1977 r. na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu odbył się jeden z niezapomnianych koncertów, które stworzyły magię tej imprezy. Zatyłowany był: „Nastroje – nas troje”, a złożyły się nań piosenki Agnieszki Osieckiej, Jonasza Kofty i Wojciecha Młynarskiego właśnie. O zmarłym w 1988 r. Kofcie mówił Młynarski, że z ich trojga on chyba najbardziej był poetą. A Osiecka? O tej wielkiej swojej rywalce napisał w 1997 r. przejmujący wiersz „Poetka znikła w oddali”:

*Poetka znikła w oddali
Bardzo Dalekiej Oddali,
wszyscy ją świetnie znali,
wszyscy ją strasznie kochali.*

*Lecz skoro tak ją kochali,
Tak bezgranicznie, tak mocno,
Czemu w co drugim Jej wierszu
Taka straszliwa samotność?*

*Jeśli aż tylu Przyjaciół
wciąż przy Niej, za Nią się snuło,
czemu w co drugiej piosence
takie błaganie o czułość?*

Sam Młynarski w swoich tekstach zazwyczaj nie zajmował postawy prośzalnej, a też mógłby błagać – o zdrowie. Przez długie lata publiczną tajemnicą była jego choroba nerwowa, którą ukrywał do czasu, gdy w wywiadzie powiedział o swoim maniacko-depresyjnym cierpieniu. Następnie informację tę uściślił, mówiąc o chorobie afektywnej dwubiegunowej, objawiającej się m.in. dużą zmiennością nastrojów, okresami dobrego samopoczucia

przeplatającymi się silnymi depresjami. W ostatnich dwóch latach zmagał się ponadto z ciężkim schorzeniem serca.

Uplywające lata uświadamiały nam coraz wyraźniej, jak ważną osobą w naszym życiu kulturalnym jest Wojciech Młynarski. Stąd wziął się festiwal jego twórczości urządzony w Sopocie w 2013 r., stąd płyta z coverami jego piosenek nagrana przez zespół Raz, Dwa, Trzy, stąd jeszcze wcześniej Gala na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Niewątpliwie teksty Młynarskiego będą śpiewane i teraz, i później, ale – jedno jest pewne – już nigdy tak samo.

Miał artysta świetne koneksje rodzinne. Był stryjecznym wnukiem Emila Młynarskiego, współzałożyciela i pierwszego dyrektora Filharmonii Warszawskiej oraz jej pierwszego dyrygenta, w latach 1919–1929 dyrektora Opery Warszawskiej. Ciotka Wojciecha Młynarskiego, Neli, wyszła za mąż za sławnego pianistę Artura Rubinsteina. Młodsza siostra, Barbara, w Polsce była aktorką; od 1971 r. mieszka w Szwajcarii i zajmuje się m.in. poezją.

Wojciech Młynarski był dwukrotnie żonaty. Z pierwszego, trwającego 29 lat związku z Adrianną Godlewską, miał troje dzieci: znaną dziennikarkę Agatę, parającą się m.in. aktorstwem i dziennikarstwem Paulinę oraz muzyka i wokalistę Jana.

W wywiadach, których nie udzielał wielu, coraz mocniej akcentował przywiązanie do przeszłości. Żartował, że i do PRL-owskiej, bo to jak w tym dowcipie, gdy się spotyka dwóch facetów i jeden mówi do drugiego, że jednak ten socjalizm miał ludzką twarz. – Nie – zaprzecza jego rozmówca – to nie on miał ludzką twarz, tylko ty byłeś młodszy.

Cóż, o panu Bzowskim, PRL-owskim emerycie, w którego serialową postać wcielił się wiele lat temu Edward Dziewoński, Młynarski śpiewał:

*Kiedys kiełbasa była z mięsa,
cukier rozpuszczał się, klej kleił,
a jak sen przysiadł ci na rzęsach,
nie zasypiałeś bez nadziei.*

*Dziś jest pan na przedwczesnej rencie
i są kłopoty spore z panem,
pan w czarnej skrzynce swej pamięci
za dużo ma zapamiętane.*

Jak będzie funkcjonowała nasza pamięć? W każdym razie wierzę, że Wojciecha Młynarskiego w swojej czarnej skrzynce uda mi się przechować.

Warunkiem wejścia Polski do UE było m.in. ustanowienie obszaru Natura 2000. Objęte nim zostały wszystkie doliny głównych rzek w kraju FOT. FOTOLIA

Czas rzek



Łukasz Zboralski

O transporcie na polskich rzekach marzono od pokoleń. Teraz, gdy zaplanowano miliardowe inwestycje, ekolodzy przekonują, że to wielki błąd

Przywrócić transport towarów na polskich rzekach – tę mantrę powtarzało od dekad wiele rządów. Wszystkie te pomysły okazywały się palcem po wodzie pisane. Teraz może jednak nastąpić przełom. Polska ratyfikowała właśnie europejskie porozumienie o głównych śródlądowych wodach o znaczeniu międzynarodowym (AGN) i dołączyła do 18 krajów, które chcą tworzyć i utrzymywać szlaki wodne między swoimi portami. Przez Polskę przebiegają fragmenty trzech z dziesięciu głównych

tzew. autostrad wodnych (E30, E40 oraz E70). A inwestycje na nich pokrywają się z rządowymi planami rozwoju śródlądowych dróg wodnych do 2020 r. (z perspektywą do 2030 r.).

Na przystosowanie rzek do standardów żeglugi AGN w Polsce ma zostać wydanych 70–90 mld zł.

– To jest przejście do innej ligi, jeśli chodzi o transport – podkreślał podczas podpisania konwencji Andrzej Duda. I rzeczywiście, będzie to przełom, bo – jak dodawał prezydent – dzisiaj transportu wodnego w Polsce w zasadzie nie ma.

Podobnie źle jak dziś było tuż po I wojnie światowej. W dobrym dla żeglugi roku 1926 spławiono w Polsce ponad 2 mln ton towarów, co stanowiło zaledwie 1,8 proc. tego, co transportowano koleją. Z dostępnych 4846 km wodnych arterii żegluga odbywała się na zaledwie 700 km. Powody były proste. „Zupełne zaniedbanie przez rządy zaborcze komunikacji wodnych w największej połaci kraju, tj. byłym zaborze rosyjskim” – diagnozował w opracowaniu „Dziesięciolecie Polski odrodzonej” wydany w 1928 r. inż. Mieczysław Rybczyński, profesor Politechniki Warszawskiej i kierownik Ministerstwa Robót Publicznych.

Władze II RP od początku zdawały sobie sprawę, jaki niewykorzystany potencjał marnuje się w kraju. I plany miały ambitne. Od 1924 r. w cztery lata budżet prze-

znaczony na drogi wodne wzrósł z 5,4 mln zł do blisko 30 mln zł. Intensywnie zajmowano się regulacją i pogłębianiem Wisły. Przystosowywano jej „morski odcinek” do Tczewa dla ruchu statków morskich, regulowano San i tworzone projekty dla innych rzek. Myślano o strategicznym kanale Wisła-Odra.

A potem przyszedł wrzesień 1939 r. i wszystkie plany i prace przecięła wojna. Trzy lata po jej zakończeniu, gdy usuwano zniszczenia, wykonano więcej prac na polskich rzekach niż przez całe późniejsze dziesięciolecia.

DOGONIĆ EUROPE

Nie dziwi więc, że na tle Unii Europejskiej udział żeglugi śródlądowej we wszystkich gałęziach transportu w Polsce jest dziś znikomy. W 2015 r. przewieźliśmy rzekami 5 mln ton ładunków. W tym samym roku w Niemczech tonaż ła-

dunków wyniósł 221 mln ton, a w całej UE śródlądowymi drogami wodnymi przetransportowano 539 mln ton.

Do nadgonienia mamy więc całą epokę. To musi kosztować. Skąd weźmiemy miliardy złotych? Jak wynika z informacji „Do Rzeczy”, Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej prowadzi już rozmowy z różnymi instytucjami finansowymi, które są wstępnie zainteresowane inwestycjami w polskie wodne drogi, ale czekają na szczegóły. Niewykluczone, że część inwestycji powstanie w ramach partnerstwa prywatno-publicznego. Za sześć lat planowana jest rewizja transeuropejskiej sieci transportowej TEN-T, a włączenie do tej sieci rzek daje możliwość ubiegania się o unijne środki.

Resort już przygotowuje inwestycje odcinków związanych z AGN. – Trwają prace nad przygotowaniem opisu przedmiotu zamówienia, który stanie się częścią dokumentacji przetargowej na opracowanie studium wykonalności dla Odrzańskiej Drogi Wodnej (ODW) – informuje biuro prasowe ministerstwa. – W przypadku drogi wodnej rzeki Wisły, MGMIŻS włączyło się w prace kilku ministerstw zmierzające do realizacji stopnia wodnego poniżej Włocławka. Obecnie trwają starania o uzyskanie zgód środowiskowych.

W styczniu Polska, Czechy i Słowacja podpisały memorandum w sprawie współpracy na rzecz przygotowania projektu Połączenia Dunaj-Odra-Łaba (DOL). A priorytet resortu to modernizacja dróg wodnych w miejscach, które przerywają dziś możliwość żeglugi długotrasowej (projekty na Odrze i Wiśle).

PUŁAPKA NATURA 2000

Do rozwiązania pozostaje jeden problem – prawie

wszystkie doliny głównych rzek w Polsce zostały objęte unijnym programem sieci obszarów objętych ochroną przyrody Natura 2000. Jego uchwalenie było jednym z warunków przyjęcia Polski do UE. Trudno nie zauważyć, że w ten sposób – oprócz rzeczywistej ochrony przyrody – kraje UE, które już miały uregulowane rzeki,

– Transport wodny śródlądowy może być proekologiczny tylko wtedy, gdy droga wodna już istnieje – stwierdził w komunikacie WWF dr Przemysław Nawrocki.

Głos w sprawie zajęła też Polska Akademia Nauk. „Proponowane zmiany zagrażają funkcjonowaniu sieci obszarów chronionych Natura 2000 na terenie

W 2015 r. polskimi rzekami przetransportowano 5 mln ton ładunków, niemieckimi – 221 mln ton, a w całej UE było to 539 mln ton

położyły tamę na polskich drogach wodnych. Chociaż ważna była też późniejsza gorliwość rodzimych urzędników. „Kraje Unii Europejskiej, podejmując inwestycje na śródlądowych drogach wodnych, dążą do równoważenia rozwoju gospodarczego poprzez wspieranie żeglugi śródlądowej czy energetyki wodnej, jako rozwiązań proekologicznych. Tymczasem w Polsce uwarunkowania środowiskowe stają się najpoważniejszą barierą rozwojową dróg wodnych” – zauważał w opracowaniu w 2010 r. dr kpt. ż.s. Krzysztof Woś z Urzędu Żeglugi Śródlądowej w Szczecinie.

Tuż po podpisaniu konwencji AGN obrońcy przyrody z polskiego oddziału WWF w alarmującym komunikacie stwierdzili: „Prezydent podpisał wyrok na polskie rzeki”. Chociaż transport wodny emituje najmniej CO₂ (w gramach na tonokilometr: transport wodny – 33,4 g/tkm, kolejowy – 48,1 g/tkm, drogowy – 164 g/tkm) oraz nie trzeba przy nim walczyć z hałasem, a skutki wypadków komunikacyjnych są minimalne, to zdaniem ekologów w Polsce dobry nie jest. Dlaczego?

kraju. Znacząco upośledzają również możliwości pełnienia przez doliny rzeczne istotnych funkcji ekosystemowych” – napisał prof. dr hab. Krzysztof Spalik. I dodał, że oznacza to nie tylko straty środowiskowe, lecz także ekonomiczne.

Resort gospodarki wodnej ma inne zdanie. – Przy współpracy z przedstawicielami środowisk naukowych: specjalistami w zakresie transportu wodnego śródlądowego, inżynierami, ekonomistami, przyrodnikami, podważono wszystkie tezy stawiane w imieniu Komitetu Biologii Środowiskowej i Ewolucyjnej PAN przez Pana prof. dr. hab. Krzysztofa Spalika – odpowiedział tygodnikowi „Do Rzeczy” biuro prasowe Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej.

Ministerstwo zaznacza też, że ochrona przyrody w sieci Natura 2000 nie musi być sprzeczna z rozwojem gospodarczym i nie wyklucza inwestycji, a stopień ingerencji w przyrodę i ewentualnych kompensacji zostanie określony w dokumentach podczas tworzenia ocen oddziaływania na środowisko.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

**Przekaz
Fundacji Alivia
swoj 1% podatku
i wesprzyj nas
w walce z rakiem!**



Wkrótce minie 7 lat, jak Fundacja Alivia pomaga w walce z rakiem. Z każdym kolejnym rokiem robimy to coraz skuteczniej. W 2016 roku przekazaliśmy chorem 3 162 209 zł na ratowanie ich zdrowia i życia. To 3 razy więcej niż w 2015 roku. Dzięki temu Martyna przeszła w Niemczech operację nowotworu mózgu a Kasia rozpoczęła innowacyjną terapię. Pomogliśmy też wielu innym osobom.

W 2016 roku stronę fundacji – alivia.org.pl odwiedziło 1 289 603 osób, odpowiedzieliśmy na 2 750 maili i odbyliśmy 1 233 rozmowy telefoniczne, udzielając pomocnych informacji. Działaliśmy też na rzecz poprawy systemu opieki zdrowotnej. Uczestniczyliśmy w posiedzeniach Zespołów Parlamentarnych i spotkaniach z Ministrem Zdrowia. Niektóre z naszych postulatów zostały dobrze przyjęte.

Wierzmy, że małymi krokami zmienimy system opieki onkologicznej w Polsce. Działamy coraz prężniej i mamy mnóstwo planów. Bez społecznej solidarności i pomocy Darczyńców ich realizacja nie będzie możliwa. Dlatego bądź z nami i pomóż nam pomagać! **Przekaz Fundacji Alivia swój 1% podatku, wpisując KRS 0000358654 w rozliczeniu PIT, i wesprzyj nas w walce z rakiem!**



Eksportowani fachowcy



Maciej Pieczyński

Ukraińcy sięgają po ekspertów z Polski, bo widzą w nas cywilizacyjny wzór. Jednak ani oni nie wiedzą wszystkiego o ekspertach, ani fachowcy o tym, z czym się zmerzą

Niedawno w kilku polskich portalach informacyjnych i serwisach poczytnych gazet pojawiła się sensacyjna informacja o tym, jakoby ukraińskie media miały żądać zwolnienia Sławomira Nowaka z dyrektorskiej posady w ukraińskiej państwowej agencji drogowej. Były polityk PO miał nazbyt często opuszczać miejsce pracy i spędzać podejrzanie dużo czasu w Polsce. Jednak wiadomość o rzekomych wagarach pochodziła z portalu Antikor.com.ua. Takie serwisy na wschodzie nazywa się „spłuczką”. To anonimowe strony, zarabiające na rozpowszechnianiu kompromatów – materiałów wymierzonych w konkretnego

polityka, które niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. – Na Ukrainie nikt nie wierzy w takie rewelacje, dlatego fakt, że przeciwko Nowakowi wykorzystano takie narzędzie, świadczy o lenistwie lub skąpstwie atakującego – mówi Mychajło Karasiuk, ukraiński PR-owiec, mieszkający od dwóch lat w Polsce. – Wiem, co mówię. Na Ukrainie powszechnym zjawiskiem są wojny PR-owe prowadzone za pomocą zmyślonych informacji.

NA CELOWNIKU

Jeśli wiadomość o Nowaku opublikował Antikor, to Polak najpewniej stał się obiektem ataku. Komu i za co mógł podpaść na Ukrainie?

– Trudno powiedzieć. Walkę o stanowisko prowadzi się inaczej: próbując przekonać premiera lub prezydenta do zmiany, obmawiając w kuluarach. Być może to prowokacja jakichś grup interesów, których zyski zostały naruszone przy pierwszych krokach wdrażanych zmian w systemie zamówień i zarządzania Ukrawtodoru. Strona Antikor jest jednak kompletnie niewiarygodna jako źródło, więc byłby to dziwny sposób wymuszenia zmiany – uważa Agnieszka Piasecka z Fundacji Centrum Badań Polska-Ukraina, ekspert Reanimacyjnego Pakietu Reform.

Sławomir Nowak od jesieni zeszłego roku odpowiada za stan ukraińskich dróg. – Jak każdy z tysięcy mniej lub bardziej znanych konsultantów z całego świata wszedł do stajni Augiasza – mówi Piasecka. Wśród trudności, jakie musiał napotkać, wymienia chaotyczne prawo i przyzwyczajenia korupcyjne. – Do końca 2016 r. zdążył opracować całkiem konkretny plan działań restrukturyzacji i decentralizacji systemu, który mu podlega, oraz przyspieszenia procedur przetargowych – opowiada Piasecka.

Ukraina wdrożyła już mechanizmy wspierające, takie jak system elektronicznej obsługi przetargów ProZorro. To znaczące ułatwienie dla Nowaka, który ma zreformować system infrastruktury i finansowania dróg. Zdaniem Agnieszki Piaseckiej, efekty jego pracy rzetelnie ocenić będzie można pod koniec roku. To czas, do którego powinien przeprowadzić obiecaną restrukturyzację przedsiębiorstwa Avtomobilni Dorohy Ukrainy oraz decentralizację zadań związanych z drogami lokalnymi.

BALCEROWICZ I INNI

W marcu swoją roczną misję na stanowisku współprzewodniczącego grupy doradców strategicznych do spraw reform rozpocznie na Ukrainie Leszek Balcerowicz



Sławomir Nowak, obecnie szef ukraińskiej agencji drogowej, i były premier Ukrainy Anatolij Kinach na Forum Europa-Ukraina w Rzeszowie w styczniu obecnego roku. FOT. BARTOSZ FRYDRYCH/FORUM

(wraz z Ivanem Miklošem, byłym ministrem finansów w słowackim rządzie). Proponowane przez zagranicznych doradców reformy zakładają decentralizację, administrowanie elektroniczne, zmiany w prokuraturze i sądach, prywatyzację, deregulację i demonopolizację. Balcerowicz traktowany jest na Ukrainie jak żywa legenda, „światowej sławy specjalista”, który zastał Polskę komunistyczną, a zostawił kapitalistyczną. Jednak kult reformatora nie oznacza jeszcze zrozumienia i poparcia dla jego pomysłów. Ostatnio Balcerowicz wypowiada się na łamach ukraińskich mediów krytycznie o decyzjach Kijowa. Krytykował uchwałę Rady Najwyższej o podwyższeniu płacy minimalnej. „Nie da się jednym krokiem podwyższyć poziomu życia. Nikomu dotąd to się nie udało. Jak ma się udać? – mówił w wywiadzie dla agencji Ukrinform. – Bardzo źle, że nastawiona na reformy koalicja rządząca poddaje się naciskom populistów, zamiast zawczasu wyjaśnić społeczeństwu swoje działania i tym sposobem walczyć z populizmem.

Balcerowicz zabral ze sobą na Ukrainę Mirosława Czecha (wcześniej m.in. polityk Unii Wolności i działacz Związku Ukraińców w Polsce) oraz Jerzego Millera. O ostatnim było głośno na Ukrainie, gdy tamtejsze media za Polskim Radiem pisały

o nim jako o „człowieku Moskwy”, w kontekście katastrofy smoleńskiej.

Oprócz Nowaka kierownicze stanowisko nad Dnieprem ma też Wojciech Balczun. W kwietniu ubiegłego roku wygrał konkurs na prezesa Kolei Ukraińskich. Z wykształcenia jest politologiem. Wcześniej zasiadał w radzie nadzorczej Totalizatora Sportowego, był dyrektorem marketingu i promocji Poczty Polskiej. Zajmował kierownicze stanowiska w banku PKO. W latach pierwszych rządów PiS był przewodniczącym rady nadzorczej PKP, a później przez pięć lat prezesował spółce PKP Cargo, w której przeprowadził restrukturyzację. Ukraińcy uwierzyli, że zmieni też ich koleje. Balczun jest zdecydowanie najbardziej popularny spośród Polaków biorących udział w ukraińskich reformach. – Miał największy PR przed przyjazdem, jako muzyk i menedżer. Szybko stał się rozpoznawalny – mówi Olena Babakova, dziennikarka portalu Eastbookeu. – Oceniany jest różnie ze względu na to, że uruchomił wiele inicjatyw. W oczach opinii publicznej jego największym osiągnięciem jest uruchomienie połączenia kolejowego Kijów – Przemyśl. Pozytywnie odbierana jest idea ekspresowych połączeń kolejowych z polskimi miastami przygranicznymi.

Balczuna chwalą nad Dnieprem także za walkę z korupcją i wypracowanie 300 mln hrywien zysku na koniec 2016 r. Na początku marca ogłosił, że tylko w styczniu 2017 r. Ukrzalizniycja zarobiła 6,3 mld hrywien.

Balczuna ostro krytykuje za to Wołodymyr Omeljan, minister infrastruktury. Zarzuca Polakowi nieefektywność i zawyżanie dochodów firmy. Wojciech Balczun ma jednak poparcie premiera Wołodymyra Hrojsmana. – Pracownicy Ukrzalizniicii są roszczeniowi, praktycznie nie da się ich zwolnić. Tabor został odnowiony przed Euro 2012, a od tamtej pory nie było nowych zamówień. Zakłady taboru kolejowego upadały albo drastycznie się kurczyły – wylicza problemy Agnieszka Piasecka.

PRZYPADEK CZY PLAN?

„Trolle czy idioci? Jak Kijów psuje dalej relacje z Warszawą” – to wymowny tytuł artykułu Oleny Babakovej na temat doboru ekspertów z Polski, niezbyt dyplomatycznie dokonywanego przez ukraińskie władze. Dziennikarka przypominia, że Polska pod rządami PiS popiera sankcje nałożone na Rosję, dlatego polityka kadrowa Ukrainy, preferująca polityków opozycyjnych wobec obecnych

władz nad Wisłą, jest „podcinaniem gałęzi, na której się siedzi”. „Oczywiście, można powiedzieć, że Polacy nie będą nam mówić, co mamy robić [...]. Ale politycy ukraińscy konsekwentnie deklarują chęć pogłębienia partnerstwa z Polską, a partnerstwo nie może polegać na robieniu partnerowi na złość” – zauważa Babakova na łamach portalu Europejska Prawda.

– Świadomość tego, że Balcerowicz jest krytycznie odbierany w Polsce zarówno przez lewą, jak i prawą stronę sceny politycznej, jest na Ukrainie bardzo niska – mówi ukraińska dziennikarka w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Teoretycznie, gdyby ukraińskiej władzy zależało na dobrych relacjach z Warszawą, to powinna sprawdzić, jakie opinie mają nad Wisłą tacy ludzie jak Balcerowicz, Miller czy Nowak. Widocznie nie sprawdziły. Nie sądzę jednak, że to wymierzona w PiS akcja. Wynika to raczej z typowo ukraińskiego podejścia: „Najpierw coś zrobimy, a potem pomyślimy o skutkach”.

Agnieszka Piasecka uważa, że stawianie w Kijowie na ludzi wrogo nastawionych do PiS (oprócz Balczuna) to przypadek. Wskazuje też na bardzo prozaiczną przyczynę. – PiS jako partia rządząca ma „krótką ławkę” specjalistów do wzięcia – twierdzi. – W Polsce nie do końca cenione jest doświadczenie i dorobek ostatnich 27 lat. Tymczasem (co chociażby widać po reformie samorządu na Ukrainie) Polska jest wzorem rozwoju cywilizacyjnego. Nie wyrzucamy do śmietnika tego narzędzia soft power – dodaje.

Inne zdanie na temat wpływu „importowanych reformatorów” ma Ostap Drozdov, ukraiński pisarz i publicysta. – Cudze doświadczenia nic tu nie pomogą. Ukraiński system władzy jest unikatowym monstrem, hiperkorupcyjnym symulakrum, które nie ma żadnej analogii na świecie – ocenia. – Wydaje mi się, że polscy reformatorzy nawet nie uświadamiają sobie, z czym mają do czynienia. Na ich miejscu za nic nie zgodziłbym się być dekoracją tych pseudoreform. Zagraniczni eksperci mają tylko dwa wyjścia: albo stać się częścią systemu, albo publicznie przyznać się do niemożliwości jego uzdrowienia. Mogą mieć dobre, ambitne, a do tego sówicie opłacane zamiary, ale potrzebna jest jeszcze realna ocena sytuacji. Profesjonalistą jest ten lekarz, który choremu pacjentowi otwarcie powie, ile jeszcze pożyje, a nie ten, który daje złudne nadzieje – dodaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W nr 11 tygodnika „Do Rzeczy” (13–19 marca 2017) ukazał się artykuł Magdaleny Ogórek zatytułowany „Niechciana sztuka”, poświęcony grabieżom wojennym dokonanych przez hitlerowskiego zbrodniarza, oficera SS, Ottona Wächtera, który od września 1939 do stycznia 1942 r. pełnił urząd gubernatora dystryktu krakowskiego, a następnie galicyjskiego w Generalnym Gubernatorstwie. Podczas pobytu w Krakowie rezydował w Pałacu pod Baranami. Zarówno on, jak i jego żona Charlotte odpowiedzialni są za kradzieże i wywóz polskich dóbr kultury.

W artykule opublikowanym na łamach „Do Rzeczy” Magdalena Ogórek opisuje wizytę w Polsce syna Ottona Wächtera, Horsta, który przekazał do Polski trzy obiekty – gwasz, „Wyjazd Woroncowych sprzed Pałacu pod Baranami w Krakowie”, autorstwa Julii z Potockich Lichtenstein z kolekcji Potockich z Krzeszowic oraz mapę i miedzioryt, o których nie wspomniano, gdy w imieniu Horsta Wächtera nawiązany został kontakt z Muzeum Historycznym Miasta Krakowa.

Magdalena Ogórek zarzuca administracji państwowej „chroniczny imposybilizm”, w przypadku podejmowania rozmów z potomkami niemieckich nazistowskich zbrodniarzy wojennych, dysponującymi wiedzą na temat dóbr kultury utraconych przez Polskę podczas II wojny światowej, a być może i samymi obiektami. Przytacza również lansowany przez ostatnie 25 lat pogląd, iż cyt. „sprawa rewindykacji dóbr narodowych wygasta bądź ma już niewielkie znaczenie i nie warto prowadzić rozmów z potomkami zbrodniarzy hitlerowskich, którzy skłonni byłiby rozliczyć się z przeszłością rodziców”.

Odnosząc się do problemów opisanych w artykule Magdaleny Ogórek, pragnę przypomnieć, że niemal całkowicie zarzucony w okresie PRL, wraz z likwidacją w 1951 r. Biura Rewindykacji i Odszkodowań działającego w ówczesnym Ministerstwie Kultury i Sztuki, problem nie tylko kontynuowania działań restytucyjnych, ale również dokumentowania strat kultury polskiej, został na nowo podjęty wkrótce po 1989 roku. Działania prowadzone przez ostatnie 25 lat w MKiDN to skuteczne gromadzenie danych na temat strat wojennych dzieł sztuki z terenów znajdujących się w granicach Polski po 1945 r. oraz podejmowanie działań mających na celu ich odzyskanie. Efektywność pracy urzędników resortu kultury zwiększa współpra-



Odzyskiwanie dzieł

ca z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, polskimi placówkami dyplomatycznymi, krajowymi i zagranicznymi instytucjami oraz służbami monitorującymi rynek sztuki pod kątem nielegalnego obrotu zabytkami, również tymi pochodzącymi z rabunku z czasów II wojny światowej. Polskie straty wojenne rejestrowane są w międzynarodowych bazach danych takich jak: Art Loss Register, Artive, Looted Art, czy Stolen Works of Art prowadzonej przez Sekretariat Generalny Interpolu.

Obecnie Ministerstwo posiada o wiele szersze spektrum możliwości w zakresie podejmowanych działań na rzecz odzyskania utraconych dóbr kultury. Nawiązano ścisłą współpracę z polską Policją i Prokuraturą oraz organami ścigania w innych krajach (przykładem amerykańska federalna agencja dochodzeniowa Homeland Security Investigation i FBI).

Dzięki współpracy z historykami, archiwistami, bibliotekoznawcami, historykami sztuki, konserwatorami zabytków, muzealnikami i prawnikami możliwe jest kompletowanie materiałów będących podstawą do opracowywania nowych rekordów zamieszczanych w bazie strat wojennych, niezbędnych do przygotowania wniosków restytucyjnych. Obecnie w Wydziale Strat Wojennych Departamentu Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych MKiDN prowadzonych jest 51 spraw restytucyjnych (zagranicznych i krajowych), które mają szansę na pozytywne zakończenie. Niewiele z nich polega na przyjęciu zabytków zwracanych dobrowolnie, jak może wydawać się osobom postronnym nieświadomym złożoności postępowań restytucyjnych. W przeważającej części

wiążą się one z wieloletnimi negocjacjami. Nierzadko odzyskanie zabytku jest możliwe jedynie w wyniku postępowań cywilnych lub karnych, w których na każdym ich etapie MKiDN bierze aktywny udział. Procedury restytucyjne prowadzone są w oparciu o prawo międzynarodowe publiczne, ale zastosowanie mają również przepisy prawa krajowego państwa, na terenie którego obiekt został odnaleziony. Sposób działania mający na celu odzyskanie straty wojennej uzależniony jest od miejsca odnalezienia zabytku oraz jego aktualnej sytuacji prawnej. We wniosku restytucyjnym należy jednoznacznie wskazać proveniencję obiektu, opisać okoliczności jego utraty, a przede wszystkim dowieść swojego prawa własności. Przytoczony przez Magdaleny Ogórek przykład odzyskanego z Niemiec obrazu Aleksandra Gieryskiego „Żydówka z pomarańczami” to sytuacja, gdy konieczne były pertraktacje zmierzające do znalezienia kompromisowego rozwiązania. Gdy prawo staje po stronie aktualnego posiadacza, a nie poszkodowanej osoby lub instytucji, następuje konieczność wypłaty rekompensaty. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego pozyskuje sponsorów, którzy takie koszty pokrywają i najczęściej nie życzą sobie podawania do publicznej wiadomości wydatkowanych kwot, mimo iż są one znacząco niższe od rynkowej wartości odzyskanego dzieła.

Od 2014 r. na stronach MKiDN działa serwis internetowy poświęcony tematyce strat wojennych: www.dzielautracone.gov.pl. Podstawą witryny jest systematycznie powiększający się katalog dzieł utraconych, który przede wszystkim ma służyć upo-

wszechnianiu wizerunku poszukiwanych obiektów. Działania MKiDN to monitoring aukcji, prace badawcze, szeroko zakrojone kwerydy koordynowane przez Wydział Strat Wojennych, obsługa nowego grantowego Programu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Badanie polskich strat wojennych”, którego strategicznym celem jest wsparcie działalności instytucji w kwestii badań proveniencyjnych odnośnie do strat wojennych zbiorów artystycznych oraz tworzenie i korzystanie z nowoczesnych narzędzi, jak wspólnie z Fundacją Communi Hereditate uruchomiona aplikacja na urządzenia mobilne ArtSherlock, dzięki której w błyskawiczny sposób można porównać dowolne dzieło sztuki z obiektami z bazy MKiDN czy przygotowywany razem ze Stowarzyszeniem Komunikacji Marketingowej SAR projekt Muzeum Utracone, którego pokazy od 2010 r. odbywają się w ramach Nocy Muzeów. W Wydziale Strat Wojennych opracowywane są materiały do kolejnych publikacji serii „Straty Kultury Polskiej”, prowadzone szkolenia, przygotowywane konferencje i wystawy, m.in. we współpracy z Narodowym Centrum Kultury cykliczne prezentacje odzyskanych dzieł sztuki. A tylko w ostatnich pięciu latach dzięki staraniom Ministerstwa odzyskano 341 cennych obiektów, które powróciły z Niemiec, Austrii, USA, Wielkiej Brytanii, a także odnaleziono zostały na terenie kraju. Ich łączna wartość szacowana jest w milionach złotych. Są wśród nich, m.in.: obrazy Aleksandra Gieryskiego „Żydówka z pomarańczami” i „Portret mężczyzny w renesansowym stroju”, Juliana Fałata „Przed polowaniem w Rytwianach” i „Naganka na polowaniu w Nieświeżu”, Anny Bilińskiej-Bohdanowiczowej „Murzynka”, Józefa Brandta „Czaty”, Johanna Conrada Seekatza „Św. Filip chrzci sługę królowej Kandaki”, Francesco Guardiiego „Schody pałacowe”, Jacoba Jordaensa „Św. Iwo wspomaga biednych”, Leopolda Löfflera „Dziewczynka z kanarkiem”, Krzysztofa Lubienieckiego „Portret młodego mężczyzny”, rzeźba Antoine’a Hudona „Popiersie Diany”, stół karciany króla Stanisława Augusta czy kabinet chiński i biurko z XVIII w. ze zbiorów wilanowskich, i wreszcie – po raz pierwszy kolekcja – aż 337 zabytków etnograficznych.

W ostatnich tygodniach, za sprawą skutecznych działań MKiDN, do kraju powróciły trzy obrazy: Simona de Vliegera „Wzburzone morze z okrętami” (1630), miniatura Aimée Zoe Lizinki de Mirbel

„Portret damy” (1833) i Franciszka Mrażka „Na przypiecku” (ok. 1930 r.). Ten ostatni zwrócony został przez wnuka niemieckiego nazistowskiego oficera, który w 1940 r. stacjonował w letnim pałacu prezydenckim w Spale. Doświadczenie pracowników Wydziału Strat Wojennych pokazuje, że nie jest to pierwszy przykład podjęcia rozmów z potomkiem osoby, która brała bezpośredni udział w grabieży dóbr kultury, co stoi w sprzeczności do sugestii Magdaleny Ogórek, jakoby urzędnicy administracji państwowej „nie chcieli zwrotu zagrabionych przez nazistów dzieł sztuki – bo chciał je oddać syn esesmana”.

W przeciwieństwie do Horsta Wächtera osoba przekazująca obraz Mrażka nie pragnie rozgłosu, jednocześnie deklarując współpracę z polskimi instytucjami i udostępnienie cennych materiałów archiwalnych. Obraz „Na przypiecku” odebrany został w Monachium przez pracowników Departamentu Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych. Osobom kontaktującym się z resortem kultury w imieniu Horsta Wächtera, w tym Magdaleny Ogórek, podobna rangą formuła przekazania gwaszu – w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa, nie odpowiadała, choć początkowo została zaaprobowana. Sprawa zakończyła się spotkaniem zorganizowanym bez informowania i udziału MKiDN.

Aktywne działania restytucyjne Ministerstwa zaowocowały powrotem wielu poszukiwanych zabytków. Nie bez wpływu na ich skuteczność ma fakt, iż za restytucją dóbr kultury, prowadzoną przez urzędników MKiDN, stoi powaga instytucji będącej częścią administracji państwowej. MKiDN działa w tej materii w imieniu i na rzecz Skarbu Państwa, a status prawny odzyskiwanych zabytków jest należycie uregulowany. Tym samym niezrozumiała staje się sugestia Magdaleny Ogórek, iż „należałoby inaczej niż do tej pory zorganizować lub umiejscowić jednostkę, która w całości odpowiadałaby za rewindykację polskich dóbr kultury poprzez podniesienie jej rangi i większy nadzór organów rządowych”. Taka jednostka już istnieje i jest nią Wydział Strat Wojennych w Departamencie Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, składający się z kilkusobowego zespołu ekspertów posiadających wieloletnie doświadczenie w prowadzeniu postępowań restytucyjnych w kraju i za granicą. ©©

**Radosław Różycki, rzecznik prasowy
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego**

KSIĘGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 2 kwietnia 2017 r.

1. **PAWEŁ LISICKI**
PRÓBA POLITYCZNA POPRAWNOŚCI
39,90 zł
29,90 zł
2. **Dzieje Polski**
49,00 zł
32,50 zł
3. **W.E.B. GRIFIN**
William E. Butterworth II
CZAS HONORU
39,90 zł
31,90 zł
4. **UTOPIA EUROPEJSKA**
59,00 zł
39,50 zł
5. **15**
JOE WICKS
39,90 zł
26,50 zł

ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

Upadek sztuki



Wnętrze sztokholmskiego Moderna Museet

Sentencja łacińska: „*Cacatum non est pictum*”
[Nabazgrane to nie znaczy namalowane]

Pablo Picasso: „*Sztukę współczesną
spycha do kresu przyzwolenie absolutne.
Będzie to sztuka wyzbyta smaku i sensu, zero*”



Waldemar
Łysiak

Jedną z pierwszych decyzji Donalda Trumpa kasujących instytucje, organizacje i stowarzyszenia pasożytujące na budżecie Stanów Zjednoczonych była likwidacja osławionej NEA (The National Endowment for the Arts),

marnotrawiącej corocznie 150 milionów dolarów na promocję pseudoawangardowej pseudosztuki, czyli „sztuki”, która jest dziś, jak świat długi i szeroki, faworytką Salonu opiniotwórczego, chociaż ze sztuką prawdziwą (uczciwie rozumianą i sensownie klasyfikowaną) ma wspólnego niewiele. Ta patologizacja sztuk pięknych nie jest wytworem ostatnich lat, wyniszcza je ona od co najmniej pół wieku. Stąd niniejszy tekst jest moim powrotem do tematu, po kilku dekadach, gdyż latem roku 1974 opublikowałem w dwóch kolejnych numerach tygodnika „Perspektywy” duży esej o forsow-

nej degeneracji współczesnej sztuki, zatytułowany „*Quo vadis Ars?*”. Został on wkrótce (1976) umieszczony w mojej książce „*Francuska ścieżka*”, a między narodowe skrzydła dała mu recenzja w londyńskim „*Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza*” zatytułowana: „*Fascynująca książka*”; dzięki temu emigracyjnemu rozgłosowi przetłumaczono/przedrukowano „*Quo vadis Ars?*” w pismach branżowych dwudziestu paru krajów (na kilku kontynentach) jako pionierskie pod względem radykalizmu dezawuowanie „*nowych prądów współczesnej sztuki*”. Od tamtego czasu sztuka

współczesna nie ozdrowiała — jest tak samo, tylko jeszcze gorzej.

Interesowałem się sztuką zawsze, nawet będąc gołowąsem, jak każdy. Bo to nieprawda, że tylko nieliczni cenią doznania, które daje sztuka. W końcu każdego, kto uganiania się za kobietami, interesują sztuki piękne. A już ciut bardziej serio: kocham dobrą sztukę mocniej niż głośny komediant czasów Sanacji, Adolf Dymśa. Zapytany o to jaki jest jego ulubiony malarz, Dymśa burknął: „ — *Sam odnawiam mieszkanie!*”, co jest trafną ripostą z dwóch powodów. Powód uniwersalny (wszechczasowy) to fakt, iż żaden prawdziwy koneser sztuki nie ma jednego ulubionego malarza czy rzeźbiarza, kocha się twórczość wielu mistrzów pędzla i dłuta. Natomiast powód współczesny (aktualny) to fakt, że arcydziełami są dziś mienione (i milionami płacone) „dzieła”, które wyglądają niby surowa dykta, ukazują bowiem jednobarwną płaszczyznę, jakby zamalowaną wałkiem „malarza pokojowego”, bądź idiotyczny chaos plam, chlapinięć i smug napaćkany przez beztalencie, które rości sobie prawo do bycia „abstrakcjonistą” (malarz Franciszek Starowieyski: „ — *Sztuka abstrakcyjna opanowana została przez nieudaczników, którzy dobrze wiedzą, że gdzie indziej nie daliby sobie rady*”). Trudno jest traktować serio takie udające sztukę pierdoły, gdy się wyznaje (a ja wyznaję) credo dawnego wirtuoza pędzla, Eugenisza Delacroix: „*Uwielbiam kontemplować malowidła. Samo tylko wspomnienie pewnych obrazów przenika mnie uczuciem poruszającym całe moje jestestwo*” (1853). Dla „pewnych obrazów” wciąż potrafię przemierzać świat, choć przemierzyłem go już tyle razy, że ruszam tyłek coraz niechętniej — niedawno wybrałem się do Danii jedynie po to, by lepiej się przyjrzeć malarstwu Christoffera Wilhelma Eckersberga, którego uważam za Hoppera ery Romantyzmu.

KRYZYS KOMUNIKATYWNOŚCI

Społeczeństwa współczesnego świata nie dzielają admiraacji wyrażanej wobec współczesnej sztuki przez hochsztaplerów wdziwiających togi arbitrow. Już kilka dekad temu ujęto owo zjawisko zgrabnym określeniem „*kryzys komunikatywności sztuki*”. A przecież tak długo (setki lat) była „*komunikatywna*”, czyli akceptowana i podziwiana przez masową publiczność. Fidasz był bożyszczem Aten, malowidła Duccia obnoszono po ulicach Sieny, całe rzesze mieszkańców Florencji identyfi-

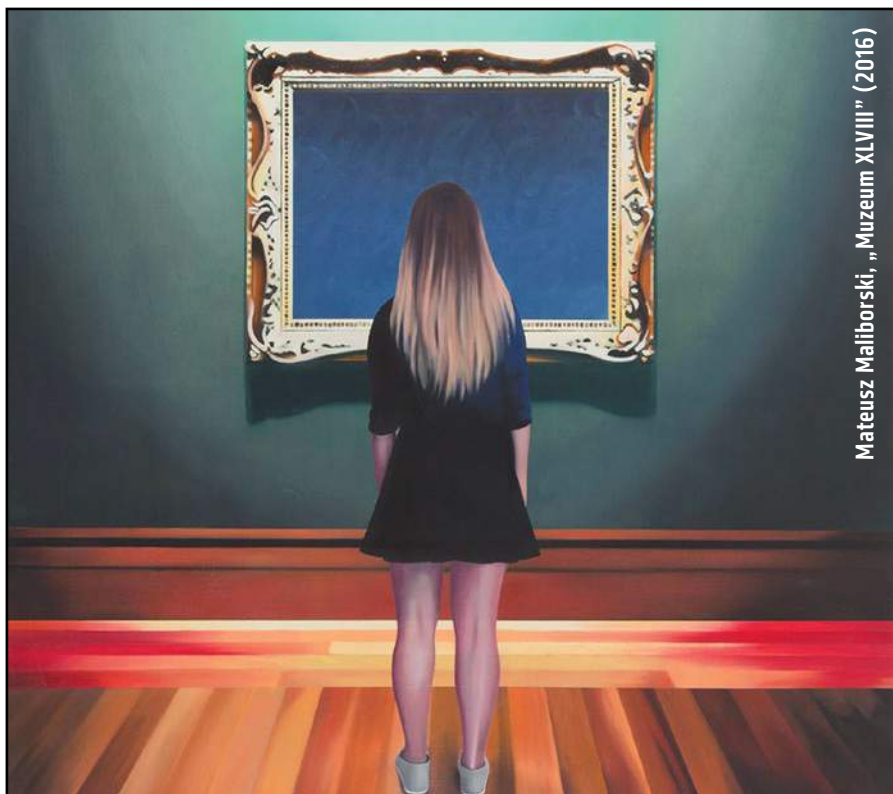
kowały się z nabożnymi obrazami Fra Angelico, zaś Hiszpanie ery napoleońskiej z dramatycznymi rysunkami Goyi. W XIX wieku mrowie ludzi defilowało przed „*Tratwą «Meduzy»*” Géricaulta, nie tylko podziwiając, lecz i bolejąc. Wkrótce jednak wszystko zaczęło się psuć...

Kryzys stosunków między dziełami sztuki a odbiorcami dawał się dostrzec już u schyłku XIX stulecia. Rozłam ten nabrał przyspieszenia, gdy sztuka zaczęła czerpać z osiągnięć nauki lub raczej — gdy zaczęła iść z nauką ramię w ramię. Jak można było spodziewać się, że sztuka pozostanie tym, czym była dla Rafaela, gdy wiemy, że kolor atakuje naszą siatkówkę 500 milionami wibracji na sekundę? Jakim cudem Monet i Pissarro mogliby malować gruszki niczym Chardin, skoro ich epoka odkryła falowy charakter promieniowania? Dla van Eycka (XV wiek) kolor to barwiąca mikstura; dla Moneta to gra fal, które mieszają się w naturze, na płótnie oraz we wzroku malarza i odbiorcy.

A.D. 1908 niemiecki matematyk Hermann Minkowski publikuje swoją teorię czasoprzestrzeni, a niedługo później szwajcarski malarz modernista Paul Klee ogłasza swoją teorię nowoczesnej sztuki, pisząc: „*Dziś względność tego, co uchwytne wzrokiem, jest czymś oczywistym — jest to jedynie pewien szczegółowy wymiar całości*

świata pełnego niezliczonych skrytych prawd. Sztuka nie powinna kopiować widzialnego, lecz ujawniać niewidzialne”. Gdy biologia odkryła komórkę, chromosomy, geny, wreszcie cząsteczkę kwasu nukleinowego, a nauka zaczęła posługiwać się mikroskopem elektronowym, badać świat kryształów, robić użytek z promieni Roentgena i ujarzmić atom — dla twórców oznaczało to koniec pewnej koncepcji natury. Widząc, że większość zjawisk fizycznych nie poddaje się doświadczeniu zmysłowemu, chcieli wynaleźć nowy język. W roku 1910 Kandinsky proponuje dzieło abstrakcyjne, powódź rozszczepionej materii, która zdaje się sunąć na płótnie jak mgławica, wirum barw, kształtów i rozprysniętych przedmiotów. Inni próbowali wypracować schematy geometryczne, streszczające po swojemu wielkie napięcia świata fizycznego. Malewicz wystawił obraz — manifest: „*Biały kwadrat na białym tle*”, co znaczyło, że forma i kompozycja osiągnęły kres. Później jeszcze włączono do rydwanu sztuki technologię...

Kolejne odkrycia naukowe i triumfy techniczne były oklaskiwane przez społeczeństwa, jednak od podążającej tym samym szlakiem (żegnającej realizm) sztuki tłum odwrócił się plecami. Dlaczego? Nie dlatego, że nowoczesność była widzom wstrętą, lecz dlatego, że po jej



Mateusz Maliborski, „Muzeum XLVIII” (2016)

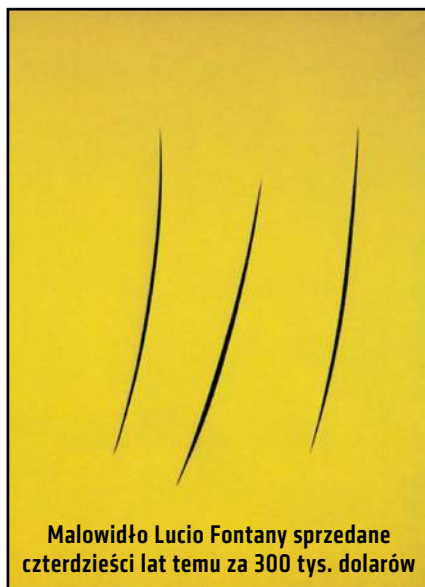
■ artystycznych pionierach przyszła horda naśladowców/epigonów/pasożytów prostytuujących tamte nurty awangardowe. Tylko maniacy i snobi akceptują/podziwiają dzisiejszą „*sztukę nowoczesną*”. Intensywna propaganda na jej rzecz, prowadzona przez „*ekspertów*”, uderza tu nosem w ścianę, a próby przełamywania bariery indoktrynowaniem od młodych lat (nawet uczniaków) dały efekt katastrofalny: wbijanie do głów rzekomego piękna sztuki awangardowej zniechęciło hiszpańską młodzież szkolną (eksperyment barceloński, kontrolowany przez ICOM — Międzynarodową Radę Muzeów) wobec sztuk plastycznych jakichkolwiek!

DNO DNA

Już co najmniej trzy dekady zarzuca się głośno współczesnej sztuce awangardowej nihilizm, mętniactwo, pacykarstwo, pustkę i destrukcyjność, czyli to samo, co zarzucałem jej esejem „*Quo vadis Ars?*” prawie pół wieku temu (zarzucałem ze smutkiem, bo zgoda na sztukę swoich czasów to jedna z istotnych przyjemności życiowych). Niżej trochę znaczących opinii spośród setek, które można byłoby zacytować:

• Słynny flecista, Francuz Jean-Pierre Rampal: „ — *Buntuję się przeciwko pustce we współczesnej sztuce. Zwiedzałem miesiąc temu nowojorską galerię Guggenheimów. Widzę obraz: rama, a wewnątrz pusta płaszczyzna i tylko jeden punkcik. Czy to ma robić na mnie wrażenie?*”.

• Brytyjski reżyser Michael Winner: „*Starałem się poznać sztukę współczesną,*



Malowidło Lucio Fontany sprzedane czterdzieści lat temu za 300 tys. dolarów

lecz trudno mi zrozumieć o co tu chodzi. Abstrakcyjne zakrętaszy i kropki to afront wobec prawdziwego malarstwa”.

• Szwajcarska recenzentka Ingeborg Berthel: „*Infantylna gryzmoły, kicz i pornografia otrzymują dziś etykietę: sztuka. Sztuka upodobiła się do wrzaskliwego jarmarku, gdzie wszystko, ale to wszystko, jest akceptowane*”.

• Niemiecki krytyk Otto Hahn: „*To swoisty onanizm, w żadnych kategoriach nie będący Sztuką, która jest środkiem komunikowania się między ludźmi*”.

• Austriacki artysta Florian „Flop” Schuller: „*Sztuka? Zwie się nią dzisiaj wszystko, co jest wystawiane, a wystawiane jest wszystko — wszystko się zżera*”.

• Szwajcarski recenzent Godfried Sello: „*W salach wystawowych, galeriach i muzeach walają się przedmioty zwane sztuką jedynie dlatego, że znajdują się właśnie tam, a nie gdzie indziej, choćby na śmietniku*”.

• Francuski muzeolog Jean Clair: „*Dzisiejsza awangarda jest destrukcją potencjału gromadzonego przez stulecia. Świat pełen jest pseudoartystów, dla których wszystko jest sztuką*”.

• Brazylijski krytyk Alfonso Romano: „ — *Dzisiaj sztuką jest wszystko co komuś zechce się za sztukę uznać. Polityka rozliczyła się już z szarlatanerią marksizmu, czas więc, by Sztuka zrobiła to samo w stosunku do królującej dziś pseudoawangardy*”.

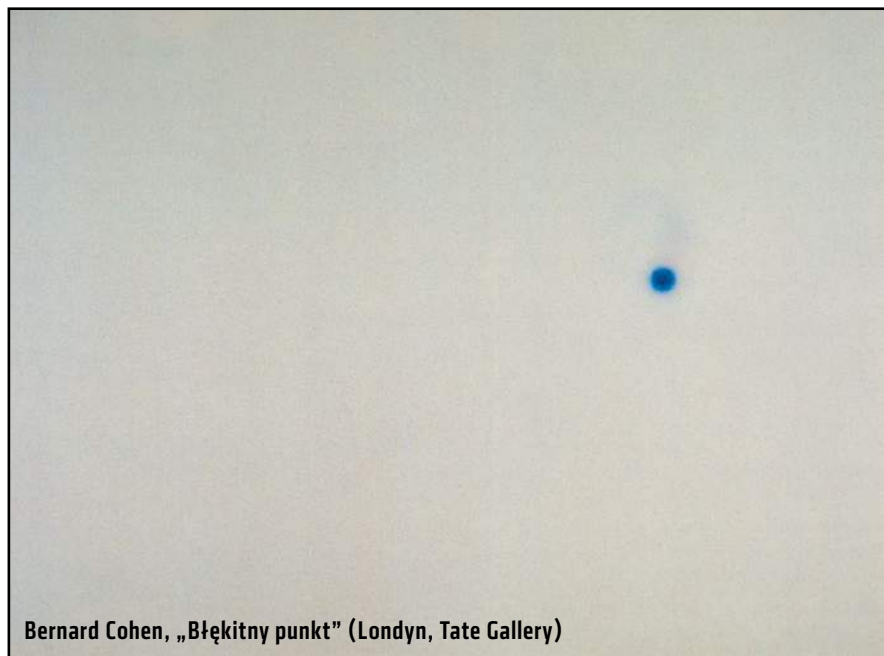
• Słowacki kulturoznawca František Mikš (autor książki o Picassie, Malewiczu i in.): „ — *Tak zwany postęp i pseudooryginalność stanowią wielką bramę dla tysięcy hochsztaplerów i beztalenci z wysoko podniesionymi głowami. Prawdziwe malarstwo i prawdziwi malarze są w międzyczasie na wymarcu*”.

• Francuski filozof i socjolog Jean Baudrillard (autor książki „*Le complot de l'art*” — „*Spisek sztuki*”): „*Sztuka współczesna jest niczym innym jak jednym wielkim oszustwem — oszustwem praktykowanym na skalę masową*”.

• Brytyjski dramaturg Edward Bond: „ — *Sztuka nowoczesna? Cóż, żyjemy w epoce postkultury. Wszyscy mówią, co prawda, o «postmodernizmie», ale właściwym słowem jest: postkultura*”.

Opinie tego rodzaju można poprzeć bulwersującym panoptikum wpadek zaliczanych przez „fachowców” (krytyków sztuki, właścicieli galerii, kustoszy muzeów), i to wskazując nie tylko dzisiejszą pseudosztukę udającą szlachetną awangardę, lecz archaiczne już (sprzed kilkudziesięciu lat) skandale tyżące malarzy modernistycznych powszechnie uznanych. Roku 1961 obraz Matisse’a „*Le bateau*” został w nowojorskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej zawieszony „*do góry nogami*” wskutek pomyłki muzealników i wisiał tak 47 dni. Przez ponad półtora miesiąca obejrzało malunek 116 tysięcy ludzi, również wybitni (utytyłowani) znawcy, koneserzy, figury ze śmietanki artystycznej. I nikt nie zauważył błędu!

Jeśli chodzi o malarstwo to nadczasowym symbolem takich humorystycznych wpadek, demaskujących przed opinią publiczną prawie całą współczesną krytykę sztuki, która bezwstydnie apologetyzuje tandetną pseudoawangardę — stała się inicjatywa niemieckiego kolekcjonera Bereda H. Feddersena, co wystawił we



Bernard Cohen, „Błękitny punkt” (Londyn, Tate Gallery)



Alexandre-Gabriel Decamps,
„Malująca małpa”

frankfurckiej galerii płótna zabazgrane przez szympansię z ZOO, głosząc, że są to dzieła młodej japońskiej artystki, a prawdę ujawnił dopiero wówczas, kiedy krytycy sztuki opublikowali entuzjastyczne, pełne finezyjnych rozważań recenzje tych bohomazów. Gdy natomiast idzie o rzeźbę (czyli wszelakie „instalacje” i „performances” zwane dzisiaj rzeźbą) to symbolem/syndromem jest heca, która miała miejsce podczas otwierania bońskiego Muzeum Sztuki Współczesnej: gromada autorytetów i koneserów uświetniających tę ceremonię zachwycała się dużą „instalacją” z rur i desek, póki nie nadbiegł dyrektor przepaszając, że robotnicy nie zdążyli usunąć murarskiego rusztowa-

nia. Im więcej będzie takich publicznych kompromitacji farmazonów, którzy biorą pieniądze jako jurorzy sztuki — tym gremialniej współczesny szary odbiorca kultury będzie dojrzewał do zrozumienia, że pada ofiarą wielkiego humbugu.

SZEROKI KRĄG WINOWAJCÓW

Zabójcza degrengolada sztuki współczesnej vel nowoczesnej — jej wyrażanie się ku patologii, która ma zero wspólnego z prawdziwą sztuką — byłaby niemożliwa (zostałaby bardzo szybko ucięta) bez dających jej wsparcie klakierów uchodzących za światłych opiniotwórców (u nas perso-

ną symbolizującą dyktat takich miglanców jest pani kustosz/kurator Anda Rottenberg). Tamę temu winni byli położyć przed co najmniej pół wiekiem uczciwi i mający gust (czyli smak estetyczny przyzwoitego sortu) krytycy sztuki, jednak nie zrobili tego. Czemu? Ze strachu (Alfonso Romano: „ — Ze strachu nikt nie chce serio obnażać nędzy dzisiejszej awangardy”). Słyszając wokół chór potakiwaczy, nikt nie chciał krzyczeć, że „król jest nagi”, ergo: narażać się na wykluczenie poza „towarzystwo” za anachroniczny, wręcz reakcyjny brak zrozumienia dla postępu — nikt nie chciał być ramolem kontestującym nowoczesność, figurą „du passé”.

Skłamałem pisząc: nikt. Istniały kilkadziesiąt lat temu „wyjątki potwierdzające regułę”, czyli autorytety biadolące, że zaczyna się dzieć coś bardzo niedobrego, i pytające kto uchylił wrota piekieł, kto dopuścił, by gnojówka pseudosztuki wy-

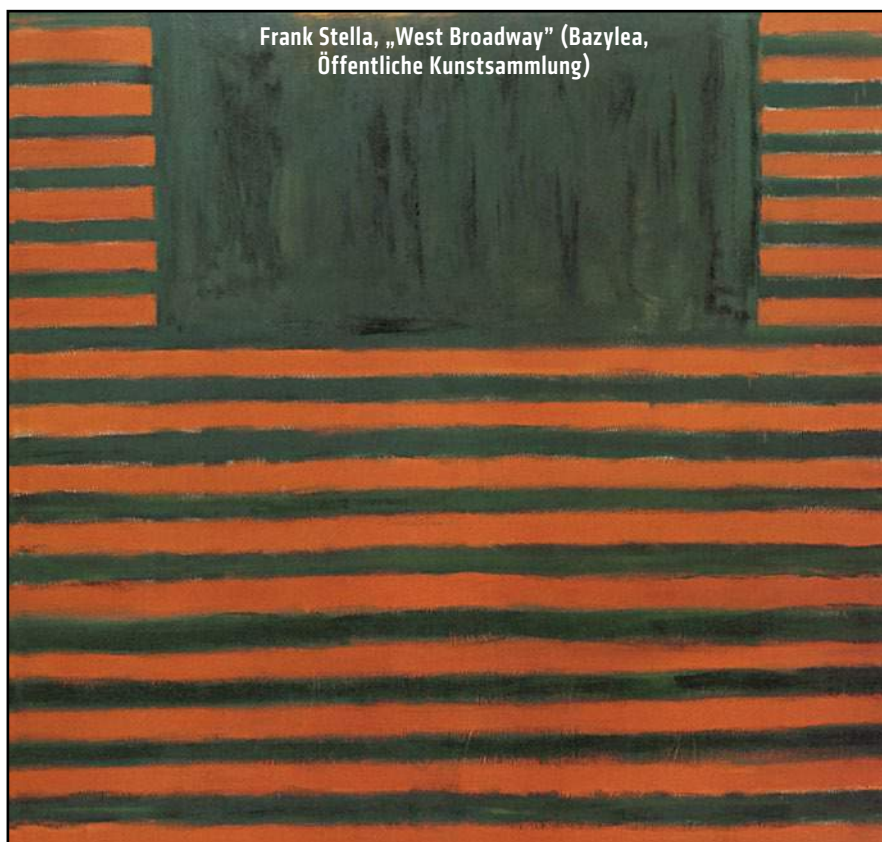


lewała się z kontrkulturowego szamba na cały glob coraz szerszą strugą. Sir Herbert Read, kustosz londyńskiego Victoria and Albert Museum, wykładowca Harvardu, autor wielu fundamentalnych rozpraw o sztuce, zwany u schyłku lat 60-ych XX stulecia „papieżem historiografii sztuki”, zestresowany pisał: „Największą chyba winą za to, że sztuką zwiemy dzisiaj wszystko co ma jedynie posmak jarmarcznej hecy z lunaparku, trzeba obciążyć marszandów i dyrektorów muzeów, którzy wystawiają nihilistyczne wygłupy mieniąc je dziełami sztuki współczesnej. A w jakim stopniu ponosimy winę my, krytycy sztuki? Czy istniejący stan jest konsekwentnym następstwem tych wszystkich wartości, o które toczyliśmy bój przez minione półwiecze? Gdybym wierzył, że tak w istocie jest, założyłbym włosiennicę i posypałbym głowę popiołem”.

Dezaprobatę Reada dla pseudosztuki mianowanej prawdziwą twórczością artystyczną podzielało niewielu, to zaś uskrzydlało beztalencia (pacykarzy i cwaniackich performerów) do przy-



Barnett Newman, „Przymierze” (Waszyngton, Joseph Hirshhorn Museum)



Frank Stella, „West Broadway” (Bazylea, Öffentliche Kunstsammlung)

wdziewania aureol mistrzów. Sytuację pogarszał fakt zarażenia się dżumą kontrkulturową (kontrestetyczną) kadry akademickiej na uczelniach artystycznych, które od dawna wypływają kolejne generacje (roczniki) plastycznych grafomanów (Jean Clair, eksdyrektor dwóch dużych francuskich muzeów sztuki współczesnej: „Obecne szkoły artystyczne pełne są belfrów przekazujących absolwentom kult estetycznej pustki”). W sumie młody artysta ma wokół kokon deprawacji ze strony mentorów i komentatorów, plus próżnię publicznego zainteresowania. František Mikš: „ — Dzisiejszy artysta tworzy jakby w próżni, w otoczeniu garstki krytyków potakiwaczy, wyrachowanych kolekcjonerów i opłacanych przez państwo kuratorów. Przyzwyczajiliśmy się, że poza wernisażami — czytaj: darmowe jado i picie — nikt nie chodzi na wystawy, nikt nie kupuje katalogów, nie interesuje się tym nikt”.

Padło wyżej określenie: „wyrachowanych kolekcjonerów”. Są to zazwyczaj głupcy, którzy nic a nic nie znają się na sztuce, lecz korzystają z podpowiedzi doradców oraz „ekspertów”, inwestując, czyli prowadząc spekulację identyczną jak na giełdzie (z dużo mniejszą niż na giełdzie szansą odniesienia sukcesu). Nie tyle kolekcjonują, ile lokują (fundusze). Mają pełną świadomość, że absolutna

większość (99 proc.) nabytych przez nich „dzieł sztuki nowoczesnej” okaże się po kilku/kilkunastu latach badziewiem, które wyląduje na wysypisku bezwartościowych bohomazów, lecz niektóre (jeden, dwa, trzy?) dadzą „przebicie” astronomiczne, z nawiązką rekompensujące nietrafione strzały. Świat jest pełen fortun utopionych na „nowoczesne” pacykarstwo reklamowane jako wartościowa twórczość, lecz zna i celne fuksy, rzadkie niczym główna wygrana w totka. Zrażeni ignoranci przetrzucają się na obrazy „dawnych mistrzów”. François Curiel, szef azjatyckiego oddziału domu aukcyjnego Christie's, opowiedział dziennikarzom w zeszłym roku jak za rekordową sumę 170,4 mln dolarów sprzedał akt pędzla Modiglianiego chińskiemu miliarderowi Liu Yiqianowi, który o Modiglianiam nie słyszał:

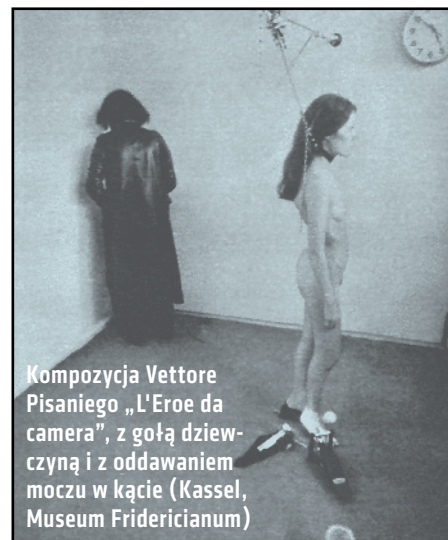
— Zapytał tylko czy to na pewno arcydzieło. Gdy odpowiedziałem twierdząco, mruknął: „okey, to wezmę”.

BANIALUKI NIE STWORZĄ SZTUKI

Mając dookoła tylu pomagierów (od mentorów, przez komentatorów, po sponsorów) współcześni artyści mogą sobie zezwolić na każdą błazenadę. Często cuchnącą nie tylko w przenośni,



lecz i w „realu”. Gdy pisałem „**Quo vadis Ars?**” — mogłem wskazywać marynaty z ludzkich genitaliów (paryskie Biennale) czy kupy, które Piero Manzoni zamykał w puszkach. Dzisiaj istnieje już cały gejzer kału artystycznego, rozsmarowywanego na płótnach, ścianach, podłogach, bryłach, stelażach i ciałach samych artystów, zwany „*sztuką skatologiczną*” (głośni „*fekaliści*”, autentycznie rzeźbiący w gównie, to Damien Hirst, Chris Ofili, Gérard Gassiorowski, Franz West, Andreas Serrano, David Nebreda), a za ekspozycje wędrowe dostała najnowsza (2016) prestiżową nagrodę Hugo Bossa (przyznaną przez muzeum Guggenheima) koreańska „*artystka konceptualna*” Anicka Yi. I każdy taki zapach ma nader mądre przesłanie ideologiczne. Gdy w Brunzshwiku, przy blasku fleszów, wieńców Otto Muehl pokrywał bebechami z patroszonej świni leżącą na łóżku dziewczynę, ozdabiając to wszystko własnymi ekskrementami — zatytułował „*dzieło*” „**Przecistawieniem się społeczeństwu**”. Gdy Josef Beuys (wielu uważa go za geniusza współczesnej sztuki europejskiej) wystawił głośne „**Natłuszczone krzesło**” (Darmstadt, Heskie Muzeum Prus) — programowo krzychał: „*Burżuj nie usiądzie na krześle atakowa-*



Kompozycja Vettore Pisani „L'Eroe da camera”, z gołą dziewczyną i z oddawaniem moczu w kącie (Kassel, Museum Fridericianum)

nym rewolucyjnie tłustymi plamami!". To zawsze musi być „artystyczny manifest” z rewolucją, kontestacją, buntem, protestem — one jako hasła dobrze brzmią.

Rewolucyjność jest esencją sztuki, temu przeczyć nie można. Artysta winien być tym, co Niemcy nazywają „ein Rüttler” — burzycielem ustalonego porządku, twórcą wykazującym odwagę. Lecz gdy etykietami „sztuka rewolucyjna”, „awangarda kontestująca” itp. ozdabia się prezentowaną dzisiaj masowo sztukę prowokacyjną, erupcję pustego wygłupu, emanację kiczu, eskalację bluźnierstwa, et cetera — jedyną sensowną reakcją człowieka myślącego musi być kontrrewolucjonizm. Żenujący relatywizm odwagi (czyli pseudoodwagę) demonstrują wszystkie te gwiazdy szok-artu (graficy, fotograficy, happenery, performerzy), które produkują paskudne bluźnierstwa kontrchrześcijańskie, a nie ośmieliłyby się choćby cichutko pierdnąć przeciwko islamowi. Gnidy udające zawiadackich bo-jowników. Holger Diezemann: „Wydaje się, że hasła kontestacji społecznej i politycznego rozszerzania świadomości służą wielu artystom za pretekst do wyuzdania”.

Fałszywej odwadze rytualnie sekunduje fałszywe nowatorstwo, opiewane krasomówczo załączanymi do „dzieł” manifestami programowymi i recenzjami „zblatowanych” krytyków. Tymczasem prowokacja kontrestetyczna, nawet mająca formę drastyczną, nie jest niczym nowym. A.D. 1920 Ernst, Baargeld i Arp zorganizowali berlińską wystawę obrazów tudzież kolaży gorszących i bluźnierczych: u wejścia dziewczynka w stroju komunijnym deklamowała nieprzyzwoite wiersze, na środku sali stała drewniana rzeźba, której towarzyszyła siekiera i prośba do widza, by zniszczył dzieło, zaś w kącie tkwiło akwarium pełne wody koloru krwi, z budzikiem na dnie i z pływającymi włosami kobiet. Tworzenie odpadami lub przedmiotami codziennego użytku też nie jest czymś odkrywczym. A.D. 1913 Duchamp wmontował koło rowerowe w stołek kuchenny i pokazał to nowojorkom jako dzieło sztuki, lecz „nie był to dowcip do odgrzewania” (Read). Wszelkie dzisiejsze „odgrzewanie” to już tylko popłuczyny. „Rewolucyjne” manifesty dzisiejszych pseudoartystów również mają brodę ponad stuletnią — już Sienkiewicz sarknął, że tworzący brawurowe doktryny artyści „lepiej apostołują niż malują”.

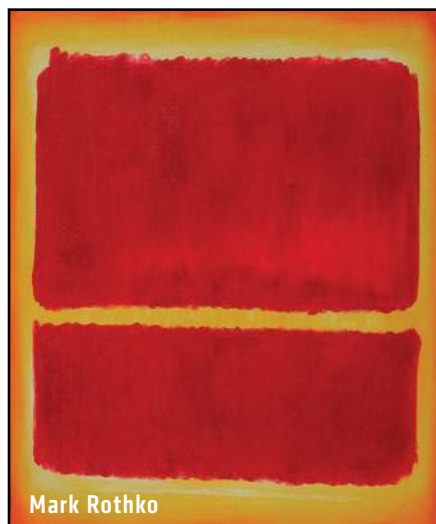
Ale dlaczego mieliby przestać uprawiać swoje pacykarstwo, gdy widzą, że płótna okrzykniętego geniuszem Amerykanina Marka Rothko „chodzą” za dziesiątki



Mark Rothko

milionów dolarów (aktualny rekord, z 2014 roku, to 186 mln dol. za malowidło pt. „Numer 6”). Rozpoznawalność globalną przyniósł mu telewizyjny film dokumentalny angielskiego historyka sztuki, prof. Simona Schamy, z 2007 roku. Cytuję fragment opublikowanej wówczas przeze mnie recenzji tego filmu: „Płótna zamalowane równo (gładko) jedną farbą — brązową, lub bordową, lub granatową. Czasami tnie tę jednolitą płaszczyznę poprzeczny pas lub pasek — to wszystko. Mógłby to samo zrobić każdy amator, gdyby dano mu farby i szeroki pędzel malarzy pokojowych, jakiego Rothko używał. Schama, stojąc bitą godzinę przed tymi płótnami dającymi, niczym ściana, jednobarwny lub dwubarwny kadr — wmawia nam, że to boska transcendencja, czołowe malarstwo XX wieku, szczyt geniuszu”.

Na szczęście takie wmawianie bywa coraz częściej kwitowane szyderstwami. Simone Pope wystawił w Cardiff nicość,



Mark Rothko

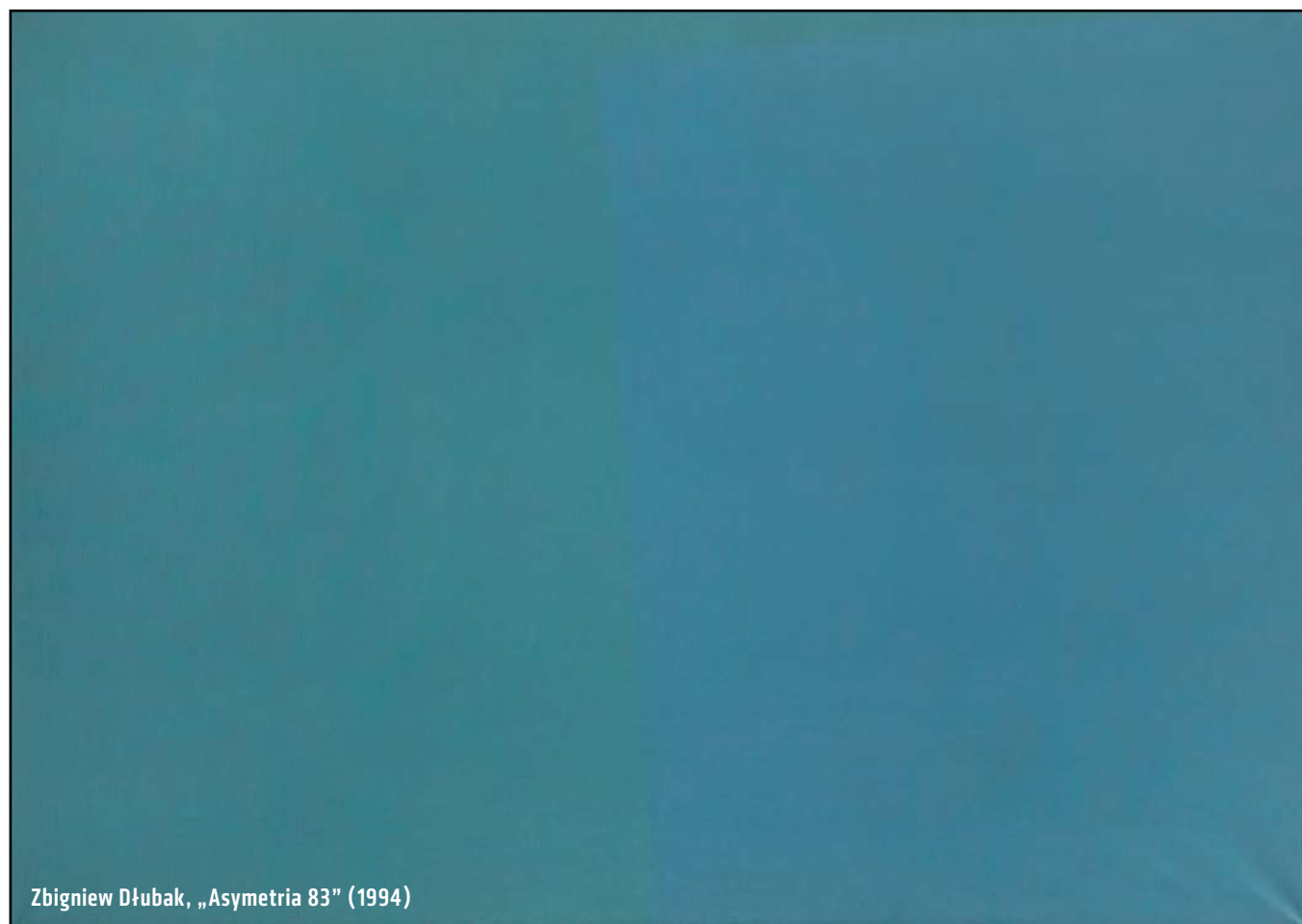
to jest gołe ściany muzeum, równie nudne jak obwieszone bzdetami wnętrza muzeów sztuki współczesnej (krytyk sztuki Maciej Mazurek: „Muzea sztuki nowoczesnej są nudne”, 2008). Mnożą się książki potępiające w czambuł dzisiejszą pseudoawangardę, exemplum praca hiszpańskiego krytyka sztuki Angela Gonzálesa Garcii „Jak malować, nie mając o tym pojęcia”, czy „De Immundo” Francuza Jeana Claira, eksdyrektora Muzeum Picassa w Paryżu (Clair twierdzi, że większość dzisiejszych „nowoczesnych” artystów winna trafić do domu wariatów), czy „Koniec sztuki” amerykańskiego krytyka Donalda Kuspita (Damian Leszczyński: „Kuspit nie odkrywa Ameryki, lecz powtarza to, co część znawców sztuki — w Polsce przede wszystkim Waldemar Łysiak — twierdzi od co najmniej półwiecza. Chodzi o to, że niemal cała sztuka współczesna, odrzucająca klasyczne kanony estetyki i wykorzystująca przede



Mark Rothko



Mark Rothko



Zbigniew Dłubak, „Asymetria 83” (1994)

Wszystkim siłą prowokacji, jest jednym wielkim hochsztaplerstwem, intelektualną i artystyczną bańką mydlaną, rozdmuchaną do granic możliwości przez gromadę usługowych krytyków” (2007).

* * * * *

Jestem pesymistą, bo sądzę, że to, co obserwujemy w sztuce naszych czasów, nie stanowi przejściowej bessy, lecz trwałą dekadencję. A więc zupełny brak

wartościowego postępu (francuski historyk sztuki Philippe Sollers pisał przed dwudziestu laty: „Dzisiaj, kiedy malarstwo upadło tak nisko, trzeba energicznie zwalczać mrzonkę, że istnieje ciągły postęp w sztukach”). Zapaść sztuki nie miałaby miejsca bez ogólnej kulturowej zapaści, to są naczynia połączone. Rakiem zachodniej cywilizacji okazała się bezgraniczna tolerancja dla głupoty i grzechu. Zdjęto hamulce, które temperowały Zło i gro-

dziły mu wiele ścieżek. Brak zakazów dla wszelakich degeneracji i perwersji, apologia (choćby filmowo–telewizyjna) każdej zbrodni i wszelakich wybryków ekshibicjonizmu, kult tandety i erotycznej rulety — cały ten leseferyzm marki „róbta co chceta” dewastuje nie tylko obyczaje, lecz i sztukę. Pablo Picasso dawno temu prorokował jej upadek na skutek przesadnej tolerancji — vide motto eseju, który właśnie skończyliście czytać. ©©

Nicolás Gómez Dávila:

„Malować dobrze jest dziś tak samo trudno jak zawsze, malować źle jest łatwiej”.

„Jutro nieuniknionym zadaniem krytyki będzie ponowne odkrycie smaku”.

„Odnowić tzw. «sztukę współczesną» będzie dane temu, kto zdoła być oryginalny bez silenia się na oryginalność”.

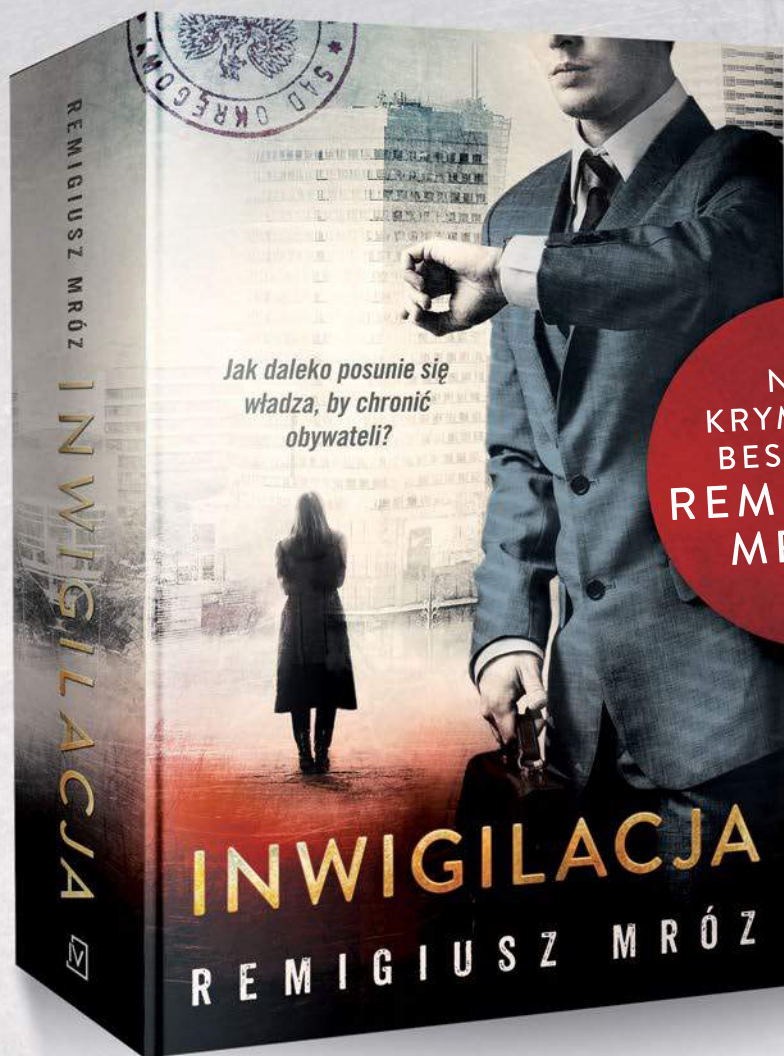
[tłum. Krzysztof Urbanek]

Waldemar Łysiak:

„Malarstwo prezentujące jedynie zupełną pustkę lub tylko wydziwiające dla pogrzebania estetyki — niczym się nie różni od muzyki stanowiącej jedynie hałas”.

„Współcześni artyści awangardowi używają sztuki tak, jak syfilityk używa kobiety”.

„Nazywanie burdelu agencją towarzyską jest dużo mniej szkodliwym eufemizmem niż nazywanie bohomazów sztuką awangardową”.



CIEBIE TEŻ OBSERWUJĄ

CZWAR
ARTA
STRO
NA

KSIĄŻKA DOSTĘPNA
W SIECI SPRZEDAŻY

empik

EBOOK DOSTĘPNY W

publio.pl

AUDIOBOOK DOSTĘPNY W

audioteka
dobrze opowiedziane historie

PATRONI MEDIALNI



lubimyczytać.pl

Newsweek

POCISK
MAGAZYN LITERACKO-KRYMINALNY

eprasa.pl 398251d2ad



Andrzej Horubała

„Chata” oparta na przebojowej powieści Williama Paula Younga, która, wydana w roku 2008, przez 49 tygodni utrzymywała się na pierwszym miejscu bestsellerów „New York Timesa”, to film na naszych ekranach wyjątkowy

Mało jest bowiem tytułów tak otwarcie mówiących o Bogu. Bogu, który wchodzi w nasze życie, leczy rodziny, wzmacnia człowieka.

Twórcy filmu – za autorem powieści – stawiają pytania najistotniejsze: o sens cierpienia, granice przebaczenia, tajemnicę Bożego miłosierdzia. Pytając ostro i udzielając zadziwiająco sugestywnych odpowiedzi, pozwalają w czasie ponaddwugodzinnej projekcji wzruszyć się do łez, odnieść obrazy do własnego życia, podjąć nawet jakieś postanowienia. Piszę tak, bo przecież trzeba traktować „Chatę” w reżyserii Stewarta Hazeldine’a jako kino gatunkowe, christian movie, które rządzi się swoimi regułami. Bez zaakceptowania tej specyfiki nie wejdziemy w świat filmu i pozostaniemy na zewnątrz, wybrzydząc na reguły gatunku. Tak jakby kazanie niedzielne oceniać jak traktat teologiczny czy stand-up.

Owszem, od początku historii kina próbowano sfilmować Boga i święte historie, ale jednak opowieść o spędzeniu w górskiej chacie nad jeziorem weekendu z całą Trójcą Świętą wydaje się rzeczą karkołomną, zwłaszcza gdy owa Trójca jest postaciowana – jak to zgrabnie ujął Łukasz Adamski – w duchu United Colors of Benetton.

Twórcy filmu szybko jednak, umiejętnie dawkując humor i wzruszenie, zawierają pakt z odbiorcą i ich koncept broni się nie gorzej niż wyborny chwyt z niewątpliwego arcydzieła tego nurtu – filmu „Spotkanie” („Encounter” 2010), w którym zbłąkani podróżnicy napotykali Jezusa jako barmana zajazdu Ostatnia Szansa.

Oto naszemu bohaterowi – Mackowi Phillipsowi (kreacja Sama Worthingtona), przeżywającemu Wielki Smutek, znękanemu traumą, obwiniającemu się o śmierć



córki – objawia się Bóg w trzech osobach: w Ojcu (Tacie) jako klasycznej tegawej Murzynki, całusnej i przytulaśnej (w tej roli Octavia Spencer), w Duchu noszącym tu imię Sarayu – szczupłej wycofanej dziewczynie o dalekowschodniej urodzie emanującej czasem dziwnym światłem (subtelna Japonka – Sumire Matsubara) i w Synu, Jezusie – młodzieńcu o semickiej urodzie, w którego wcielił się Avraham Aviv Alush, żydowski aktor o tunezyjskich korzeniach.

Szukający najbardziej zabieg – pojawienie się Ojca pod postacią kobiety, przywołujące macierzyńskie relacje między Stwórcą a człowiekiem – tłumaczone jest przez samego Boga tym, że bohater mający traumatyczne doświadczenia z dzieciństwa z ojcem alkoholikiem oraz cierpiący z powodu własnych niedostatków jako rodzic mógłby nie znieść męskiego upostaciowania pierwszej osoby Trójcy Świętej. Poza tym taka boska epifania ma też na celu oczyszczenie umysłu Macka ze starych wyobrażeń, które przesłaniają prawdziwą naturę Stwórcy. Ten ekstrawagancki

pomysł twórców filmu szybko daje się zaakceptować dzięki zręcznemu ogrywaniu stereotypu czarnoskórej mamuski, żartobliwej, opiekuńczej, zaradnej, ale też przesłaniu miłości, jakie wypowiada.

Oczywiście, że idea takiej Trójcy zapala ostrzegawcze światełka: Bóg jako pramatka, newage’owy Duch Święty urodą i tajemniczym uśmiechem przynoszący konotacje z mądrością Dalekiego Wschodu itp., ale trzeba przyznać, że twórcy filmu nie budują na tych skojarzeniach głównego przekazu.

KSIĄŻKOWY BESTSELLER

W ogóle, w porównaniu z książkowym oryginałem, film – co może zaowocować jego porażką komercyjną – jest o wiele bardziej uładzony i pozbawiony wielu elementów polemicznych. Z dużych spornych partii powieści zostały tylko niedopowiedziane sygnały, zaś całość przyrządzono tak, że daje się – przy akceptacji konwencji – spokojnie znieść nawet ludziom czujnym na sprawy ortodoksji.



Bohaterowie „Chaty” (od lewej): Jezus, Mack Phillips, Tata, Sarayu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gdy filmowy Jezus występuje przeciw religii i mówi Mackowi o zbyteczności zasad i przykazań oraz pierwszeństwie miłości, gdy mówi, że właściwie on, Chrystus, nie jest chrześcijaninem, przetykamy to jako zabawny paradoks, bo scenarzyści szczęśliwie pominęli obecne w książce wydoby o tym, że wyznanie nie ma specjalnego znaczenia i Kościół oraz instytucjonalna religia mogą być wręcz przeszkodą w drodze ku Tacie.

Deklaracji powieściowego Chrystusa, że nie ma ochoty robić z ludzi chrześcijan, towarzyszą tam inne niepokojące wątki, związane ze swobodnym teologizowaniem autora: Tata objawia, że cała Trójca przybrała postać człowieka Syna Bożego (w filmie znalazło to odzwierciedlenie we wzruszającym i już nie tak ostrym pomysle, że cała trójka na przegubach rąk nosi znaki Męki), w innym miejscu powieści Jezus zdecydowanie występuje przeciw jakiegokolwiek hierarchii, tak w życiu religijnym, jak i społecznym, promując jakąś formę anarchizmu miłości. W tych zresztą

elementach należy chyba upatrywać przyczyn wielkiego sukcesu powieści, która sprzedała się w imponującym nakładzie ponad 20 mln egzemplarzy.

Książka wydaje się strawą przyrządzoną dla ludzi o duchowości współczesnej, nieznoszących żadnych zasad, przykazań, w otwarty sposób negujących rolę wspólnoty i tradycji.

W filmie te polemiczne wątki uległy wyciszeniu, co sprawia, że nawet u katolików recepcja tego obrazu pozbawiona będzie bolesnych ukuć. Zgoda, nie do końca sensownie zagospodarowano postać Ducha Świętego, który nie obdarza swymi darami bohatera, robiąc jedynie za przewodnika pogrzebowego rytuału. Kłopotać też będzie niekorzystanie z zasobów chrześcijańskiej tradycji: ani wielkie malarstwo religijne, ani tym bardziej sakramenty nie dostarczyły żadnych inspiracji hollywoodzkim twórcom. Trójca Święta spędza beztrudny weekend, spotykając się przy wspólnych posiłkach, ale próżno szukać w biesiadzie znaków Eucharystii, czy gestu łamania chleba, po którym poznawali Zmartwychwstałego Jego uczniowie.

I odwrotnie – razić może sięganie do zasobów newage'owej wyobraźni. Gdy Duch Święty obdarza Macka boskim wzrokiem, ten postrzega świetliste aury wokół ludzi, co ma niby odpowiadać spojrzeniu Boga. Podłana łzami ziemia wydaje z siebie gęste drzewo. A kiedy Mack po pojednaniu z własnym ojcem ma podjąć najtrudniejszą wędrówkę ku przebaczeniu, Tata objawia mu się pod postacią starego Indianina, sugerując jakieś związki z – no nie wiem – Wielkim Manitu.

To wszystko może brzmieć odstręczająco. Nie to jest moją intencją. Film naprawdę warto zobaczyć, bo choć ubrany czasem w ekstrawagancką formę i w niektórych sekwencjach, szczególnie tych poprzedzających kluczowy weekend, reżysersko niezbyt sprawny, potem zmienia się we wzruszający traktat o Bożej miłości, oferuje Chrystusa, przebaczeniu.

Fundamentalna dla wymowy filmu scena w jaskini, w której Mack dokonuje sądu nad światem i w pewnym momencie przyjmuje boską perspektywę, składając siebie w ofierze za najbliższych, jest też nieco dziwaczna. Przewodnikiem naszego bohatera jest tu enigmatycznie uśmiechająca się kobieta, będąca wcieleniem Sofii, Mądrości, i choć całość przypomina obrazy z gatunku fantasy, to przecież niesie czyste chrześcijańskie przesłanie i pozwala na wgląd w tajemnicę Odkupienia.

Podzielona na etapy wędrówka ku zrozumieniu, wybaczeniu, przeżyciu żałoby, w której przewodnikami są osoby Trójcy Świętej, przypominać może trochę sesje terapeutyczne, ale jest ona odbiciem roli pastorów, których kierownictwo duchowe często zastępuje kozetki psychoanalityków.

RELIGIJNY KICZ?

Co do kiczu: jest tego sporo. Otoczenie chaty, w której następuje spotkanie, to mimo zimy istna feeria bujnej natury: zielone drzewa, kwiaty, świergolące ptaki. Wszystko skąpane w miękkim świetle.

Podobnie przesłodzony jest tajemniczy ogród pielęgnowany przez Sarayu, w którym w dodatku rośliny mimo pozornego chaosu układają się w jakieś niepokojące mandale.

Ale kicz często towarzyszy wszak najbardziej intensywnym, autentycznym religijnym przeżyciom. Sam pamiętam, jak z niedowierzaniem słuchałem zachwyty moich przyjaciółek opowiadających o doświadczeniach rekolekcji we wspólnotach Światło-Życie, szyderstwem reagując na pioseneczki stamtąd przywożone. Zresztą ambiwalentne uczucia przynosiło też moje własne uczestnictwo w pieszych pielgrzymkach. A przecież te wyrażane, otaczane kiczem emocje, te spotkania, po których zostawało poczucie cłikliwości, skutkowało jednak egzystencjalnymi wyborami i poważnymi decyzjami na całe życie: wstąpieniem do zakonu, wybraniem drogi służby bliźnim i zaangażowaniem w działalność charytatywną, wiernością małżeńskiej przysiędze wbrew wszystkiemu. Obserwując więc z perspektywy lat także własne doświadczenia, choć dla mnie najsilniejszym nośnikiem młodzieńczych religijnych przeżyć są chyba kanony z Taize, mam sporo wyrozumiałości dla kiczu, dla religijnej słodczy, dla łzawych wzruszeń. W końcu i w „Dzienniczku” świętej siostry Faustyny tych kwiatuśzków nie brakuje.

Choć w „Chacie” niektóre sceny żenują i zdają się przesadą, np. bieganie z Jezusem po taflę jeziora, przyznać trzeba, że film stanowi bardzo ciekawe mierzenie się z zagadnieniem teodycei, pytaniem o sens cierpienia niewinnych istot i Bożą miłość. Jako uzupełnienie wielkopostnych rekolekcji warto wpaść do kina, by potem z bliskimi podyskutować o obejrzanej historii. Historii uzdrowienia zranionego wnętrza, podnoszenia się z żałoby i traumy, odbudowywania rodziny.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Piękniejsza strona piekła



★★★★★

**REŻ. MICHAŁ
ROGAŁSKI**
**„WOJENNE
DZIEWCZYNY”**
POLSKA 2017

wyst. Aleksandra
Piśla, Vanessa
Alexander,
Marta Mazurek,
Danuta Stenka

Konspiracja w kiece w groszki, czyli lajtowa wersja „Czasu honoru”. Zrobiona zresztą przez tę samą ekipę pod wodzą Michała Kwiecińskiego.

W przypadku seriali z importu pierwszy odcinek, tzw. pilot, z reguły wzbudza przemożny apetyt na następne. Twórcy wychodzą ze skóry, by zaintrygować widza – w słusznym mniemaniu, że drugiej szansy nie będzie. Budowanie intrygi i przedstawianie postaci zostawiają sobie na później. Kolejna erupcja pomysłów nastąpi pod koniec sezonu, gdy ważyć się będzie sprawa kontynuacji. A u nas odwrotnie. Rozbiegówka jest z reguły słaba, jakby realizatorzy przyszli do pracy na ciężkim kacu i potrzebowali czasu, by się doprowadzić do porządku i rozkręcić. „Wojenne dziewczyny” powielają ten schemat.

Na premierowy odcinek spadła lawina krytyki, całkowicie zasłużona. Za dużo tu słońca, koloru i lakieru. A przecież akcja rozgrywa się w piekielnym roku 1941, gdy w okupowanej Polsce nastroje sięgnęły dna. Pal diabli, że bohaterki mówią i zachowują się jak współczesne dziewczyny. Gorzej, że Warszawa jest jak z pocztówki. Słyszymy okrzyki: „Raus!”, widzimy riksze, łapanki i cele na Pawiaku, lecz nasi są młodzi, piękni, dobrze ubrani i nieustraszeni, zaś Niemcy chamscy, przekupni i ciężko myślący. Byle podłotek potrafi sterroryzować takiego Helmuta nienabitym pistoletem, skępować sznurem od spłuczki i zamknąć w dworcowej toalecie. Dodajmy do tego drętwe dialogi, cudowne zbiegi okoliczności oraz obowiązkowe wspomnienie przedwojennej

idylli – i przepis na telewizyjny zakalec gotowy.

Odcinki drugi i trzeci poprawiają humor. Fabuła nabiera płynności. Pojawiają się znane skądinąd typy: oblesny kolaborant, diaboliczny gestapowiec oraz szarmancki oficer Wehrmachtu, a aktorzy wreszcie mają co grać. Z „panien morowych” najlepsza jest Vanessa Alexander, gra też najbardziej wyrazistą postać – złodziejkę o miękkim sercu. Kilka scen jest naprawdę mocnych, lecz komizm wciąż przeważa nad tragedią. Irka z inteligentkiej rodziny ukradkiem czyta „Trędowatą”, dziewczyny dla dobra sprawy udają lafiryndy.

Zgodnie z trendami obowiązującymi we współczesnym kinie głównym motorem działań bohaterów jest zemsta. No cóż, dał nam przykład Tarantino, jak zwyciężać mamy. Przed nami jeszcze co najmniej dziewięć odcinków, miejmy nadzieję, że scenarzyści chowają jeszcze jakiegoś asa w rękawie. Trochę im współczuję, bo muszą walczyć o publiczność zdemoralizowaną telenowelami i wypasionymi produkcjami Anglosasów. Oraz z opinią, że do końca świata najlepszymi serialami o wojnie pozostaną „Polskie drogi” tudzież „Stawka większa niż życie”. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „AZYL”

Jeśli sami nie opowiemy swej historii, to inni zrobią to za nas – i tak oto do opowieści o małżeństwie Żabińskich zabrał się Hollywood. Jan Żabiński był dyrektorem warszawskiego zoo, podczas niemieckiej okupacji ukrywał wraz z żoną na terenie swojej placówki uciekinierów z getta, ratując setki

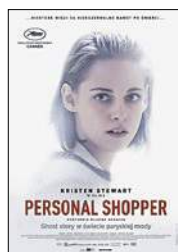
ludzkich istnień. Film oparty jest na biografii napisanej wedle wspomnień Antoniny Żabińskiej (w filmie gra ją znana z „Interstellar” i „Wroga nr 1” Jessica Chastain). ©© **Piotr Gociek**
• „Azyl” („The Zookeeper's Wife”), reż. **Niki Caro**, wyst. **Jessica Chastain, Johan Heldenbergh, Daniel Brühl**, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Life”, reż. **Daniel Espinosa**, USA 2017
- „Power Rangers”, reż. **Dean Israelite**, USA 2017
- „Szpiegzy z sąsiedztwa” („Keeping Up with the Joneses”), reż. **Greg Mottola**, USA 2016

Niewidzialna obecność

Jurorzy z Cannes popisali się osobliwym poczuciem humoru, nagradzając marną reżyserię filmu „Personal Shopper” Złotą Palmą. Jednak Olivier Assayas sroce spod ogona nie wypadł. Obsadzenie prawdziwej celebrytki Kristen Stewart w roli podnózka celebrytki fikcyjnej to pomysł iście szatański. Trzeba jednak przyznać, że panna S. robi, co może, by zmyć z siebie piętno gwiazdeczki. Z częściowym powodzeniem. Występ u Francuza wprawi hejterów Kristen w konfuzję, wielbiciele zaś będą usatysfakcjonowani, gdyż aktorka często się przebiera i nie stroni od perwersji. Tytułowa bohaterka jest stylistką.



★★★★★
REŻ. OLIVIER ASSAYAS
„PERSONAL SHOPPER”
FRANCJA/NIEMCY
2017

wyst. Kristen Stewart, Lars Eidinger, Sigrid Bouaziz, Anders Danielsen Lie

Żywoć upływa jej w paryskich i londyńskich domach mody oraz butikach, ale ma to zajęcie w pogardzie. Maureen widzi i czuje więcej niż inni, czeka na znak od zmarłego brata bliźniaka, który też był medium. W jego domu skrzypią podłogi, zacinają się drzwi, ciekną kranie, a w powietrzu unosi się ekto plazma.

Assayasa mierzi jednak konwencja horroru. Ucieka w egzystencjalny dramat i kryminał, podpira się spirytyzmem z epoki Victora Hugo i Hilmy af Klint – szwedzkiej malarki mistycznej. Wszędzie jednak dopadają go banały i nuda. Konfucjusz miał rację: od duchów lepiej trzymać się z daleka. ©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

DOO OD SIĘDMIU BOLEŚCI

Ten najbardziej przereklamowany film ubiegłego roku to skrzyżowanie „Incepcji” z „Cieniem” (ktoś jeszcze pamięta, jak Alec Baldwin pobierał nauki w Tybecie, by powrócić do Ameryki jako zamaskowany mściciel?). Doktor Stephen Strange (Benedict Cumberbatch) to znakomity neurochirurg, prywatnie kawał irytującego dupka, coś jak miks doktora House’a i Sherlocka Holmesa z serialu BBC. Wypadek przerywa jego jedną karierę, ale daje możliwość rozpoczęcia drugiej – po trudnych azjatyckich lekcjach Strange zostaje superbohaterem broniącym Ziemi przed zagrożeniami nadnaturalnymi. Historia opowiedziana jest z biglem, ale poskładana z tyłu świetnie znanych już elementów, że trudno wykrzesać z siebie entuzjazm. Humor jest wysylony, postacie stereotypowe – trudno dociec, czym oprócz starań wielkiej maszyny promocyjnej wywołane były pochwały, jakimi obsypało film zaraz po kinowej premierze.



★★★★★
REŻ. SCOTT DERRICKSON
„DOKTOR STRANGE”
USA 2016, GALAPAGOS

wyst. Benedict Cumberbatch, Chiwetel Ejiofor, Rachel McAdams

ROZWAŻNA I NIEROMANTYCZNA

Jane Austen raz jeszcze, ale w nieoczekiwanej odsłonie. „Przyjaźń czy kochanie” to film oparty na krótkiej powieści „Lady Susan”. Whit Stillman kręci filmy rzadko i raczej dla bardziej wyrobionej publiczności. Jego najnowsza propozycja przypomina trochę dokonania Wesa Andersona, na pewno nie jest to typowe kino kostiumowe. Główna bohaterka, znana kokietka i intrygantka, przybywa do rodzinnej posiadłości, gdzie niby dochodzi do siebie (niedawno owdowiała), a tak naprawdę rozpoczyna grę, której stawką są kolejne małżeństwa – jej własne oraz córki. Dużo w tej historii mizantropii, za to romantyzmu ani za grosz, a społeczne obserwacje są gorzkie jak proszki na ból głowy. Jak to bywa przy okazji dobrego studium ludzkich charakterów, aktorzy mają okazję pokazać, co potrafią – najlepiej wychodzi to Kate Beckinsale, świetnej jako lady Susan, oraz weteranowi, jakim jest Stephen Fry. © recenzuje Piotr Gociak



★★★★★
REŻ. WHIT STILLMAN
„PRZYJAŹŃ CZY KOCHANIE”
USA 2016, MONOLITH

wyst. Kate Beckinsale, Chloë Sevigny, Xavier Samuel, Stephen Fry

GRA TYGODNIA: „SNIPER ELITE 4”

Włochy, rok 1943. Amerykański snajper, wspierając lokalny ruch oporu w pojedynkę, krzyżuje plany nazistów pracujących nad nowymi Wunderwaffe. To nie scenariusz wojennego kina akcji z lat 70., ale kolejnej odsłony cieszącej się popularnością serii „Sniper Elite”. Jej zalety to realistyczny system

odwzorowania fizyki broni snajperskiej, zadawanych obrażeń oraz możliwość przejścia tej samej misji na wiele różnych sposobów. „Czwórka” poprawia te aspekty, dodając znacznie większe mapy, ale powtarza znane błędy. Słaba SI przeciwników oraz kończąca się zdecydowanie



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

za szybko kampania dla pojedynczego gracza. ©

Marcin Makowski

- Gatunek: FPS
- Platforma: PC/PS4/XONE
- Producent, dystrybutor: Rebellion/Ceneg
- Klasyfikacja PEGI: 16+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mickiewicz na usługach NKWD

Eseistykę Gustawa Herlinga-Grudzińskiego zawiera 10. tom jego „Dzieła zebranych”, których pierwszy tom – „Recenzje, szkice, rozprawy literackie 1935–1946” – ukazał się w roku 2009. Do tej pory Wydawnictwo Literackie opublikowało kolejne dwa tomy „Recenzji...” oraz pierwszy tom „Opowiadań wszystkich”. W tym roku ma wyjść drugi tom „Opowiadań” oraz pierwszy tom „Dziennika pisanego nocą”.

Teraz mamy „Eseje” – 880 stron. Tom otwiera „Godzina cieni”, po raz pierwszy opublikowana w 1963 r., zamiast wstępu do książki „Drugie przyjście” oraz inne opowiadania i szkice” opowiadająca o ostatnich miesiącach pobytu autora w kraju, o kampanii wrześniowej 1939 r. i życiu w zajętych przez Sowietów Lwowie, potem Lidzie i Grodnie. W tym ostatnim w połowie marca 1940 r. dyrektor teatru, Władysław Jarema – wspominał Herling – „szepnął mi zagadkowo, że dopytuje się (?) o mnie NKWD. Jakkolwiek było w rzeczywistości, usłyszałem w jego głosie zachętę do przyspieszenia moich projektów. Znalazłem wreszcie, dzięki pożyczkom, dwóch przemysłowców gotowych do przetrzymania mnie na Litwie. Jeden z nich nazywał się Mickiewicz. Pod takimi auspicjami zaczęła się moja... droga do Rosji. Nasza furka wyminęła roгатki Grodna o północy i ujechała zaledwie dziesięć kilometrów. Samochód policyjny dognał ją w pustym polu, gdzie podobne operacje nie zwracały niczyjej uwagi. Mój Mickiewicz był na usługach NKWD.

Spotkałem go trzy lata później na pustyni w Iraku jako kaprała, co dowodziło, że i on w końcu podążył w ślady swych ofiar. Przyglądałem mu się długo w milczeniu, widziałem, jak z jego twarzy ucieka



FOT. BASIO CANNARA / LEEMAGE / EAST NEWS

krew. Potem ciągle bez słowa, poszedłem dalej”.

W 100. rocznicę urodzin Josepha Conrada, dokładnie 60 lat temu, w szkicu „W oczach Zachodu”, pisząc o twórcy „Jądra ciemności”, Herling-Grudziński cytował opinię o nim Bertranda Russella: „Nie zdradzał dużego zainteresowania dla systemów politycznych, choć miał kilka silnych uczuć politycznych. Najsilniejsze z nich były dwa: miłość do Anglii i nienawiść do Rosji, i oba znalazły swój wyraz w »Tajnym agencie«, nienawiść do Rosji, zarówno carskiej, jak i rewolucyjnej, przemawia z wielką siłą z kart »W oczach Zachodu«. Jego niechęć do Rosji była tradycyjnie polska. Posuwała się ona tak daleko, że nie uznawał ani Tołstoja, ani Dostojewskiego. Turgieniew – wyznał mi raz – był jedynym

powieściopisarzem rosyjskim, dla którego miał podziw”.

A sam Herling-Grudziński? Był wytrawnym znawcą literatury rosyjskiej i sowieckiej, o czym świadczą pomieszczone w tym tomie eseje „Upiory rewolucji” z tak klasycznymi już szkicami jak „Siedem śmierci Maksyma Gorkiego”, „Głosy z Rosji podziemnej”, „Jegor i Iwan Denisowicz”, teksty o Bułhakowie, Bablu, Pasternaku. Znamienne są jego uwagi poczynione na marginesie lektury Fiodora Dostojewskiego: „W osobie lichwiarki Raskolnikow, posłuszny »czystej logice« i swojej własnej »prawdzie«, zabił zasadę »nie zabijaj«. Ale – jak sam o sobie powiedział – nie potrafił jej »przekroczyć«. Człowiek z podpolia chwycił za siekiere, człowiek przywalony Niebem padł na kolana ze słowami spowiedzi i skruchy na ustach. W liście do Fonwizyny Dostojewski pisał: »Jeśli by ktokolwiek dowiódł mi, że Chrystus jest poza prawdą i rzeczywiście prawda istnieje poza Chrystusem, to bardziej by mi się chciało zostać z Chrystusem aniżeli z prawdą«.

Po latach usłyszymy w »Braciach Karamazow«: »Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno«. Na linii antynomii »prawdy« i »dobra« lub »prawdy rozumu« i »prawdy Chrystusa« toczył się pojedynek Dostojewskiego z socjalizmem. I niekoniecznie trzeba wierzyć w Boga, by zrozumieć do głębi – tak jak Przybylski – że Dostojewski otworzył w literaturze epokę sprzeczności targających systemem moralnym, który wyrzekł się religii. Na kogoś więcej niż na burżuazję europejską podniósł Raskolnikow rękę uzbrojoną w siekiere. Podniósł ją na siebie, na człowieka »nowożytnego« i »wyzwolonego z przesądów«. ©©



★★★★★
**GUSTAW
HERLING-
GRUDZIŃSKI
„DZIEŁA ZEBRANE.
TOM 10. ESEJE”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE,
KRAKÓW 2016**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ciemne młyny przyszłości

Pytany o to, jak może wyglądać zmodyfikowany genetycznie człowiek przyszłości, pisarz Jacek Dukaj odpowiada: „Idealnym zdrowia XXI wieku byłby kreatywny i aktywny, seksowny osiemdziesięciolatek”. Długość życia, atrakcyjność seksualna i sprawność intelektualna to bowiem najbardziej cenione cechy w panującym dziś modelu dążenia do doskonałości. Znalazłem ten cytat w obszernym wywiadzie, jaki dla magazynu „44” przeprowadzili Krzysztof Niewiadomski i Rafał Tichy. Dla tej jednej rozmowy warto byłoby już nabyć najnowszy numer tego magazynu apokaliptycznego, pożywką dla poważnych rozważań jest tam jednak dużo więcej. Od kilku lat nie czytałem tak dobrego zestawu tekstów w tzw. tołstych żurnalach. Temat numeru: „Mesjańskie oblicze transhumanizmu”.

Wyznawcy transhumanizmu głoszą, że naturalnym kolejnym krokiem ludzkości będzie zintegrowanie człowieka z maszyną, że w nowych becziesnych wersjach istnieć będziemy jako czysta informacja – na czym zapisana i gdzie przechowywana, to temat osobnej debaty. Czy doceniamy skalę rewolucji, jaką to zwiastuje? „Post-człowiek becziesny z definicji jest nie tyle »nieśmiertelny«, ile »zawieszony« poza śmiertelnością i nieśmiertelnością. Żadna jego śmierć

nie jest bowiem ostateczną. Nigdy nie będzie miał gwarancji, że ktoś gdzieś kiedyś nie uruchomi którejś jego kopii”. To strona techniczna. A duchowa? Czy reset takiej jednostki anuluje jej grzechy?

Nie nauka i jej możliwości, lecz teologia przyszłości, teologia technologii jest głównym tematem rozważań autorów „44”. Czy mieszkańcy takiego świata mogą być zbawieni? W jaki sposób? Czy trans-

humanizm odrywający „duszę” od ciała jest (może być) doświadczeniem religijnym? Czy jest zaprzeczeniem wszystkiego, czym jest człowieczeństwo, i antytezą nauk Kościoła, czy może właśnie okazją, by wykonać krok do „niebiańskiej chwały”? Skupiam się na Dukaju, ale znajdziecie w tym tomie także świetny esej Thomasa Ryby o „Łowcy androidów” („Replikanci i szatańskie ciemne młyny”), niegłupą analizę Michała Kacprzaka o transhumanizmie w książkach Stanisława Lema oraz wiele tekstów wchodzących już w kwestie



★★★★★

**44 „MESJAŃSKIE
OBLCZE TRANS-
HUMANIZMU”
MAGAZYN
APOKALIPTYCZNY
CZTERDZIEŚCI
I CZTERY NR 8**

rozważań głównie teologicznych. Poza blokiem głównym ciekawa jest rozmowa ze Szczepanem Twardochem, który utrzymuje, że od konserwatyzmu odszedł, bo widzi jego... antychrześcijańskość. Jeśli nuży was pustka codziennych sporów w elektronicznych mediach, męczy piana gazet, to sięgnijcie po „44” i spróbujcie pokłócić się o to, co ważne. ©©

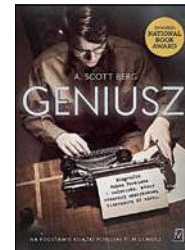
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Rohoziński cofa się do XIX stulecia (opisując m.in. znane z „Pustyni i w puszczy” powstanie Mahdiego), przygląda się rosyjskiej ekspansji na Kaukazie i brytyjskiej na Bliskim Wschodzie. Kolonializm był zapalnikiem – wytyka.



**JERZY ROHOZIŃSKI
„NARODZINY
GLOBALNEGO
DŻIHADU”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE**

Za każdym wielkim pisarzem stoi wielki redaktor. Czasem ten sam za kilkoma różnymi – stąd biografia Maxa Perkinsa, który pracował m.in. z Hemingwayem, Scottem Fitzgeraldem i Thomasem Wolfem.



**SCOTT BERG
„GENIUSZ”
CZWARTA
STRONA**

Po serii publikacji zbierających świadectwa ukraińskiego ludobójstwa dokonanego na Polakach na Wołyniu Marek Koprowski przygotował kolejną serię – to wspomnienia i relacje żołnierzy niepodległościowego podziemia.



**MAREK A. KOPROWSKI
„ŻOŁNIERZE
WYKŁĘCI. TOM 1”
REPLIKA**

Wznowienie uznawanej już za klasyczną powieści graficznej o bohaterskich Spartanach stawiających opór Persom w termopilejskim wąwozie. Głośny film Zacka Snydera z 2007 r. to ekranizacja właśnie tej publikacji.



**FRANK MILLER
„300”
EGMONT**

©© poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Michalina Wiśłocka „Sztuka kochania” (Agora)** – najsłynniejszy polski poradnik seksualny wraca na półki za sprawą filmu o autorce.
2. **Lina Nertby Aurell, Mia Clae „Food Pharmacy” (Otwarte)** – od bloga o diecie przeciwwapalnej do książki, która stała się już bestsellerem w USA i Szwecji.
3. **Neil Gaiman „Mitologia nordycka” (MAG)** – popularny brytyjski autor fantasy opowiada po swojemu o Odynie, Thorze i Lokim.
4. **Harlan Coben „Już mnie nie oszukasz” (Albatros)** – nowa powieść znanego autora thrillerów – weteranka z Iraku i tajemnica zabójstwa jej męża.
5. **Bruce W. Cameron „Był sobie pies” (Wydawnictwo Kobiectwo)** – kolejny bestseller dzięki ekranizacji. Sympatyczny kundel, mały Ethan i wiele niespodzianek.

(Najchętniej kupowane tytuły w księgarni internetowej Bonito.pl)



JAN POSPESZALSKI

KONTRA/BASEM

Czysta witalność

To nie muzyka źródłowa jest szczególnie witalna, tak jak jagody nie biorą się z bułki jagodzianki. To ludzka witalność zrodziła muzykę. Wielka energia życia jest pierwotną siłą, która eksploduje i wyraża się w muzyce – mówi izraelski gitarzysta Dima Gorelik.

Urodzony w Charkowie Dima tak jak wielu obywateli pochodzenia żydowskiego, opuścił z rodziną Ukrainę i wyjechał do Izraela. – W nowej- starej ojczyźnie odkryłem niesamowite bogactwo muzyki. W zaułkach, gdzie mieszkali przybysze z Etiopii, rozbrzmiewały dźwięki z Afryki. Włączając się godzinami po dzielnicy arabskiej, słuchałem tamtejszych przebojów, piosenek Żydów z Jemenu, z Ma-



Dima Gorelik, Shachar Elnatan i Franek Pospieszalski FOT. WOJCIECH SKRZYDLEWSKI

roka, a jednocześnie poznawałem jazz, muzykę klezmerską, ladino. Tata za pierwszą wypłatę kupił mi gitarę elektryczną, a gdy miałem 12 lat, zostałem uczniem kompozytora Shaia Cohena.

Podczas służby wojskowej spotyka wielu prostych chłopaków, którzy znali oryginalne pieśni i śpiewali je po mistrzowsku. – To było połączenie muzyki arabskiej, greckiej, marokańskiej, z całego dawnego osmańskiego imperium, opowiada Dima. – Ogromny wpływ na mnie mieli też Arnie Lawrence i jego żydowsko-arabska, jazzowa orkiestra. Lawrence nauczył nas szacunku i słuchania siebie nawzajem. To pozwala mi dziś zagrać z każdym wrażliwym muzykiem. Izrael to ogromny kulturowy

konglomerat, jestem w tym świecie zanurzony i szukam swojego muzycznego języka – mówi Dima Gorelik.

Muzyka żydowska to często nostalgiczne wspomnienia sprzed Zagłady. Dima, czerpiąc z żydowskiej tradycji, gra w sposób nowy, daleki od skojarzeń z prochami umarłych. – W Izraelu doświadczyłem, ile energii i życia jest w naszej muzyce – podkreśla Dima.

Echa tej witalności słychać podczas sesji w studiu M1 Polskiego Radia, gdzie z bardzo młodymi muzykami – izraelskim perkusistą Shacharem Elnatanem (mieszkającym obecnie w Nowym Jorku) i z kontrabasistą Frankiem Pospieszalskim – zarejestrował kilka swoich najnowszych kompozycji. ©©



GRZEGORZ BRZOWICZ

NA SŁUCH

Debilna wojna

Nienapisanym mottem płyty są słowa: „Jeśli wszyscy nie zgodzimy się na wojnę / nie padnie strzał i na front nie pójdzie nikt”. Pochodzą one z tytułowej piosenki autorstwa Tymona Tymańskiego utrzymanej w duchu lennonowskiego utopijnego pacyfizmu. To jedyny utwór oryginalny, bo resztę stanowią przeróbki antywojennych klasyków. I tu lider pokazał zadziorny pazur!

Mamy bowiem dwa uzupełniające się zestawy. Pierwszy tworzą piosenki klasyków polskiej nowej fali (Brygada Kryzys, Siekiera, Republika), drugi – rosyjskich nieprawomyślnych bardów epoki realnego socjalizmu (Bułat Okudźawa, Włodzimierz Wysocki, Borys Griebieniczikow, Leonid Fiodorow, Dymitri Ozierski). Szkoda, że album

nie zawiera przekładów wybitnych tekstów braci Moskali. Jedynie Tymon zaśpiewał, i to kapitalnie, polską wersję „Nie wierzcie piechocie” Okudźawy.

Wielkim plusem albumu są też aranżacje. To zasługa poważnej liczby muzyków. Sam zespół Transistors liczy siedem osób, a wsparła go trzyosobowa sekcja dęta oraz czworo wokalistów. Natalia Pikuła pięknie zaśpiewała tytułową piosenkę, co nadało jej dodatkowego pacyfistycznego wydźwięku. Całość ma nieco sowizdrzański drive, ale elegia „Kiedy minie wola” Griebieniczikowa pokazuje, że zadanie zostało potraktowane poważnie.

Projekt „Wojna to przeżytek” powstał w 2015 r., przy wsparciu państwowego mecenasa, na potrzeby Art'n' Music Festival. ©©



★★★★★
TYG
TRANSISTO
„ZATRZYMAJ
WOJNĘ!”
YMusic/NCK



★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY
„T2:
TRAINSPOTTING”
POLYDOR

Równie energetyczny zestaw co na kultowym soundtracku sprzed 21 lat. Stara gwardia (Iggy Pop, Queen, The Clash) miesza się z nową (Wolf Alice, Young Fathers, Fat White Family). I młodzież daje radę. Wybór piosenek do filmu pierwszego sortu. ©©



★★★★★
BRUNO COULAIS
„MARIA
SKŁODOWSKA-
CURIE”
POLSKIE RADIO

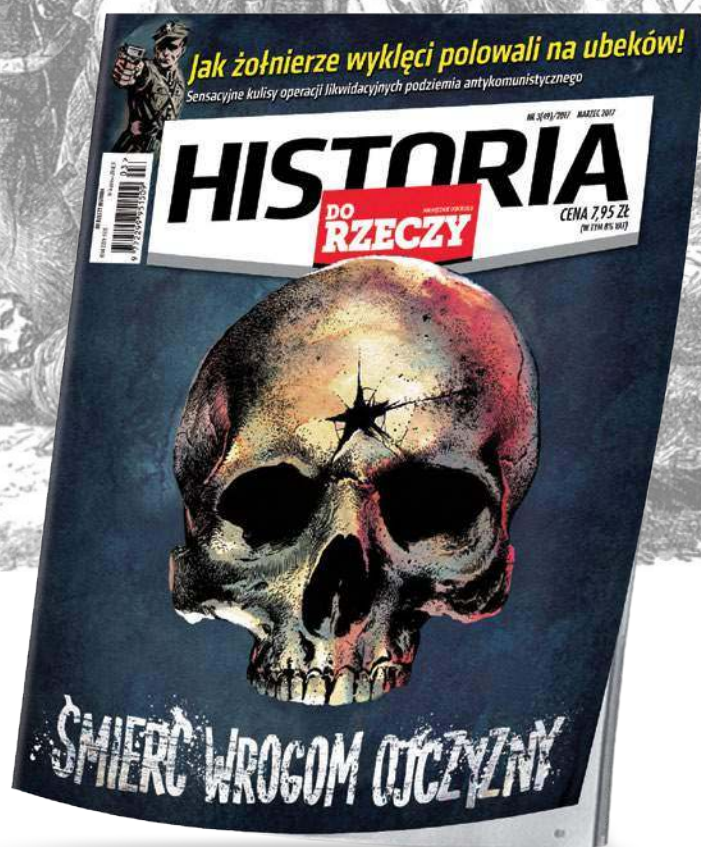
63-letni francuski kompozytor, znany z filmów „Pan od muzyki”, „Himalaya” i „Microcosmos”, nagrał przepiękną emocjami muzykę na kwartet smyczkowy, fortepian i flet. Album kończy taneczna piosenka Nour Azam, a całością słucha się wybornie. ©©



TYLKO U NAS!
LEGENDA LWOWA: SZCZEPICIO I TOŃCIO

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Arkadiusz Karbowskiak – **Akcje likwidacyjne wyklętych** / Grzegorz Motyka – **Wyklęci kontra Sowieci** / Jakub Ostromecki – „Braveheart” a prawda historyczna / Sławomir Cenckiewicz – **Jaruzelski i kopalnia Wujek** / Marian Zacharski – **Seks agentki PRL** / Marco Patricelli – **Kulisy porwania Mussoliniego** / Sławomir Koper – **Skandale rodziny Kossaków** / Piotr Zychowicz – **Samospalenie polskiego księdza w ZSRS**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 398251d2ad



Dominik Zdort

Paweł Lisicki uważnie śledzi, jak obecny papież oddala się od katolickiej ortodoksji. Bez ogródek stwierdza, że po czterech latach pontyfikatu Jorgego Bergoglia Kościół jest podzielony jak nigdy, a katolicyzm traci resztki wpływu na życie publiczne

Wyjątkowo niezręcznie jest pisać recenzję do tygodnika, którego redaktorem naczelnym jest autor recenzowanej książki. To jeszcze bardziej niewygodne, gdy ów autor był przez dobrych kilka lat szefem dzisiejszego recenzenta, a także kiedyś przewodnikiem, który porządkował intelektualne intuicje młodszego kolegi. Czytelnik ma prawo być nieufny, ma prawo podejrzewać, że autor recenzji będzie nieszczerzy, będzie wysławiał swojego dawnego mentora pod niebiosami.

Na początek zatem, aby uspokoić czytelnika, napiszę: wiele wody upłynęło od tamtych czasów w Wiśle i Lisicki już dawno nie jest moim idolem. Co więcej – uważam, że Paweł jako autor bieżących komentarzy i publicystyki politycznej nie jest ciekawy. Pisząc o polityce, staje się przewidywalny. Nie chcę przez to powiedzieć, że jest płytki i banalny, bo byłoby to nieprawdą. Jednak analizując wydarzenia na polskiej scenie politycznej, zazwyczaj nie zaskakuje. Chociaż bezbłędnie odgrywa swoją rolę redaktora naczelnego tożsamościowego tygodnika prawicowej opinii.

Mam jednak wrażenie, że robi to tylko z obowiązku. Że znacznie lepiej czuje się w kostiumie autora teologicznych esejów i analityka spraw kościelnych. Takim Lisickim zachwycił się kiedyś Czesław Miłosz, po publikacji tomu esejów „Nieludzki Bóg”, nazywając go „najwybitniejszym po II wojnie światowej polskim eseistą metafizycznym”. W tej dziedzinie redaktor „Do Rzeczy” był i nadal jest oryginalny, a przede wszystkim odważniejszy niż przeważająca większość polskich publicystów związanych z Kościołem. Nie jest bowiem pokorny ani „kościółkowy” – w niepochlebnym tego słowa znaczeniu. Potrafi być krytyczny nie tylko wobec najbardziej dostojnych

Młot na Franciszka

teologów, lecz także wobec papieży, bez mrugnienia okiem wskazując sytuacje, gdy oddalają się od katolickiej ortodoksji.

PANCISZKA

„Poza polityczną poprawnością” to zbiór tekstów Pawła Lisickiego. Publikowanych na tych łamach, na których czytają państwo tę recenzję, oraz na portalu Wirtualna Polska. Jednak także w różnych innych miejscach i w różnych czasach – najstarsze publikacje to wywiady publikowane we „Frondzie” jeszcze w 1999 r. (jest wśród nich pasjonująca rozmowa z kard. Josephem Ratzingerem).

Nie ulega wątpliwości, że sprawy wiary i Kościoła autentycznie poruszają Lisickiego, że o sprawach religijnych oraz eklesjalnych potrafi pisać ciekawie, odkrywając przed czytelnikami to, czego na pierwszy rzut oka nie potrafią dostrzec. Dlatego z ogromną przyjemnością znów przyjrzałem się, jak ideologia gender manipuluje biblijnymi przekazami o Marii Magdalenie. Przypomniałem sobie rozważania redaktora „Do Rzeczy” na temat tego, w którym momencie Jezus został przez swoich wyznawców uznany za Boga. Jeszcze raz przeczytałem analizę wyjaśniającą, w jaki sposób zmanipulowano historię, aby z Piusa XII uczynić antysemitę.

Lisicki ze szczególną uwagą przygląda się zderzeniu współczesnego liberalnego świata z katolicką tradycją. Najciekawsze konstatacje jednak wychodzą spod pióra (z klawiatury?) redaktora naczelnego „Do Rzeczy”, gdy zaczyna przyglądać się wypowiedziom Ojca Świętego Franciszka. Autor bez owijania w bawełnę deklaruje, że został mu zabrany „dar ufego przyjmowania wszystkich nauk dlatego, że wypowiada je biskup Rzymu”. A to, w przypadku całkowicie wypranego z emocji Pawła Lisickiego, mędrca doskonale posługującego się „szkiełkiem i okiem”, oznacza często zmiażdżenie papieskich wypowiedzi siłą intelektualnie zabójczych argumentów.

O co do Jorgego Marii Bergoglio ma pretensje Lisicki? Kilkakrotnie wracają w jego tekstach wypowiedzi argentyńskiego papieża na temat uchodźców – najbardziej autora książki oburzyło chyba to, gdy papież zadeklarował, że nie będzie mówił o „przemocy islamskiej”, gdyż musiałby w takim wypadku mówić także o „przemocy katolickiej”, a przecież we wszystkich religiach są grupy fundamentalistyczne. „My też je mamy” – stwierdził Ojciec Święty, wywołując gorący protest redaktora „Do Rzeczy”, słusznie zauwa-

żającego, że na świecie nie ma fanatyków dopuszczających się zamachów w imię nauczania Kościoła katolickiego. Natomiast gdy Bergoglio wezwał Europę do przyjmowania uchodźców z krajów islamskich, Paweł Lisicki zareagował, zwracając uwagę, że w chrześcijaństwie nie obowiązuje zasada: „Miłuj bliźniego swego bardziej niż siebie samego”.

Bardzo drażni Lisickiego papież, gdy mówi o bożym miłosierdziu, równocześnie nie wspominając o bożej sprawiedliwości. Denerwuje go, kiedy Franciszek zniechęca wiernych do stawiania się lepszymi ludźmi, stwierdzając, że ludzie powinni akceptować się takimi, jakimi są, bo „Bóg miłuje nas takich, jakimi jesteśmy”. Szef „Do Rzeczy” protestuje, kiedy słyszy, że „nikt nie może być potępiony na zawsze” – bo przecież to kłóci się z wielowiekowym nauczaniem Kościoła. Dziwi się, kiedy słyszy od Ojca Świętego, że „prozelityzm między chrześcijanami jest ciężkim grzechem”, bo przecież nawracanie ludzi innych wyznań było zawsze rolą Kościoła i za swój główny cel uznawało go wielu papieży oraz świętych.

Lisicki nie wyklucza, że słowa Franciszka to tylko retoryka obliczona na zyskanie popularności. Jednak skoro tak – zadaje pytanie – to czy chrześcijaństwo ma polegać na mówieniu tego, co ludzie chcą usłyszeć? Za historykiem Kościoła, Roberto de Matteim, powtarza pytanie: „Do jakiego Kościoła należy papież Bergoglio?”. I sam sobie odpowiada: to jest Kościół, dla którego najważniejsze są stare hasła lewicy, a więc „nie obrona życia poczętego i praw rodziny, ale walka z globalnym ociepleniem i otwarcie granic przed imigrantami”. Po czym podsumowuje, że jeśli pontyfikat Franciszka potrwa dłużej, to ta rewolucja w kościelnym nauczaniu również dojdzie do Polski, a polska prawica utraci swojego głównego cywilizacyjnego sojusznika.

Z tą ostatnią konkluzją Lisickiego nie mogę się zgodzić. Z dwóch powodów.

Po pierwsze: można mieć nadzieję, że wprowadzanie wywrotowców do polskiego Kościoła potrwa nieco dłużej, niż się obawia szef „Do Rzeczy”. Po nominacji abp. Marka Jędraszewskiego na metropolitę krakowskiego widać, że Franciszek nie zasięga opinii na temat kandydatów na wysokie stano-

wiska ani przy Czerskiej, ani przy Wiślniej. Informacje najpewniej ma z episkopatu, a tu najpewniej wciąż w większości są katolicy.

Po drugie: to raczej Kościół potrzebuje sojusznika w wojnie kulturowej i nie odnajduje go w polskiej prawicy, przynajmniej w jej głównym nurcie. Dość przypomnieć, jak wyglądała niedawna próba zmiany ustawy antyaborcyjnej.

ŻAL DO BENEDYKTA XVI

Nie wszyscy może to pamiętają, ale Paweł Lisicki nie skrywał swoich wątpliwości także wobec nauczania innego papieża, Jana Pawła II, choć – przynajmniej – czynił to w nieporównanie bardziej oględnej formie. A skoro narzekał na papieża Polaka i narzeka na papieża Argentyńczyka, to czy oznacza to, że podobał mu się papież z Niemiec?

Być może kiedyś tak było. Czytając najnowsze teksty, można mieć wrażenie, że autor stracił sporo sympatii do Benedykta XVI. Jak wyrzut brzmi omówienie „Ostatnich rozmów” Petera Seewalda, gdy Lisicki narzeka, że emerytowany papież o swoim następcy mówi z wielką ostrożnością, że nie odnosi się do budzących niepokój wypowiedzi Franciszka na temat imigrantów, globalnego ocieplenia ani komunii świętej dla osób żyjących w związkach niesakramentalnych.

Redaktor naczelný „Do Rzeczy” ostro ocenia też samą decyzję Benedykta o abdykacji. „Sprawowanie urzędu Piotra przestaje być powołaniem, czymś, co przyjmuje się na całe życie, jest tylko czasową funkcją, z której można zrezygnować”, to „osłabienie autorytetu i zakwestionowanie świętości urzędu” – grzmi Lisicki. I, choć tego nie pisze, można mieć wrażenie, że największy żal ma do Ratzingera za to, iż otworzył drogę do Tronu Piotrowego kard. Bergogliowi.

Ze smutkiem Paweł Lisicki konstatuje – przywołując opinię znanego watykanisty Sandro Magistra – że „Franciszek ciągle mówi, zaprzecza temu, co powiedział, i znowu mówi”. Efektem są kakofonia i nieład: „Kościół zdaje się podzielony jak nigdy, a katolicyzm traci resztki wpływu na życie publiczne”. I trudno się z tym nie zgodzić. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest szefem portalu Tvp.info.



PAWEŁ LISICKI
„POZA
POLITYCZNĄ
POPRAWNOŚCIĄ”
WYDAWNICTWO
M 2017



Sławomir Cenckiewicz

„Milczenie” nie jest filmem katolickim. To karykatura chrześcijaństwa

Wychodząc z kina po obejrzeniu zbyt długiego „Milczenia” Martina Scorsese, pomyślałem zgodnie ze swoją wrażliwością historyka: jak dobrze, że ten utalentowany reżyser nie jest Polakiem! I kiedy podzieliłem się tą myślą z towarzyszącą mi rodziną, usłyszałem pełne niezrozumienia pytanie: Dlaczego? Zirytowany odpowiedziałem: Bo gdyby Scorsese znał realia PRL i komunistyczny mechanizm walki z Kościołem, to nakręciłby zapewne pełen rozterek oraz moralnych dylematów film o upadłych księżach, którzy porzucili kapłaństwo i najęli się do Departamentu IV MSW, by prowadzić osobistą wojnę z Chrystusem i Jego Kościołem. Scorsese przedstawiłby to nieostro i niejednoznacznie, czyli zgodnie z regułami demoliberalnej postprawdy.

SENS OFIARY

„Milczenie” zostało już na wszelkie sposoby zrecenzowane przez krytyków filmowych i nie ma potrzeby powracać do wyartykułowanych już argumentów na „tak” i na „nie” – od urzekającej i pełnej symbolicznej głębi przyrody, poprzez realia XVII-wiecznych misji katolickich do Japonii i rzezie katolików w państwie szogunów, aż do zasadniczego pytania dotyczącego realizacji nakazu Chrystusa, by iść i nauczać WSZYSTKIE narody... Na ogół trafnie pod tym względem najnowsza porażkę Scorsese na tych łamach opisał Andrzej Horubała („Inspirujące fiasko Martina Scorsese”, „Do Rzeczy” 7/2017), choć dopatrywanie się w „Milczeniu” wezwania do „przygotowania się chrześcijan żyjących w zachodnim wygodnym świecie na próbę bezpośredniego świadectwa, gdy bez światłocieni, aluzji, zapytani będziemy o naszą wiarę”, uważam za nieporozumienie. I to tym większe, że właśnie najnowszy film Scorsese jest w istocie wezwaniem do demobilizacji chrześcijan, bo jak rzadko który kwestionuje przecież sens ofiary, świadectwa wierności i trwania do końca przy Zbawicielu wbrew wszystkiemu i wszystkiemu!



Szczytem tej ohydy jest fundamentalna scena „Milczenia”, której nie neutralizują i nie unieważniają w filmie żaden wątek czy scena – ani permanentnie i bez skrupułów depczący wizerunek Pana Jezusa przewodnik Kichijiro, który po każdej ze zrad w groteskowy sposób prosi o przebaczenie bez osobistej poprawy, ani nawet scenka o. Rodriguesa (Andrew Garfield), który mimo zdrady w trumnie trzyma małutki krucyfiks. Chodzi o moment, kiedy w scenerii męczeństwa katolików upadły o. Ferreira (Liam Neeson), który porzucił kapłaństwo, pojął żonę i stał się teologiczno-koncepcyjnym ekspertem szogunów do walki z misjonarzami oraz katolikami, prowadzi rozmowę z pojmanym o. Rodriguesem. To sugestywnie sportretowany obraz kuszenia i skutecznego zwerbowania kapłana przez Złego, który w charakterystyczny dla siebie sposób (opisywany

zresztą często przez teologów i wizjonerów jako przestroga w chwili konania) ukazuje cały bezsens trwania w nakazie ewangelicznym Chrystusa, pragmatycznie ukazując pozorne dobro płynące z wyzbycia się z przyjętego na swoje barki kapłańskiego obowiązku zbawiania dusz, misjonarskiego heroizmu, prostoty wiary, niewygody, opresji i wreszcie gotowości przelania krwi. Stawką tej strasznej rozmowy jest publiczne zaparcie się Chrystusa, Kościoła i japońskiej trzody katolików, ale wszystko to odbywa się pod pozorem wierności Jezusowi okrutnie zniekształconemu przez Europejczyków z Wiecznego Miasta.

Ważne w tym kontekście wydaje mi się przypomnienie, że – mimo dwugodzinnej (z łącznie trzech godzin filmu) opowieści o heroizmie wiary misjonarzy naśladowujących św. Franciszka Ksawerego



FOT. MATERIAL PRASOWE

i zepchniętych do katakumb japońskich chrześcijan męczenników – „Milczenie” nie jest filmem katolickim! To karykatura chrześcijaństwa, którego jedynie zdeformowany kształt charakteryzujący się bezobjawowością katolickiego świadectwa jest akceptowalny przez współczesne elity. Dlatego z nieskrywanym entuzjazmem przeczytałem na stronie „Więzi” (właśnie tam!) jakże celne słowa bp. Roberta Barrona z archidiecezji Los Angeles, który w recenzji „Milczenia” napisał, że cały ten reżyserski „nacisk na złożoność, wielowartościowość i niejednoznaczność służy współczesnej elicie kulturalnej, która nie różni się aż tak bardzo od japońskiej elity kulturalnej przedstawionej w filmie. Chodzi mi o to, że laickie elity zawsze wolą chrześcijan, którzy są niezdecydowani, niepewni, podzieleni i chętnie godzą się, że ich

religia to sprawa prywatna. A są one nader skłonne odżegnywać się od ludzi żarliwie religijnych jako niebezpiecznych, gwałtownych i, nie oszukujmy się, niezbyt bystrych”.

SZODYPOAZ APOSTAZJI

Tym bardziej z zażenowaniem przyglądam się głośnym audycjom Scorsese w Watykanie i zachwytom niejednego chrześcijanina autoryzującego ten szkodliwy pokaz apostazji oraz zdrady. Nie odmawiam reżyserowi talentu ani nawet osobistego prawa do prowokacji. Nie mogę jednak pojąć, co w jego dziełach, wśród których jest jeden z najbardziej bluźnierczych filmów – „Ostatnie kuszenie Chrystusa” – wyznacza drogę do milusińskiego spotkania z następcą Piotra Apostoła. Znam zarzuty stawiane papieżowi Franciszkowi, który w wielu

swoich publicznych wypowiedziach jest faktycznie mało ortodoksyjny, ale nawet wzięwszy to pod uwagę, nie znajduję zbieżności pomiędzy jego nauczaniem a przesłaniem „Milczenia”! Najnowszy film Scorsese to w gruncie rzeczy apologia zdrady, oportunistów i korupcji. To właśnie o tym mówił jakiś czas temu Franciszek, wskazując ku przestrodze i piętnując postać Judasza: „Zaczęło się od Judasza, który ze skąpego grzesznika przeszedł do korupcji. To niebezpieczna droga niezależności, bo zepsuci to wielcy zapominalscy, niepamiętni tej miłości, z jaką Pan przygotował im winnicę i stworzył ich samych. Oni zerwali więź z tą miłością, a stali się czcicielami samych siebie. Jakże wiele zła czynią w chrześcijańskich wspólnotach ludzie zepsuci! Oby Pan wyzwolił nas od upadku na drogę zepsucia”. Jakże celna, choć niezamierzona recenzja „Milczenia”!

Wracając z kina, nie przestawałem myśleć o historycznych analogiach pomiędzy filmowym Ferreirą a jego realnymi wcieleniami z okresu PRL. Po chwili przypominałem sobie o benedyktynie z Tyńca – o. Janie Wieruszu-Kowalskim! Nieprzerwanie od 1953 r. aż do 1985 r. współpracował on z bezpieką. W 1959 r. postanowił zrzucić maskę i porzucił stan kapłański, a kiedy powstał pion do walki z Kościołem (Departamentu IV MSW), został jego tajnym współpracownikiem. „Jest zdyscyplinowany oraz posiada duże umiejętności wykonawcze. W dotychczasowej współpracy z Departamentem IV okazał się w pełni wartościowy oraz odpowiadający naszym potrzebom. Za znaczny wkład pracy oraz jej wysoki poziom był wielokrotnie wyróżniany nagrodami pieniężnymi, jak i rzeczowymi” – pisał w kwietniu 1978 r. dyrektor Departamentu IV MSW gen. Konrad Straszewski. Jednocześnie ze względu na zasługi Wierusza-Kowalskiego dla resortu i „potrzebę zaangażowania do pracy specjalisty religioznawcy” Straszewski zwrócił się do kierownictwa MSW z formalną prośbą o zgodę na zatrudnienie agenta na niejawnym etacie starszego inspektora w Departamencie IV. Po uzyskaniu stosownego zezwolenia na ukadrowienie Wierusza-Kowalskiego w poczet wysługi lat zaliczono mu 25 lat, siedem miesięcy i dwa dni współpracy agenturalnej z bezpieką! W ten sposób Jan Wierusz-Kowalski został majorem SB, tak jak Ferreira szogunem...



Piotr Zychowicz

Polityka godnościowa zawsze kończyła się klęską. Na arenie międzynarodowej liczy się bowiem skuteczność, a nie puste gesty

Pozwolą państwo, że zacznę od wspomnienia osobistego. Kilka lat temu redakcja „Arcanów” opublikowała na swoich łamach dyskusję na temat historii Polski. Wziął w niej udział jeden z kreatorów polityki historycznej PiS, prof. Andrzej Nowak. Rozmowa w pewnym momencie – taka wówczas w tych kręgach panowała moda – zesłała na moją skromną osobę.

„Czy nie jest tak – mówił Henryk Głębocki – że pokolenie wychowane na wielkim sukcesie i miecie zwycięstwa [roku 1920] myślało w kategoriach wielkich celów, ambitnej polityki także w roku 1939, jak minister Beck. To dotyczy też młodszego pokolenia, wychowanego w patriotycznym optymizmie szkoły II RP. Oba te pokolenia – ojców i dzieci – przygotowały akcję „Burza” i Powstanie Warszawskie...

– Same klęski... – odparł na to z przekąsem prof. Nowak – z punktu widzenia pana Piotra Zychowicza”.

No, tak! W latach 1939 i 1944 dostaliśmy baty, ale tylko „z punktu widzenia pana Piotra Zychowicza”. Te osobliwe słowa wzięłem wówczas za zwykły lapsus, a może nawet żart profesora. Dopiero potem, obserwując wypowiedzi innych ideologów, polityków i sympatyków PiS, zrozumiałem, że nie było wówczas mowy o pomyłce. Część tego obozu politycznego stworzyła sobie jakąś mistyczną, alternatywną wersję dziejów ojczystych, w których największe klęski Polaków przeistoczyły się w wiktorie.

Przypomniałem sobie tę sprawę, kiedy oglądałem spektakl, który odbył się niedawno na Lotnisku Chopina. Mowa o triumfalnym powitaniu powracającej z unijnego szczytu premier Beaty Szydło. Białe-czerwone bukiety, oklaski, rozjaśnione entuzjazmem twarze, blask fleszy i... frazesy, frazesy, frazesy.

W pewnym momencie pani premier stanęła przed zgromadzonymi na lotnisku dziennikarzami i – tak jak wtedy, w debacie na łamach „Arcanów”, prof. Nowak – z całkowicie poważną twarzą



Fałszywa historia mistrzynią fałszywej polityki

Józef Beck podczas przemowy w Sejmie 5 maja 1939 r. Minister spraw zagranicznych II RP nie chciał się zgodzić na żądania Adolfa Hitlera FOT. NAC



kapitulacji powstania warszawskiego, to dziś „spece” od polityki historycznej przekonują nas, że zryw ten tak naprawdę wygraliśmy. A każdy, kto twierdzi inaczej, nie ma prawa do nazywania siebie patriotą.

To oczywiście sprawy innego kalibru. Z jednej strony katastrofalne błędy, które przyniosły zniszczenie państwa polskiego w 1939 r. i hekatombę roku 1944. Z drugiej – dyplomatyczna porażka w drugorzędnej w gruncie rzeczy sprawie. Zestawienie takie obnaża jednak pewną niepokojącą tendencję występującą w obozie rządzącym. Tendencję wyrażoną lapidarnie przez jednego z czołowych przedstawicieli genialnej konserwatywnej szkoły krakowskiej Józefa Szujskiego. „Fałszywa historia – pisał Szujski – jest mistrzynią fałszywej polityki”.

W odniesieniu do obecnej sytuacji myśl tę rozwinął prof. Stanisław Żerko. „Formacja, która w polityce historycznej gloryfikuje rozpętanie Powstania Warszawskiego i sens walki zbrojnej po roku 1945, musi mieć nieskuteczną politykę zagraniczną” – napisał poznański historyk.

Ostatnie wydarzenia pokazały, że prof. Żerko ma niestety rację. Tym razem skończyło się na prestiżowej porażce na unijnym podwórku. Postawa rządu napawa jednak niepokojem na przyszłość. Cóż będzie bowiem, gdy historia znowu wściekle przyspieszy? Tak jak to miało miejsce w 2014 r., gdy na Ukrainie pojawiły się rosyjskie „zielone ludzki”. Stawką nie będzie już wówczas zażenowanie z powodu nieporadnych poczynań naszych dyplomatów na unijnej arenie. Stawką będzie życie nasze i naszych dzieci.

REALIZM I GODNOŚĆ

Kłeska rządu na unijnym szczycie była skutkiem prowadzenia „polityki godnościowej”. Czyli polityki, która jest zaprzeczeniem Realpolitik. Polityka realna kieruje się bowiem chłodną kalkulacją i rzeczywistą oceną sił, a polityka godnościowa – emocją i chciejstwem.

Realisci uważają, że w polityce kluczowa jest skuteczność i realizowanie interesu narodowego, a „godnościowcy” – że honor i zachowanie do końca pięknej, nieugiętej postawy. Politycy prowadzący politykę realną stawiają sobie cele – jak sama nazwa wskazuje – realne, możliwe do osiągnięcia. Politycy prowadzący politykę godnościową stawiają sobie

cele fantastyczne. A jeśli nie uda im się ich osiągnąć, to winy szukają nie we własnych błędach, ale w zdradach i intrygach innych.

Jest jeszcze jedna, kluczowa, różnica między polityki realną a godnościową. O ile ta pierwsza przynosi zazwyczaj pozytywne skutki – ta druga zawsze kończy się katastrofalnie.

MARGRABIA

Trudno w dziejach naszej umęczonej ojczyzny znaleźć bardziej wymowny przykład walki tych dwóch żywiołów niż okres poprzedzający wybuch powstania styczniowego w 1863 r. Z jednej strony rozważna prawica – reprezentowana przez margrabię Aleksandra Wielopolskiego. Z drugiej szalona, prąca do walki lewica reprezentowana przez rewolucyjne stronnictwo czerwonych.

Wielki Wielopolski! Dla konserwatyści polskiego postać niemal święta. Margrabia reprezentował bowiem typ polityka, którego Polska olbrzymi deficyt odczuwała i odczuwa do dzisiaj. Był mężem stanu. Jak pisał słusznie Ksawery Pruszyński, Wielopolski był jednym z nielicznych Polaków, który zdobywszy władzę, wiedział, co z nią zrobić.

Jako naczelnik rządu Królestwa Polskiego dzięki umiejętnej, realnej polityce rozproszył mrok nocy paskiewiczowskiej. Swoją żelazną wolą nagiął do ustępstw potężne Imperium Rosyjskie i przeforsował wiele światłych reform. Dzięki niemu okres rządów rosyjskiego knuta w Królestwie Polskim dobiegł końca.

Zawarta przez Wielopolskiego uгода z caratem była prosta. Polacy – w obliczu beznadziejnej sytuacji międzynarodowej – na pewien czas wstrzymują się od oporu zbrojnego, a Rosjanie w zamian idą na daleko idące ustępstwa i liberalizują politykę zaborczą. Interes był obopólny.

Na egzaltowanych salonach warszawskich politykę tę traktowano jednak z pogardą. Nie ma sensu gadać z Moskalami – mówiono – skoro Francuzi i Brytyjczycy lada dzień wypowiedzą wojnę Rosji. Wojnę, której celem będzie oczywiście odbudowa wolnej, potężnej Rzeczypospolitej od morza do morza. A gdy w Królestwie wybuchnie powstanie, Zachód niechybnie przyjdzie nam z pomocą.

Wielopolski, słuchawszy podobnych bająn, pytał z sarkazmem: „Czy flota anglo-francuska już dotarła pod Częstochowę?”. Nietrudno sobie wyobrazić,

oświadczyła: „To nie porażka, to zwycięstwo!”. Myśl tę natychmiast podchwycił cały aparat agitacyjno-propagandowy obozu rządzącego. „Wygraliśmy!”, „Hurra!”, „Brawo nasi!”, „Ale im pokazaliśmy!”. Cała ta wrzawa nie jest jednak w stanie zagłuszyć oczywistych faktów.

Pani premier Beata Szydło pojechała na szczyt, aby zablokować wybór Donalda Tuska na drugą kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej. Sztuka ta jej się nie udała. Donald Tusk został na drugą kadencję wybrany.

A jednak zwycięstwo!

Tak jak w Warszawie przed 73 laty. Chociaż 3 października 1944 r. gen. Tadeusz Bór-Komorowski podpisał akt

■ jaką furię wywoływały podobne słowa wśród ówczesnych hurratriotów. Wielopolski uważany był za zaprzańca, który podważa wiarę w świętą Francję, szlachetną Wielką Brytanię i siłę ducha Polaków, która miała okazać się potężniejsza niż rosyjskie armaty.

Mimo wysiłków Wielopolskiego nie udało mu się powstrzymać katastrofy. Mało tego – decyzja margrabiego o przeprowadzeniu branki tylko ją przyspieszyła. Powstanie wybuchło. Bez racjonalnego planu, bez broni, bez szans na pomoc z zewnątrz. Bez szans na sukces.

Efekt dla sprawy polskiej był straszliwy. Kraj nasz został po raz kolejny spustoszony, patriotycznie nastawiona młodzież wycięta w pień bądź pognana na Sybir. Zachód – tak jak przewidział Wielopolski – pozostał obojętny. Większość reform Wielopolskiego cofnięto. Królestwo – nazywane odtąd Krajem Przywiślańskim – poddano brutalnej rusyfikacji, a na ziemiach wschodnich przeprowadzono olbrzymie konfiskaty ziemi należące do Polaków. Był to cios dla naszego stanu posiadania straszliwy i nieodwracalny.

Wielopolski musiał opuścić ojczyznę, zmarł na wygnaniu.

BEC

Sytuacja w II RP przypominała do złudzenia sytuację panującą w III RP. W przedwojennej Polsce na początku panował kult bohaterów powstańców styczniowych. Z czasem jednak kult powstańców przeistoczył się w kult powstania. Elity polityczno-wojskowe i młode pokolenie Polaków wychowywano w przekonaniu, że zryw z 1863 r. był kapitalnym pomysłem. To się musiało skończyć fatalnie!

Kluczową rolę w dramatycznej rozgrywce, która doprowadziła do upadku Polski, odegrał minister spraw zagranicznych Józef Beck. Wielki fantasta, w którego rękach znalazł się ster Rzeczypospolitej w przededniu II wojny światowej. Nazywany „ucniem Marszałka” w rzeczywistości sprzeniewierzył się testamentowi politycznemu swojego mentora.

Józef Piłsudski przestrzegał bowiem, że Zachód jest „parszywieńki” i na pomoc przegniłej, pacyfistycznej Francji nie ma co liczyć. Marszałek przekonywał również, że Polska powinna zrobić WSZYSTKO, aby uniknąć katastrofalnego scenariusza N + R. Scenariusza, który nie dawał najmniejszych szans na powodzenie. Był za to gwarancją klęski.

„My na dwa fronty wojny prowadzić nie możemy, więc ja was wojny na dwa fronty uczyć nie będę – mówił Józef Piłsudski do swoich oficerów. – Wojna na dwa fronty to znaczy ginąć tu na Placu Saskim z szablami w dłoni w obronie honoru narodowego”.

Co zaś zrobił Józef Beck? W imię tego „honoru narodowego” wprowadził Polskę do wojny na dwa fronty w oparciu o papierowe gwarancje brytyjsko-

Jeżeli Polska znajduje się w konflikcie z Rosją, to musi ułożyć się z Niemcami.

Nie możemy sobie pozwolić na konflikt z obydwojma sąsiadami

-francuskie. Biedny Piłsudski musiał przewracać się w grobie! Polski minister dał się ograć jak dziecko wytrawnym graczom z Paryża i Londynu, którzy odsunęli od siebie pierwsze miażdżące uderzenie Hitlera i skierowali je na Polskę.

Aż do wiosny 1939 r. Niemcy zamierzały bowiem rozpocząć wojnę od ataku na Francję. Dopiero lekkomyślne przyjęcie przez Polskę gwarancji brytyjskich z marca 1939 r. spowodowało zmianę tych planów. Czyli zawarcie przez Hitlera sojuszu ze Stalinem i wydanie decyzji o przygotowaniu planu napaści na Polskę.

Beck bez wątplenia do końca zachował „godną” i „niezłomną” postawę. Nie chciał zgodzić się na włączenie Wolnego Miasta Gdańska do Niemiec i budowę autostrady eksterytorialnej przez Pomorze, ponieważ miało to uwłaczać „honorowi narodowemu Polaków”. Gdy 5 maja 1939 r. wygłaszał w Sejmie swoją słynną „godnościową” mowę, zgromadzone przed radioodbiornikami tłumy szalały w patriotycznej ekstazie. Polska nie da się odepchnąć od morza, Polska nie odda Gdańska! Kwiaty, depesze gratulacyjne, gorące uściski rąk.

Cztery miesiące później Gdańsk i tak został włączony do Rzeszy. A przy okazji Polska płonęła i obracała się w gruzach. Polacy nie stracili honoru – to prawda – ale stracili swoje, wywalczone i odbudowane z takim móżdżem, państwo. A miliony z nich straciły życie.

Polska w 1939 r. przystąpiła do wojny, aby bronić niemieckiego Gdańska przed Niemcami. A w wyniku tej wojny straciła na pół wieku niepodległość i połowę terytorium. Straciła takie polskie miasta jak Wilno, Grodno, Lwów i Stanisławów. Oto „wspaniałe” efekty polityki godnościowej w wykonaniu ministra Becka.

Rozważając katastrofę z 1939 r., trudno nie myśleć z niepokojem o współczesności. Stalin, Hitler, Chamberlain, Beck – politycy ci już dawno nie żyją. Położenie geopolityczne Polski nie uległo jednak zmianie. Nadal musimy żyć między Niemcami a Rosją. A co za tym idzie – zmianie nie uległy żelazne zasady polskiej polityki.

Najważniejsza z nich brzmi: jeżeli Polska znajduje się w konflikcie z Rosją, to musi ułożyć się z Niemcami. A jeżeli Polska znajduje się w konflikcie z Niemcami, to musi ułożyć się z Rosją. Na konflikt z obydwojma potężnymi sąsiadami nie możemy sobie pozwolić pod ŻADNYM pozorem. Uczą nas tego historia i geopolityka.

To, że Polska znajduje się obecnie w stanie konfliktu z Rosją, jest oczywiste. I nic nie zapowiada, aby w najbliższym czasie uległo to zmianie. Dlatego właśnie z takim niepokojem obserwowałem rozgrywkę polskiego rządu w sprawie wyboru Donalda Tuska. Trudno zrozumieć, dlaczego towarzyszył jej taki ostry, antyniemiecki ton. Słuchając polityków partii rządzącej, miałem wrażenie, że przenieśli się w czasie do PRL Władysława Gomułki, gdy dawano odpór „przebrzydłym rewizjonistom i imperia- listom” z Bonn.

Czy Berlin jest głównym rozgrywkowym Unii? Oczywiście, że tak! I wszyscy o tym doskonale wiedzą. Polskie krzyki, dąsy i rozdzieranie szat nie zmieniają tego faktu, bo wynika on z potencjału gospodarczego Niemiec. Niepotrzebnie zaś zadrażniają relacje z naszym najważniejszym obecnie sojusznikiem i partnerem.

Kiedy polityków PiS pyta się o sens niszczenia relacji z Niemcami, na ogół wzruszają ramionami lub uśmiechają się z politowaniem. „Nie ma się czym przejmować – przekonują beztrudno. – Przecież mamy za sobą całą potęgę Stanów Zjednoczonych! Jak Ruscy i szkopy zaczęli nam podskakiwać, to natychmiast przylecą nam na ratunek Amerykanie. Możemy spać spokojnie!”.

Tak jak w roku 1939?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



POD WĄS

Jeziorko, czyli ocean

IGOALEWSKI

Jakiś czas temu gościłem w pewnej gminie w centralnej Polsce. To całkiem normalna gmina, tyle że może poszczycić się sztucznym zbiornikiem wodnym. Ma on zaskakująco duży wpływ na mieszkających tam ludzi. Przynajmniej niektórych.

Owo sztuczne jezioro to w istocie ledwie jeziorko. Na mapach Polski to mikroskopijny niebieski punkcik. Na tych o większej skali w ogóle go nie ma. Na Mazurach taki akwen byłby uznawany za oczko wodne. Zmierzam do tego, że nie jest to ocean. Parę kilometrów długości, kilkaset metrów szerokości. Utonąć można, ale zagubić się raczej nie.

Miejscowi, za co im chwała, wykorzystują ten dar bardzo dziarsko. Nad jeziorem przycupnęło kilka stanic wodnych, w których cumuje cała chmara jachtów i żaglówek. Uroczy, sympatyczny widok. Co ciekawe, w samym środku Polski kwitnie też życie, które można by określić marynarskim.

Oto bowiem są tam ludzie, którzy żyją jak żeglarze. Noszą marynarskie czapki, palą fajki, mają tatuaże na rękach. A także komponują i śpiewają z zapałem szanty. Opowiadają one zazwyczaj o sztormach i morskich przygodach, ale także o tym, jak wiele znoju i cierpienia niesie praca na morzu, i o tym, że życie na lądzie – bez kołyszających fal – jest jeszcze trudniejsze.

Cóż, podczas recitalu takiego wilka morskiego trudno się było nie uśmiech-

nąć. Tłem jego popisów o tajfunach i przylądku Horn było jeziorko, które przepłynąłby wpływ każdy posiadacz karty pływackiej. Co więcej, akwen ten był absolutnie izolowany. Nie można było opuścić go łodzią i płynąć kanałami ku Śniardwom i Bałtykowi, a potem jeszcze dalej w świat. Była to swego rodzaju morska piasznica, czy może lepiej – skoro już posługujemy się terminologią marynistyczną – brodzik.

A jednak członkom tutejszej subkultury żeglarskiej niespecjalnie to przeszkadzało. Czuli się bosmanami i kapitanami, snuli opowieści o szkwałach oraz piratach (no dobra, piratów sobie zmyśliłem). I w tym rozdziewku między tym, jak się sami postrzegają, a trochę nieadekwatną rzeczywistością stali się – przynajmniej dla mnie – dość zgrabną metaforą.

Bo czyż marzący o męczeństwie, prześladowaniach i torturach, a właściwie już męczeni oraz prześladowani bojownicy o wolność i demokrację nie są takimi żeglarzami pluskającymi się w stawie? Czy wielbiciele wyklętych, chodzący po świecie w oficerkach oraz furażerkach, być może z visami za pazuchą, nie cierpią na podobną przypadłość? Zwykłość dnia codziennego jest tak nużąca, tak monotonna, że warto ją uszlachetnić czymś wzniósłym.

Tyle że przy okazji można popaść w śmieszność. Co w Polsce, kraju histerycznej przesady, jest – umówmy się – dosyć częste. ©©



KRÓTKO PO WOLSKU

Zwrot do nadawcy

MARCINOS

Są lektury obowiązkowe i spektakle, które obejrzeć trzeba. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz czytałem „Listy z Rosji” markiza de Custine’a, czyniłem to z wypiekami na twarzy. Była jesień 1989 r. i dzieło to nareszcie mogło ukazać się u nas drukiem. Rzadko można spotkać się z dziełem równie przenikliwym, profetycznym, dogłębnym. Obraz Rosji z roku 1839 w niczym się nie zesta-

można by liczyć, że wyludnią się ulice, młodzież szkolna, studenci i starsi, którzy poznali smak rosyjskiego panowania, rzucają się przed ekrany...

W marcu 2017 r. widzów była garstka. Ledwie 400 tys. Wielomilionowa większość wybrała telenowelę.

W takich chwilach opadają ręce. Tyle mówi się o misji telewizji, tak wielkie jest podobno na nią zapotrzebowanie, a gdy pojawia się ona w krystalicznej formie, okazuje się, jak niewiele z nas jest do czegośkolwiek potrzebna.

„Listy z Rosji” to spektakl absolutnie ponad politycznymi podziałami, tak jak ponad podziałami winno być ze względu na nasze położenie geopolityczne zainteresowanie Rosją, skądinąd podszyte obawą wpływającą z dziejowego doświadczenia.

Co zabiło w nas ciekawość, snobizm, ambicję? Co powoduje, że słowo „teatr” (nawet najlepszy) wywołuje ziewanie? Co ma nas, współczesnych Polaków, uczyć kultury, smaku, historii i mądrości – reality show i buraczane kabarety? Rozpaskudzeni przez wolność wyboru, zepsuci powodzią kolorowego badziewia odporni jesteśmy nawet na zdrowy snobizm.

Być może wszystko zaczyna się w szkołach, które niewiele uczą i mało wymagają. Tylko jak to zmienić. Zastosować przymus...

Nie chcę zrzędzić. Być może wypada spojrzeć na sprawę inaczej, pochylić się z szacunkiem przed tymi 400 tys., pogratulować im serdecznie i przyznać honorowe odznaki Ostatnich Inteligentów. ©©

„Listy z Rosji”
to spektakl
absolutnie
ponad politycznymi
podziałami

rzal przez dwa wieki, „Listy z Rosji” pozostają dziełem, które pasuje do każdej epoki. Rosji carskiej, do bolszewii czy Putina. Nigdzie trafniej nie zostały uchwycone charakter narodowy, istota rosyjskiego zakłamania, stosunek do wolności, Zachodu, do ludów przez siebie zniewolonych...

Zaiste jest to lektura obowiązkowa dla każdego Polaka od wieków skazanego na „bliską zagranicę”. Kto czytać nie lubi, może sięgnąć po wersję teatralną. W zeszłym tygodniu TVP wystawiła to arcydzieło w brawurowej obsadzie – Piotr Adamczyk, Halina Łabonarska, Adam Ferency – i w wybitnej inscenizacji Wawrzyńca Kostrzewskiego, ze szczególnym uwzględnieniem licznych poloników. Gdyby widowisko to pojawiło się u schyłku PRL,



Marek Trojan

IPN od dawna miał na oku Ukraińca, nazistowskiego zbrodniarza odpowiedzialnego za mordy cywilów. Teraz chce wystąpić o jego ekstradycję z USA

O planach ekstradycji 98-letniego cieśli z Minneapolis wiadomo było od kilkunastu miesięcy. Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu od dawna miała na celowniku Michaela K., czyli Ukraińca urodzonego na Wołyniu jako Mychajło Karkoć. To był oficer nazistowskiej jednostki ochotniczej, odpowiedzialny za mordowanie cywilów w czasie II wojny światowej.

„WOWK”

Na trop Karkocia kilka lat temu wpadł dr Stephen Ankier, emerytowany brytyjski farmakolog i badacz Holokaustu. Zidentyfikował go, badając sprawę znanej ukraińskiej formacji ochotniczej – 14. Dywizji Waffen-SS „Galizien”. W jej skład wchodził również członek Ukraińskiego Legionu Samoobrony (ULS) – formacji kolaboranckiej, złożonej z ukraińskich ochotników. Powstała jako 31. Schutzmannschafts-Bataillon der SD w 1943 r., z niesławnym pacyfikatorem powstania warszawskiego – Petrem Diaczenką – jako pierwszym dowódcą (w 2015 r. ukraiński parlament oficjalnie uczcił 120. rocznicę jego urodzin). Jednym ze współzałożycieli jednostki był urodzony na Wołyniu 24-letni wówczas Mychajło Karkoć, dowódca 2. kompanii ULS, znany jako „Wowk” lub „Wolf” (czyli „wilk” odpowiednio w językach ukraińskim i niemieckim).

Cały oddział początkowo walczył z AK i partyzantką komunistyczną na Wołyniu, przy okazji pacyfikując polskie wsie. Gdy latem 1944 r. Legion zaczął działać na Lubelszczyźnie, w wyniku starcia z polskimi partyzantami we wsi Chłaniów zginął niemiecki dowódca Legionu, SS-Hauptsturmführer Siegfried Assmuss. Wówczas ukraiński zastępca dowódcy wydał rozkaz spacyfikowania wsi. Dokonała tego kompania dowodzona przez Mychajłę Karkocia. Czterdziestu czterech mieszkańców Chłaniowa, a także sąsiednich miejscowości –



FOT. RICHARD SENNOTT/ZUMA / FORUM

Przeszłość cieśli z Minneapolis

Chłaniów-Kolonia i Władysławin-Kolonia – zostało brutalnie zamordowanych. Wśród ofiar były kobiety i dzieci. Sprawcy ograbili dobytek swoich ofiar, po czym puścili ich domy z dymem i odjechali.

Później kompania Karkocia wraz z resztą ULS brała udział m.in. w pacyfikacji Czerniakowa podczas powstania warszawskiego. Przez południową Polskę Legion trafił na Słowację, a na początku 1945 r. został wcielony do dywizji Waffen-SS „Galizien”. Z dokumentów wiadomo, że ppor. Karkoć ostatni żoł odabrał w Krakowie, w styczniu 1945 r. Gdy po wojnie znalazł się w alianckiej niewoli, postanowił wyjechać do USA. Ponieważ wiedział, że Amerykanie nie wydają wiz żołnierzom jednostek SS, skłamał w swoim wniosku wizowym. Napisał, że przez całą wojnę nie służył w wojsku. Wizę otrzymał. W 1949 r. wyjechał do USA i zamieszkał w Minneapolis, w ukraińskiej dzielnicy. Dziesięć lat później uzyskał amerykańskie obywatelstwo. Przez lata pracował jako stolarz i udzielał się w organizacji Amerykanów pochodzenia ukraińskiego.

WSPÓ

W 1995 r. Karkoć wydał w USA – po ukraińsku – swoje wspomnienia z czasów wojny. Przyznał w nich, że był członkiem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (frakcji melnykowców) i żołnierzem SS, posługującym się pseudonimem Wowk. Zamieścił nawet wspólne zdjęcia z kolegami z oddziału. O masakrach, jakich dokonała jego jednostka, nie wspomniął.

Doktor Ankier, który zdołał zebrać materiał na temat Karkocia, a nawet ustalić jego adres w Minneapolis, nawiązał współpracę z dziennikarzami agencji Associated Press. Latem 2013 r. opublikowali oni głośny artykuł na temat Ukraińca. Dochodzenie w jego sprawie wszczęły niemieckie biuro ścigania zbrodni nazistowskich oraz polski IPN. Obie instytucje zaznaczały, że zamierzają wnioskować o ekstradycję podejrzanego. Wbrew oczekiwaniom amerykańska prokuratura nie wszczęła procedury odebrania Karkociowi obywatelstwa USA. Latem 2015 r. Niemcy odpuścili sprawę i umorzyli postępowanie. Powodem miała być nieoficjalnie gruba teczką medyczną Karkocia, zapewniająca mu wykluczenie z udziału w jakimkolwiek procesie – tym bardziej za granicą. Prawnik Karkocia odmówił

poddania go badaniom przez niemieckich ekspertów medycznych.

ROZPOZNANY DZIĘKI FOTOGRAFII

Polskim śledczym udało się zgromadzić obfity materiał dowodowy dotyczący Karkocia. Kłopot był z identyfikacją. Jak ustalić, że Mychajło Karkoć, po którym ślad zaginął w 1945 r. w Krakowie, to ta sama osoba co Michael K., który trafił do USA? Śledczy zdecydowali się na specjalistyczne analizy próbek pisma, bazując na zachowanych i dostępnych dokumentach. W końcu 2015 r. Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN zwróciła się do Departamentu Sprawiedliwości USA z wnioskiem o zabezpieczenie i przekazanie materiału porównawczego, umożliwiającego identyfikację Karkocia. Po analizie eksperci z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego stwierdzili jednak, że materiał jest niewystarczający. Tymczasem, żeby postawić domniemanemu zbrodniarzowi zarzuty, należało mieć absolutną pewność co do jego tożsamości. Obawiano się, że w ostateczności podejrzanym może wszystkiemu zaprzeczyć, twierdząc wręcz, że ukradł czyjąś tożsamość.

W tym czasie portal Kresy.pl nawiązał kontakt i współpracę z badającym sprawę Karkocia dr. Ankierem. Wspólnie wypracowano inne rozwiązanie, które pomogło w ostatecznej identyfikacji – specjalistyczną analizę fotografii.

Chodziło o porównanie zdjęcia Mychajły Karkocia z wniosku o nadanie obywatelstwa III Rzeszy z 1940 r. ze zdjęciami z okresu powojennego. Poza możliwością powiązania tej pierwszej z fotografiami Karkocia z lat 80. XX w. i późniejszych, ważne było jeszcze jedno – Andrij Karkoc, syn Michaela, prezentował kiedyś mediom zdjęcie swojego ojca pochodzące z czasów okolicznych. Mężczyzna ze zdjęcia był zaś łudząco podobny do tego z fotografii z 1940 r. (Andrij Karkoc twierdzi, że cała sprawa została wykreowana przez rząd Putina, który chce zdyskredytować jego ojca, będącego „wybitnym działaczem na rzecz niepodległej i niezależnej od Rosji Ukrainy”).

Dzięki wspólnym działaniom dr. Ankiera i portalu Kresy.pl udało się doprowadzić do włączenia tej metody do postępowania. Jesienią 2016 r. analizę antroposkopijną fotografii zgodzili się przeprowadzić biegli z Laboratorium Kryminalistycznego KWP w Lublinie. Jednak jako termin jej wykonania podali

połowę lutego 2017 r. Tymczasem, biorąc pod uwagę zaawansowany wiek Karkocia, termin powinien być jak najszybszy. Poseł Kukiz'15 Tomasz Rzymkowski skierował w tej sprawie interpelację do MSW i resortu sprawiedliwości. Dzięki niemu ekspertyza była gotowa w połowie stycznia tego roku. Jak poinformował portal Kresy.pl, biegli z dużym prawdopodobieństwem potwierdzili, że Michael Karkoc to Karkoć.

13 marca IPN poinformował, że tożsamość Karkocia została potwierdzona, a prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Lublinie skierował do sądu „Wniosek o zastosowanie tymczasowego aresztowania wobec Michaela K., podejrzanego „o popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości, stanowiącej jednocześnie zbrodnię wojenną”.

Prowadzący sprawę prok. Dariusz Antoniuk z lubelskiej Oddziałowej Komisji Ścigania na podstawie uzyskanych dokumentów uzyskał kluczowe dowody – zeznania świadków w procesach karnych. Dzięki nim udało się powiązać pseudonim z konkretną osobą. Było wiele materiałów obciążających „Wowka”/ „Wolfa”, ale szukano potwierdzenia, że był to pseudonim Mychajły/Michaela K. Fakt, że Karkoć potwierdzał to w swojej książce, nie wystarczył.

Sam dr Ankier wcześniej podkreślał, że m.in. relacje ludzi z oddziału Karkocia, takich jak Ołeksandr Pisockij, Wasyl Małazeński czy Iwan Szarko, potwierdzają, że dowodzona przez niego kompania mordowała cywilów.

Cieśla z Minneapolis to jednak nieostatni żyjący żołnierz ULS. Podwładnym Karkocia był również Mychajło Ostapenko, który do dziś żyje w Wielkiej Brytanii. Doktor Ankier i jego zdołał namierzyć, a sprawa trafiła na czołówki brytyjskich gazet.

Po latach jest szansa, że ofiarom Karkocia i jego podwładnych zostanie oddana sprawiedliwość. Już samo postawienie zarzutów i napiętnowanie jego osoby będzie czyniło symbolicznie zadość wszystkim ofiarom oficera Waffen-SS, Ukraińca kolaborującego z III Rzeszą. Jeśli sąd przychyli się do wniosku prokuratora, to Polska wystąpi do USA o ekstradycję ukraińskiego zbrodniarza. Doktor Ankier podkreśla, że byłby to ważny sygnał z Polski dla świata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem portalu Kresy.pl.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Sowieci w Elblągu

Elbląg ma szczęście, że ma Tomasza Glinieckiego. Jest to niezmordowany badacz historii tego miasta. Autor książek „Elbląg czasów wojny”, „Elbląskie okruciny XX wieku” i najnowszej „Walki o Elbląg. Styczeń-luty 1945”.

Każdy, kto ma dość opasłych syntez – a ja mam! – będzie tą książką zachwycony. Apokaliptyczne zmaganie gigantów, Niemców i bolszewików, obserwujemy bowiem z perspektywy jednego miasta. Lokalnej społeczności straszliwie doświadczonej przez koszmar wojny.

W trakcie zaciętych walk o miasto Armia Czerwona zamieniła Elbląg (wówczas niemiecki Elbing) w gruzy. Zburzona została m.in. piękna starówka. Nie straty materialne były jednak najgorsze. W trakcie bitwy życie straciło wiele tysięcy elblążan. Na ogół na skutek sowieckiego ostrzału artyleryjskiego, ale również po zdobyciu miasta przez czerwonych „wyzwoliceli”.

„Zwycięzcy są spragnieni zemsty, podnieceni niszczeniem, ogniem i gwałtami – pisze Gliniecki. – W Elbingu pozostaje kilkadziesiąt tysięcy cywilów, z których każdy usiłuje przetrwać ten czas. Komu się udaje, będzie odtąd żył ze swoimi indywidualnymi, mrocznymi wspomnieniami”.

Co się działo w ruinach Elbląga po wkroczeniu bolszewików? To samo, co w każdym mieście zajmowanym przez Armię Czerwoną – orgia mordów, grabieży i przemocy seksualnej. Sowieci rozstrzelali wszystkich schwytanych mężczyzn zdolnych do noszenia broni. W dramatycznej sytuacji znalazły się również kobiety.

„Gwałty powtarzają się dwa razy dziennie, za każdym razem po kilku żołnierzy – wspominała jedna z ofiar. – To jest mój najbardziej okropny dzień. Jestem bardzo okrutnie gwałcona, mam zniszczony srom i nie czuję seksualnej części ciała i obu ud, aż do kolan. Nie mogę chodzić i... więcej nie powiem. Te okrucieństwa prowadzone są wobec kobiet często w obecności ich dzieci. W tych strasznych dniach nie dostajemy nic do jedzenia. Tylko alkohol i papierosy”.

Tomasz Gliniecki pisze o tych potwornościach tak, jak należy – czyli

z empatią i współczuciem. Jego książka jest odtrutką na sowiecką propagandę. A także na nacjonalistyczną indoktrynację, która każe nam odczuwać satysfakcję z powodu cierpień bliźnich tylko dlatego, że mówili innym językiem niż my. ©©



★★★★★

TOMASZ GLINIECKI
„WALKI O ELBLĄG. STYCZEŃ-LUTY 1945”
URAN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Teatr hrabiego Skarbka

Jedną z najbardziej zasłużonych postaci w dziejach Lwowa był hr. Stanisław Skarbek, któremu nie brakowało jednak prywatnych słabości. Podczas swoich pobytów w mieście nad Pełtwią mieszkał w kamienicy Wilczków przy Rynku, co narażało go na pokusy hazardu uprawianego w pobliskiej kamienicy Królewskiej. W cią-

ze względu na prywatne powiązania Skarbka z Fredrą. Otóż hrabia był kiedyś mężem Zofii Jabłonowskiej, która po unieważnieniu ich małżeństwa wyszła właśnie za Fredrę. Co więcej, komediopisarz i jego ukochana przez długi czas mieszkali razem bez ślubu, albowiem starania o unieważnienie jej poprzedniego związku trwały aż 11 lat. A wszystko to działo się w czasach, w których rygory obyczajowe były znacznie surowsze niż obecnie. Prywatne animozje nie przeszkodziły jednak obu panom działać na rzecz polskiego teatru we Lwowie.

Budynek wybudowany przez Skarbka był wyjątkowo nowoczesny, a pojemność widowni (1460 miejsc) zapewniała mu pierwszeństwo w Europie. Występowali w nim najwybitniejsi polscy i zagraniczni aktorzy, z Heleną Modrzejewską oraz Sarah Bernhardt na czele. W sumie dano tutaj 22 tys. przedstawień, a atmosferę sceny i widowni w mistrzowski sposób nakreślił Kornel Makuszyński w „Bezgrzesznych latach”.

W tym gmachu w 1872 r. rozpoczął działalność jedyny w Galicji zespół opery i operetki. Budynek służył również jako sala koncertowa, w której występowali m.in. Liszt i Wieniawski. Kiedy zespół teatralny przeniósł się do nowo wybudowanego Teatru Wielkiego, gmach przejął Filharmonia Lwowska. Jednak zasługi hr. Skarbka dla Lwowa nie zostały zapomniane. Ulica, przy której stoi budynek teatru, do 1945 r. nosiła nazwę Skarbkowskiej. ©©

Pierwsze przedstawienie odbyło się 28 marca 1842 r.

gu jednej, szczególnie gorącej nocy Skarbek przegrał na rzecz hr. Józefa Kalinowskiego kilka majątków ziemskich, ale jako człowiek honoru spłacił dług. Przy okazji przyrzekł sobie nie brać więcej kart do ręki, czego oczywiście nie zrobił. Straty finansowe nie przeszkodziły mu na szczęście zostać fundatorem pierwszego lwowskiego teatru z prawdziwego zdarzenia.

Pod koniec lat 30. XIX w. hrabia stanął na czele fundacji mającej na celu organizację profesjonalnego zespołu teatralnego. Pod jego kierownictwem wybudowano zachowany do dziś gmach przy ul. Łesi Ukrainki (obecnie mieści się w nim państwowy teatr imienia Marii Żankowickiej), a pierwsze przedstawienie odbyło się 28 marca 1842 r.

Na inaugurację wybrano komedię Aleksandra Fredry „Śluby panieńskie”, co stało się powodem niewybrednych żartów wśród publiczności

KRZYŻYK USUNIĘTY Z WIZJI

Norweskiej dziennikarce telewizji publicznej zakazano występowania z biżuterią, która zawiera symbole „polityczne lub religijne”. Siv Kristin Saellmann wystąpiła przed kamerą stacji NRK z widocznym na szyi niewielkim – 1,4 cm – złotym krzyżykiem wysadzonym czarnymi diamentami. Po skargach od widzów, którzy stwierdzili, że to obraza islamu i wyłamywanie się stacji z bezstronności, regionalny redaktor Anders Sarheim powiedział reporterce, że ma nie zakładać więcej krzyżyka. Część norweskich komentatorów uznała, że to nadmierna reakcja w kraju, w którym większość stanowi chrześcijanie. Jeden z nich nazwał zakaz „strzelaniem z armaty do wróbla”. A prawicowy polityk Vidar Kleppe dociekał publicznie, jak mały krzyżyk może być „tak ogromny i prowokacyjny”, gdy norwescy żołnierze mogą nosić turbany i hidżaby.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BAJKA Z PODTEKSTEM

Disney jako producent bajek i filmów dla młodzieży wyraźnie postanowił iść z duchem czasu. Najpierw w serialu dla dzieci „Star Butterfly kontra siły zła” po raz pierwszy zaprezentowano młodemu widzom homoseksualny pocałunek, a już w kinach grana jest historia, w której celowo zamieszczono takie wątki. Reżyser „Pięknej i Bestii” Bill Condon tuż przed premierą zapowiadał, że w filmie pojawi się homoseksualny bohater (LeFou). Jego zdaniem w ten sposób studio wysyła sygnał, że to „normalne i naturalne”. „To krok w stronę właściwej reżyserii i przyklaskuję Disneyowi, że jest wystarczająco odważny, by go zrobić” – ocenił „Attitude Magazine”, który zamieścił rozmowę z reżyserem. Disney powinien więc pomyśleć także o ostrzegawczych oznaczeniach dla rodziców.

MECZ JAK KONSPIRACJA

Jak doniosły rosyjskie media – dyrektor szkoły w miejscowości Krasnokamenka (Krym) uznała za

podejrzany mecz piłki nożnej między amatorskimi drużynami złożonymi z młodych ludzi. Jej zdaniem kopanie piłki było nielegalnym zgromadzeniem. Pani dyrektor zakazała młodzieży gry na szkolnym boisku i zawiadomiła policję. Uczniowie opublikowali wideo z tych wydarzeń w Internecie. Żałą się, że we wsi nie ma innych miejsc, w których mogliby uprawiać sport. Przedstawiciel miejscowej administracji zapowiedział zbadanie sprawy, a zachowanie dyrektor nazwał „niedopuszczalnym”.

NABICI W BUTELKĘ

Wydawać by się mogło, że trudno przebić takie biznesowe pomysły jak sprzedaż wody ludziom, którzy mają ją w kranie. Okazuje się jednak, że klientów można znaleźć nawet, gdy oferuje się im sprzedaż... powietrza. Na taki sprytny pomysł wpadł Brytyczyk mieszkający w Szwajcarii. John Green uruchomił w Internecie sklep, w którym oferuje „oryginalne powietrze ze szwajcarskich Alp”. Półlitrowa butelka napełniona powietrzem (sprzedawca daje „certyfikat autentyczności”, podając m.in. współrzędne GPS miejsca, w którym zaczerpnięto alpejskie powietrze)

kosztuje 97 dol. Litrowa – 167 dol. A na trzy litry powietrza ze Szwajcarii wydać trzeba 247 dol. Brytyczyk nie chciał ujawnić mediom, ile butelek udało mu się do tej pory sprzedać. Zaznacza jedynie, że część przychodów z tego biznesu zamierza przeznaczyć na akcje charytatywne. Czy nie żąda zbyt wiele za powietrze? – No cóż, w Szwajcarii wszystko jest drogie – odpowiada sprzedawca powietrza.

ALKOHOŁOWY REKORD KIBICÓW

Organizatorzy Pucharu Świata w narciarstwie klasycznym poinformowali, że tegoroczna impreza okazała się rekordową... pod względem ilości alkoholu spożytego przez kibiców. Zawody w Oslo oglądało ok. 80 tys. osób, które tradycyjnie przy ogniskach w lesie raczyły się alkoholem. Zarządca miejskiej komunikacji poinformował, że nigdy jeszcze po zawodach nie zebrano aż tylu tysięcy butelek po wódce. ©©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



FOT. ANADOLU AGENCY GETTY IMAGES



Witold Repetowicz

Decyzja władz Holandii, które na swoim terytorium zakazały tureckim ministrom prowadzenia agitacji przed kwietniowym referendum w Turcji, była słuszna. W tej sprawie brakuje jednak solidarności europejskiej

Na sobotę 11 marca władze Turcji zaplanowały w holenderskim Rotterdamie wiec poparcia dla zmian w tureckiej konstytucji przed referendum, które odbędzie się 16 kwietnia. Turcy zignorowali przy tym sprzeciw władz holenderskich wobec uczestnictwa w tym zgromadzeniu członków tureckiego rządu. W rezultacie Holandia nie zgodziła się na lądowanie samolotu szefa tureckiej dyplomacji Mevlüta Çavuşoğlu oraz deportowała do Niemiec tureką minister ds. rodziny Fatmę Betül Sayan. Turcja zareagowała wyzwiskami i groźbami. Prezydent Recep Tayyip Erdoğan nazwał władze Holandii „pozostałościami nazizmu” i zapowiedział, że kraj ten „zapłaci wysoką cenę”. Wtórował mu Çavuşoğlu, który po wylądowaniu we francuskim

Metzu oskarżył Holandię o rasizm, faszyzm i islamofobię. Jednocześnie turecka policja zamknęła ambasadę Holandii w Ankarze, a w Stambule „nieznani sprawcy” ścignęli flagę Holandii z konsulatu tego kraju, zastępując ją turecką. Turcja wezwała ambasadora Holandii, przebywającego na urlopie, do niewracania do Ankary i zapowiedziała, że zastosuje wiele sankcji gospodarczych i politycznych wobec Holandii.

To jednak tylko część kampanii inwektyw i pogróżek, które błyskawicznie oświadczyły prorządowe media w Turcji. Najdalej poszedł lider tureckich nacjonalistów Devlet Bahçeli, który wezwał rodaków przebywających w Holandii do zamieszek. Te w istocie się odbyły, a w Rotterdamie ogłoszono stan wyjątkowy. Pojawiły się też sygnały, że

do Holandii ściągają Turcy z sąsiednich Niemiec oraz Francji.

KAMPANIA TERRORU

Aby zrozumieć powagę sytuacji oraz motywy władz Holandii, konieczne jest poznanie wielowątkowego kontekstu całej sytuacji. Turcja nie jest krajem demokratycznym. Można oczywiście wzruszyć ramionami, uznając, że to problem Turcji, a nie Europy, jednak stwierdzenie to staje się bezprzedmiotowe, jeśli dotyczy działań Turcji na cudzym terytorium. Zakaz propagowania ideologii niedemokratycznych oraz zbrodniczych przez obcych dyktatorów czy ekstremistów religijnych (w szczególności islamskich) powinien być w Europie normą. Prawo prowadzenia kampanii wyborczej na terenie unijnego kraju przez inne państwo powinno mieć charakter wyjątku, a nie reguły. Takie wyjątki powinny dotyczyć np. innych krajów UE. Trudno jednak sobie wyobrazić, aby próby organizowania wieców wyborczych z udziałem Władimira Putina na terenie Estonii, Litwy, Łotwy czy Polski nie spotykały się ze sprzeciwem władz tych państw.

W stosunku do Turcji jest to tym bardziej oczywiste, że ona sama zakazuje

agitacji politycznej obcych państw na swoim terytorium. Słowa o antydemokratycznych działaniach Holandii w ustach ministra Sayana brzmiały zatem jak kiepski żart. Od 15 lipca ub.r. Turcja uwięziła prawie 100 tys. osób, w tym 162 dziennikarzy, a także kilkunastu członków własnego parlamentu oraz kilkudziesięciu merów kurdyjskich miast w Turcji. W krwawej pacyfikacji kurdyjskich prowincji wojsko tureckie zabiło co najmniej 1,5 tys. osób, w tym minimum 350 cywili. Turcja nie dopuściła do tych miejsc żadnych europejskich polityków ani dziennikarzy, a w końcu lutego br. aresztowała pod zarzutem szpiegostwa Deniza Yücela, korespondenta „Die Welt”, z podwójnym – niemieckim i tureckim – obywatelstwem. Erdoğan na wiecu wykipił z żądania Angeli Merkel dotyczącego zwolnienia Yücela.

Prowadzona w Turcji kampania terroru ma związek z od dawna pożądanymi przez Erdoğana zmianami w tureckiej konstytucji. Obecnie bowiem jako prezydent ma, przynajmniej formalnie, czysto reprezentacyjne kompetencje. Jeśli zmiany zostaną zaakceptowane w referendum, to zyska nie tylko pełnię władzy wykonawczej, lecz także kompetencje ustawodawcze, kontrolę nad sądami, a także zagwarantuje sobie możliwość sprawowania urzędu do 2034 r. Problemem Erdoğana jest jednak to, że sondaże wskazują przewagę przeciwników zmian, mimo że sam turecki przywódca grozi represjami, jeśli referendum nie przebiegnie po jego myśli.

Ślepą uliczką jest patrzenie na te sułtańskie zapędy przez pryzmat nieuczciwej krytyki UE dotyczącej rzekomych naruszeń demokracji i praworządności w Polsce. Byłoby to przyjmowanie narracji europejskiego mainstreamu, porównującego Polskę do Turcji, i akceptacja tej zniechęcającej nas roli. Turcja to prawdziwa dyktatura, a Europa to nie miejsce na agitację na rzecz intronizacji sułtańskiej.

KREW NA ULICACH

Holandia to niejeden kraj Unii Europejskiej, który wszedł z Turcją w konflikt na tle organizacji jej kampanii referendalnej na swoim terytorium. Wcześniej zakaz organizacji wieców przedreferendalnych wydały Niemcy, gdzie mieszka 1,4 mln uprawnionych do głosowania w Turcji. W tym przypadku Erdoğan również mówił o „nazistowskich praktykach”, co z jednej strony spotkało się z ostrym protestem Niemiec, z drugiej jednak doprowadziło do ustępstw ze strony naszego zachodniego

sąsiada. Çavuşoğlu przyjechał do Hamburga i wystąpił przed tłumami swych rodaków, zgromadzonymi pod konsulem Turcji. Według mediów tureckich Niemcy zakazały również używania symboliki Kurdów tureckich i syryjskich, w tym flag oddziałów syryjskich Kurdów walczących w Syrii z Państwem Islamskim, choć ich znaczki przyszywali sobie wspierający ich amerykańscy żołnierze. Na wiecach tureckich w Niemczech używana jest natomiast symbolika dżihadystów i tureckich nacjonalistów spod znaku Szarych Wilków – organizacji, z której wywodził się Ali Ağca, niedoszły zabójca św. Jana Pawła II.

Informacja ta budzi duże wątpliwości, ma natomiast ogromne znaczenie dla tego kryzysu z innego powodu. Nie wszyscy obywatele tureccy w Europie, w tym tacy, którzy mają podwójne obywatelstwo, to etniczni Turcy i zwolennicy Erdoğana. Znaczny odsetek to Kurdowie, poddawani w Turcji zbrodnicy represjom, a także inni przeciwnicy prezydenta. W przeszłości wielokrotnie już ulice Niemiec, Belgii i właśnie Holandii stawały się areną krwawych starć między Kurdami a tureckimi nacjonalistami. Zważywszy na atmosferę w Turcji, gdzie krew leje się strumieniami, prawdopodobieństwo, że konflikt ten przeniesie się na ulice europejskich miast, jest bardzo duże. Tymczasem Turcy zaplanowali swoje wiece w Rotterdamie w czasie napiętej atmosfery podczas końcówki kampanii wyborczej do parlamentu holenderskiego. Starcia kurdyjsko-tureckie kilka dni przed wyborami niewątpliwie mocno wpłynęłyby na wynik wyborów. Stanowcza postawa premiera Rutte, choć była politycznie ryzykowna, to jednak wzmocniła jego centroprawicową partię VVD kosztem antyimigranckiej partii PVV Geerta Wildersa i zagwarantowała VVD zwycięstwo w wyborach. Rutte nie musiał obawiać się krytyki z lewej strony sceny politycznej, która jest przeciwna Erdoğanowi. Dlatego właśnie decyzje Ruttego zyskały poparcie nawet muzułmańskiego (ale pochodzenia marokańskiego) burmistrza Rotterdamu, który wprowadził w mieście stan wyjątkowy.

Sytuacja w Holandii została opanowana dzięki zdecydowanej postawie władz, choć w kolejnych dniach kampania antyholenderska w Turcji jeszcze bardziej przybrała na sile. W holenderskich wyborach brała też udział partia DENK, powszechnie uważana za „V kolumnę Erdoğan” w Holandii. Również ona skorzystała na kryzysie, uzyskując trzy mandaty. Może być

to zapowiedź szerszego planu politycznej aktywizacji Turków w Europie. Wcześniej tureccy islamiści i nacjonaliści opanowali szwedzką Partię Zielonych, która współtworzy obecny rząd tego kraju. Przez półtora roku ministrem w tym rządzie był Mehmet Kaplan, mający powiązania z Szarymi Wilkami i ekstremistami islamicznymi. W Niemczech natomiast siatkę agentów tureckiego wywiadu, przeważnie imamów tamtejszych tureckich meczetów, ocenia się na minimum 800 osób. W tym roku wybory odbędą się przeciwko również we Francji i w Niemczech. Europa nie może dopuścić do destabilizacji kontynentu w tak ważnym czasie, przy czym na uwagę zasługuje również to, że w przededniu tureckiej prowokacji przeciw Holandii Erdoğan spotkał się na Kremlu z Putinem.

SŁABA UNIA MILCZY

Unia Europejska stała się wprawdzie po stronie Holandii w tym sporze, ale reakcja była bardzo niemrawa, a Donald Tusk i Jean-Claude Juncker przerwali milczenie dopiero po czterech dniach. Świadczy to źle o solidarności europejskiej, zwłaszcza że władze Francji nie zareagowały na skandaliczne obelgi rzucane na ich terytorium przez Çavuşoğlu pod adresem Holandii.

To tylko ośmieliło Turcję do kolejnych ataków i to na całą Europę. O ile groźby pod adresem Holandii to przerosły formy nad treścią, o tyle zapowiedź zerwania umowy ws. migrantów wywołała niepokój, a nawet strach. To nie deal z Turcją zatrzymał napływ migrantów, lecz zamknięcie szlaków bałkańskich. Ponadto Turcja uzyskuje od UE wysoki haracz i pieniądze te bynajmniej nie trafiają w ręce uchodźców. Kryzys migracyjny nie był naturalnym zjawiskiem, lecz stymulowanym przez tureckie służby specjalne atakiem bronią demograficzną na Europę. Takie wrogie akty powinny spotykać się z adekwatną odpowiedzią. Jeśli bowiem teraz Europa nie da Turcji do zrozumienia, że nie może ona włączyć na europejskie salony w butach ubabranych anatolijskim błotem, to czekają nas coraz ostrzejsze kryzysy. Jeśli Turcja będzie wiedziała, że musi liczyć się z konsekwencjami, to ustąpi, bo jest państwem słabym, z sypiącą się gospodarką. Raptem parę tygodni temu turecki minister finansów Mehmet Şimşek przyjechał do Niemiec, by prosić o pomoc gospodarczą. Turcy wygrażają Europie pięścią, bo chcą wyłudzić więcej pieniędzy, a Europa nie ma odwagi powiedzieć: „Dość! Sprawdzam!”.



FOT. GARY/REUTERS

Efekt Snowdena



Jacek Przybylski

Informatyk idealista, który zasługuje na pokojowego Nobla. A może rosyjski szpieg, który pomógł Putinowi uderzyć w USA. Jaki los czeka autora jednego z największych wycieków danych w historii świata, który skompromitował amerykański wywiad?

Był rok 2013, gdy niepozornie wyglądający informatyk zatrzęsł światem wywiadu i dyplomacji. 29-letni wówczas Edward Snowden, były pracownik CIA i analityk realizujący zlecenia dla tajnej agencji wywiadowczej (NSA),

ujawnił mediom kilkaset tysięcy poufnych, tajnych i ściśle tajnych dokumentów.

Ujawnione sekrety pokazały całemu światu, jak władze w Waszyngtonie masowo podsłuchują i śledzą własnych obywateli, najbliższych sojuszników, a także miliony cudzoziemców. Dotyczyły one m.in. programu PRISM, który pozwala służbom specjalnym masowo podsłuchiwać rozmowy prowadzone za pośrednictwem Internetu, a także przeglądać pocztę elektroniczną, czaty czy wiadomości zamieszczane w najpopularniejszych serwisach społecznościowych. Snowden ujawnił także, że amerykańskie służby mają możliwość szpiegowania każdego, kto korzysta z usług takich firm jak Apple, Facebook, Google, Microsoft czy LinkedIn.

CZYJ TO AGENT?

Dla niektórych Edward Snowden jest idealistą. Człowiekiem symbolem, który za walkę z Wielkim Bratem, stosującym

permanentną inwigilację i łamiącym podstawowe wolności demokratyczne, zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla. W zeszłym roku słynny agent informatyk był nawet uważany za jednego z głównych kandydatów do tego wyróżnienia. Ostatecznie nagrody nie otrzymał.

Snowden został jednak uhonorowany Right Livelihood Award, innym prestiżowym szwedzkim wyróżnieniem, nazywanym „alternatywnym Noblem”.

Dla wielu Snowden to jednak zwykły zdrajca, który za sprowadzenie na własny kraj tak wielu kłopotów powinien zostać skazany na karę śmierci (formalnie grozi mu do 30 lat więzienia). Do tego grona należy prawdopodobnie nadal m.in. obecny prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump, który w 2014 r. publicznie nazwał Snowdena „szpiegiem, który wyrządził wielką szkodę USA” i zasugerował, że powinien on zostać zlikwidowany.

JUŻ DZIŚ Z TYGODNIKIEM

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY



PREMIERA
DVD



Fabularna wersja życia Snowdena pokazana oczami Olivera Stone'a staje się chwilami ekscytującym thrillerem politycznym [...].

Film opowiedziany jest z werwą i energią, a kolejne sceny niesie wyśmienity w swojej roli Joseph Gordon-Levitt, który jest tak dobry, że gdy rozmawiał telefonicznie z rodziną prawdziwego Snowdena, ci myśleli, że rozmawiają ze swoim synem!

www.film.com.pl

SZUKAJ W DOBRYCH KIOSKACH I SALONACH PRASOWYCH

Są i tacy, którzy sądzą, że Snowden okazał się po prostu naiwniakiem, który dał się nabrać na hasło ochrony ludzkości przed orwellowską wizją i wpłatał się w brutalną rywalizację wywiadów, stając się pionkiem w globalnej wojnie informacyjnej. Najgorsze zdanie o słynnym informatyku mają sami Amerykanie. Według opublikowanego we wrześniu 2016 r. sondażu Rasmussena tylko według 15 proc. ankietowanych Snowden jest bohaterem, dla 30 proc. to zdrajca, który naraził na szwank życie ludzi, a zdaniem 48 proc. pytanym jest kimś pomiędzy zdrajcą a tzw. sygnalistą, czyli osobą, która przekazuje do wiadomości publicznej informacje o istotnych dla społeczeństwa nieprawidłowościach.

Dużo większą popularnością Snowden cieszy się w innych krajach. Dwa lata temu w Niemczech i we Włoszech 84 proc. ankietowanych dorosłych miało o nim pozytywne zdanie. We Francji, w Holandii lub Hiszpanii zwolennikami informatyka było ok. 80 proc. pytanym.

Również w Polsce Edward Snowden ma więcej zwolenników niż przeciwników. Z badania przeprowadzonego przez firmę Smartscope na zlecenie F-Secure wynika, że ponad 60 proc. Polaków uważa, iż Snowden postąpił właściwie, ujawniając tajemnicę państwową o tym, że rząd ma dostęp do korespondencji i informacji przesyłanych przez obywateli w Internecie. Przy czym bardziej zdecydowanie popierają go mężczyźni niż kobiety. Negatywnie działalność słynnego informatyka ocenia 28 proc. Polaków. Również 28 proc. mieszkańców naszego kraju nie wie, kto to jest Edward Snowden. 16 proc. słyszało kiedyś to nazwisko, ale nie wie, kto to jest, a 54 proc. wie, o kim mowa.

Na pytanie, kim tak naprawdę jest Edward Snowden, próbują odpowiedzieć pracownicy wywiadów na całym świecie. W 2016 r. szef niemieckiego kontrwywiadu Hans-Georg Maassen stwierdził, że choć nie można tego przesądzić, to informatyk może być po prostu rosyjskim agentem. – Gdyby się okazało, że w przypadku Snowdena chodziło o operację wywiadowczą i propagandową rosyjskiego wywiadu SWR, to byłby to dowód na jego wielką skuteczność – oznajmił szef Urzędu Ochrony Konstytucji (AfV), przemawiając na forum komisji śledczej Bundestagu, powołanej do zbadania działalności amerykańskiej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa (NSA) w Niemczech.

– Wyciek tajnych dokumentów wywiadu to próba wbicia klina między Europę Zachodnią a Stany Zjednoczone, największa od II wojny światowej – oznajmił zaś Maassen w wywiadzie dla magazynu „Focus”, wyjaśniając, że chodziło m.in. o osłabienie więzi między Ameryką a Niemcami oraz Wielką Brytanią. – Znaczące jest to, że nie było żadnych publikacji dotyczących krajów takich jak Chiny czy Rosja, które są głównymi celami pracy wywiadowczej NSA – podkreślał szef niemieckiego kontrwywiadu.

Rozbicie jedności NATO-wskich sojuszników jest oczywiście korzystne dla Kremla. Prawdopodobieństwo hipotezy stawianej przez Maassena zwiększa fakt, że w 2013 r. Snowden – poszukiwany przez amerykańskich agentów pod zarzutem szpiegostwa i ujawnienia tajemnic państwowych – otrzymał azyl w Rosji, a po roku władze w Moskwie przyznały mu prawo trzyletniego pobytu (do 1 sierpnia 2017 r.).

DAR DA TRUMPA

W lutym telewizja NBC podała, powołując się na źródła w amerykańskim wywiadzie, że Rosja rozważała przekazanie Snowdena do Stanów Zjednoczonych w charakterze „prezentu”, który miałby zaskarbić Kremlowi przychylność nowego prezydenta USA.

Edwarda Snowdena, jednego z najbardziej poszukiwanych ludzi na świecie, Rosja może użyć jako karty przetargowej

„Wreszcie: niezbity dowód na to, że nigdy nie współpracowałem z rosyjskimi służbami. Żaden kraj nie sprzedaje swoich szpiegów, bo reszta bałaby się, że będzie następna” – tak na tę informację zareagował wówczas sam zainteresowany.

Być może zbyt szybko się pochwalił jednak takim wnioskiem, bo doniesienia NBC do tej pory się nie potwierdziły, co – zgodnie z logiką Snowdena – może sugerować, że być może jest on jednak zbyt cenny dla rosyjskiego wywiadu. Nie wykluczone, że cena za wydanie „zdrajcy” była zbyt wysoka i że takim „prezenterem” nie był zainteresowany sam gospodarz Białego Domu. Wielu ekspertów ds. bezpieczeństwa ostrzegało bowiem amerykańskiego

prezydenta, aby bardzo ostrożnie podchodził do tego typu ofert. „Dla Rosjan to byłaby podwójna wygrana. Już wyciągnęli z Edwarda Snowdena to, czego potrzebowali, i z pewnością wykorzystali go do uderzenia na Stany Zjednoczone w kwestii inwigilacji i aktywności cybernetycznej” – przekonywał Juan Zarate, były zastępca doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego.

Swojego losu pewni nie mogą być również członkowie trzech rodzin, które tygodniami udzielały Snowdenowi schronienia w Hongkongu, zanim ten udał się do Rosji. Ich problemy zaczęły się po premierze filmu „Snowden” Olivera Stone’a.

STRACH PRZED TELEWIZOREM

Rewelacje Snowdena wpłynęły też na zachowania milionów internautów na całym świecie. Znacząco zwiększyła się bowiem liczba osób, które zaczęły poważnie obawiać się inwigilacji. Aby nie być podglądanym, coraz więcej użytkowników nowoczesnych urządzeń elektronicznych zaczęło więc np. zasłaniać kamerki w komputerach, tabletach i smartfonach – uwierzyli bowiem wreszcie w ostrzeżenia specjalistów mówiących, że hakerzy mogą niepostrzeżenie uruchomić kamerę na niemal dowolnie wybranym komputerze. O zasłanianie kamerki we wrześniu zeszłego roku publicznie zaapelował nawet dyrektor FBI James Comey, przekonując, że zakrywanie kamery w laptopie powinno się stać takim samym rutynowym działaniem jak zamykanie na noc drzwi. Ostrożnie należy podchodzić również do kamerki IP, które pozwalają np. na zdalne monitorowanie, co w domu robi opiekunka do dzieci. Obraz z nich łatwo mogą bowiem przechwycić służby lub przestępcy, którzy szantażują potem internautki, strasząc publikacją ich nagich zdjęć (ofiara tego typu podglądacza padła m.in. Miss USA Nastoliatek).

Dzięki przeciekom o sposobach szpiegowania przez służby na jaw wyszły też informacje, że tzw. inteligentne telewizory nie tylko mogą śledzić, co się ogląda, lecz także – jeśli są wyposażone w mikrofon i kamerę – szpiegować domowników, nagrywając dźwięk i obraz, nawet gdy są wyłączone. Hakerzy włączając się do podłączonego do Internetu ekspresu do kawy, mogą się domyślić np., o której godzinie rano wstajemy. Nasze sekrety zdradzić może też inteligentna lodówka – przestępcy mogą też ją wykorzystać np. do rozsyłania spamu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



SZEWACH WEISS

Słynna żydowska poetka Zelda napisała wiersz, który został przetłumaczony niemal na wszystkie języki świata, a w dniach pamięci, zwłaszcza związanej z zagładą Żydów podczas II wojny światowej, stał się ważnym hymnem. Zelda pisze w nim, że każdy człowiek ma imię i nazwisko, które dali mu Bóg, rodzina, krajobraz, pamięć i natura. Dotyczy to podstawowego prawa każdego człowieka – prawa do posiadania imienia i nazwiska oraz jego kontynuacji. W instytucie Yad Vashem w Jerozolimie, który jest świątynią pamięci zamordowanych Żydów, znajduje się tzw. Sala Imion. Dotychczas zgromadzono w niej prawie 4 mln imion i nazwisk, ale praca naukowców, którzy starają się uczcić pamięć każdego zamordowanego, będzie

go człowieka, mającymi moc fizyczną i metafizyczną. Religia żydowska, wywodząca się z niej religia chrześcijańska i wyrosły z tych źródeł system humanitarny, demokratyczny, opierają się na założeniu, że każdy człowiek jest małym światem i kto ocala jednego człowieka, ten ocala cały świat. Tak jest zapisane w źródłach żydowskiej religii i to jest być może esencja, konstytucja praw człowieka i demokracji.

Żydowski naród przez 2 tys. lat życia w diasporze, wędrujący po całym świecie i adaptujący kultury i języki, będący typowym narodem migrantów oraz uchodźców, jest ciekawym przykładem pokazującym, jak ważne są dla ludzi imię i nazwisko. Według tradycji Żydzi przejmowali nazwisko po ojcu. W takiej sytuacji, jeśli moim ojcem był Meir, mnie nazwano Szewach Ben Meir („Ben” znaczy „syn”). W XVIII i XIX w. nowe nazwiska nadawano wielu Żydom, zwłaszcza mieszkającym na terenie imperium habsburskiego. Przeglądając się imionom i nazwiskom, możemy też zaobserwować ciekawe adaptacje innych kultur i języków. To dotyczy wszystkich uchodźców świata, ale istnieje specyfika żydowska. Na przykład jeden ze stalinowskich ministrów w ZSRS, Żyd, nazywał się Łazar Kaganowicz. Imię Łazar pochodzi od żydowskiego nazwiska Lejzer, a to z kolei – z hebrajskiego Eliezer. Kaganowicz pochodzi od Kohen (czyli kapłan), które czasem występuje jako Kahan. Zrusyfikowane brzmi Kagan, ale żeby było jeszcze bardziej rosyjskie, dodali końcówkę i powstało Kaganowicz. W innych językach można zrobić inne kombinacje.

Twórca izraelskiego państwa, David Ben Gurion, na początku XX w. przyjechał z Płonia do Palestyny jako Dawid Green (Zielony), ale postanowił zmienić nazwisko na związane z żydowską tradycją. Jako premier naciskał, aby Żydzi wracający do starej ojczyzny pozbywali się swoich diasporycznych nazwisk i zmieniali je na hebrajskie. Nie zawsze to się udawało. Ben Gurion,

tworząc swój pierwszy rząd, poprosił ministrów, by i oni zmienili nazwiska na hebrajskie. Na kilku z nich miał wpływ. Minister spraw zagranicznych Mosze Szertok zmienił nazwisko na Szaret, co ma ciekawe znaczenie – „służyć”. W innym rządzie minister Golda Meyerson, późniejsza legendarna premier Izraela, zmieniła nazwisko na Meir. Inny minister – Szneur Zalman Rubaszow z liter swojego dotychczasowego nazwiska ułożył nowe – Zalman Szazar.

Były minister spraw zagranicznych w Polsce, dyplomata i naukowiec prof. Adam Rotfeld, był jednym z dzieci uratowanych w czasie wojny przez duchownego Klemensa Szeptyckiego. Po wojnie, kiedy odnalazła go siostra, wrócił do swojego nazwiska (Rotfeld – z niem. czerwone pole), nadanego pewnie jeszcze w XVIII czy XIX w., ale ukrywany był jako Adam Czerwiński, czyli pod nazwiskiem mimo wszystko niezbyt odległym od Rotfeld. Bardzo dużo ukrywających się Żydów przeszło podobny proces. Część po wojnie pozostała przy nowym, polskim nazwisku, co w czasach asymilacji w PRL było naturalne i – szczerze powiedziawszy – wygodne.

Nie brakuje też przykładów ludzi, którzy z różnych względów nie chcieli zmienić swoich nazwisk. Na przykład posłowie Knesetu, w tym pani poseł partii lewicowej Chajka Grossman, która walczyła w getcie warszawskim i w Białymstoku, i Szewach Weiss. Nie byliśmy posłami w tym samym czasie ani nie umówiliśmy się w sprawie zachowania swoich nazwisk. Jesteśmy przykładem tych ludzi, którzy po Zagładzie chcieli zostać kontynuacją pamięci dla przyszłych pokoleń.

Co do kontynuacji historycznej, kulturowej i tożsamościowej, każdy z nas – Żyd bądź nie-Żyd – który nosi imię Abraham, setki tysięcy Abrahamów na całym świecie, jest w jakiś sposób związany z Abrahamem, który według tradycji i religii był twórcą narodu żydowskiego oraz religii żydowskiej, twórcą monoteizmu. © oprac. raw

Nazwiska w żydowskiej tożsamości

trwała jeszcze długie lata i być może nigdy nie uda się ustalić każdego imienia oraz nazwiska. Esencją tej okropnej tragedii jest pomnik w miejscu Umschlagplatz w Warszawie, na którym wyryto najpopularniejsze żydowskie imiona: Jankiel, Mojszele, Miriam, Ester, Hajka i Malka, a wśród nich: Tadek, Bronek, Elżbieta – polskie imiona, które przyjmowali Żydzi. Każdy z tych Tadeków, Bronków i każda z Elżbiet mieli typowe żydowskie imię, ale w procesie asymilacji zaczęli używać polskich, judeochrześcijańskich imion i nazwisk. Ja sam w domu byłem Szejwach, ale miałem też drugie imię – Zenon – którego praktycznie nikt nie używał, ale które było wpisane w dokumentach.

Imię i nazwisko są najbardziej prywatnymi rzeczami każde-



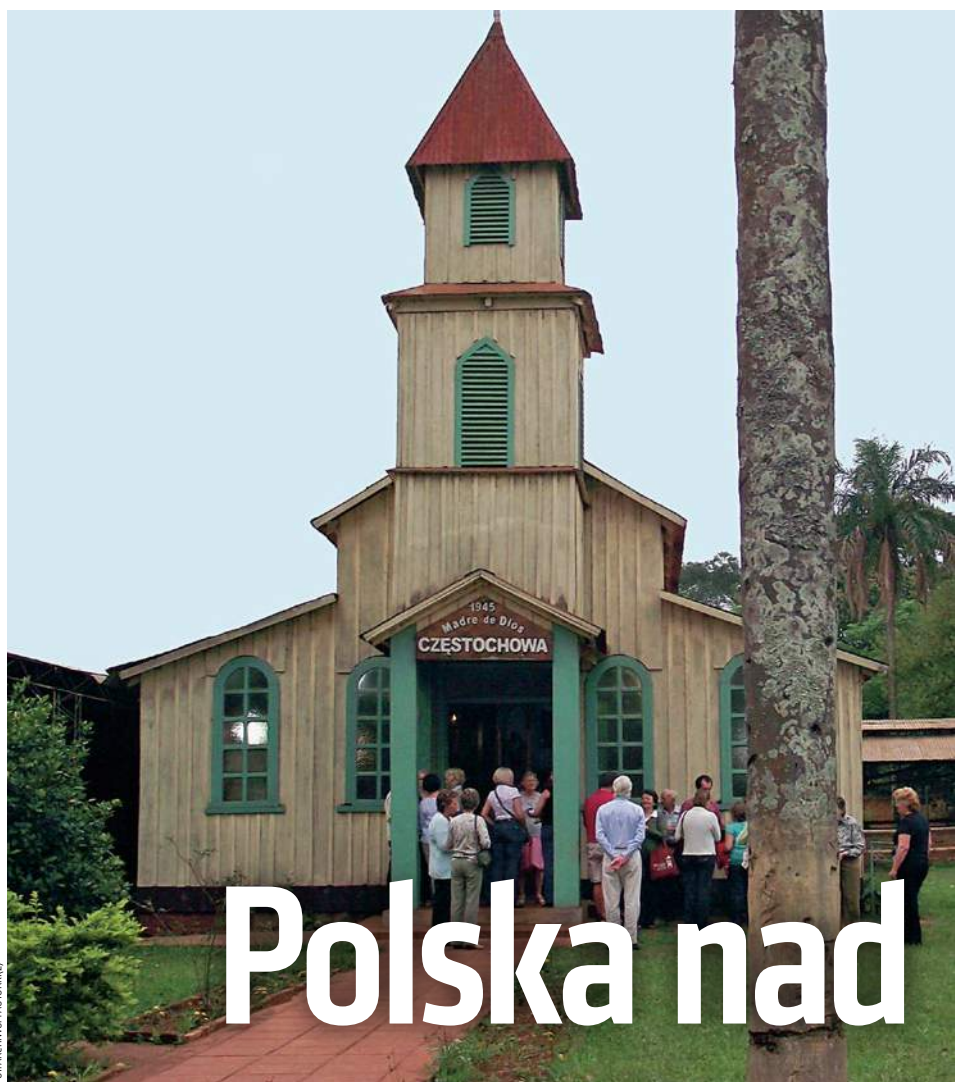
Agnieszka Niewińska

Międzywojenny sen o terytoriach zamorskich sprawił, że nasi rodacy znaleźli się w Argentynie. O tym, jak trudno było wyrzeć ziemię subtropikalnej dżungli pod uprawy, wiedzą tylko żyjący jeszcze nieliczni pierwsi osadnicy

Dzwonek do drzwi nie jest tu potrzebny. Wystarczy energicznie zakłaskać w dłonie. – Pani Naściu – wołam przez płot. Po chwili z ogrodu wyłania się 88-ltnia Anastazja Senejko. – Wizyta z Polski, proszę zachodzić! – cieszy się. I zaprasza po polsku, bo choć z Babic koło Biłgoraja do Argentyny wyjechała z rodziną w 1938 r., to języka nie zapomniała. – Razem przyjechali wiele rodzin, to i na kolonii po swojemu rozmawialiśmy – tłumaczy.

KOLONIZACYJNA GORĄCZKA

Senejkowie, tak jak wiele innych rodzin, przyjechali zasiedlać ziemię wykupione na terenie Argentyny przez polski rząd. W dwudziestolecie międzywojennym w kraju trwała kolonizacyjna gorączka, wielu polityków marzyło o polskich terytoriach zamorskich, a w przededniu II wojny światowej Liga Morska i Kolonialna miała blisko 1 mln członków. 50 tys. ha subtropikalnej puszczy w Misiones – północnej prowincji Argentyny – za pieniądze z polskich banków kupiła powołana przez polski rząd Colonizadora del Norte, spółka z siedzibą w Buenos Aires. Gorąco zachęcała ona rolników w kraju, by swoje, często niewielkie, gospodarstwa zamieniali na 25-hektarowe parcele w Argentynie, przedstawiając przy tym wspaniałe perspektywy. Wielu się zdecydowało, a z gdyńskiego portu za ocean zaczęły wypływać statki. Część kolonistów dotarła na północ prowincji, gdzie nad rzeką Parana powstała polska kolonia – Wanda – nazwana tak na cześć córki marszałka Józefa Piłsudskiego, a nieco dalej druga – Lanusse. Większość osadników ziemię za oceanem kupiła jeszcze przed wyjazdem, nie widząc nawet na oczy okolicy, w której mieli zamieszkać.



FOT. ARCHIWUM AUTORKEJ

Polska nad

Rosita Jejer, córka i wnuczka polskich emigrantów, opowiada, że do Wandy przyjeżdżali także Polacy, którzy już w latach 20. dotarli do Argentyny. – Mój tata, podobnie jak jego brat, przyjechał do Argentyny w 1925 r. Najpierw do Buenos Aires. Imał się różnych robót, był w różnych prowincjach. W Wandzie już został, tu poznał moją mamę – ciągnie Rosita.

Helena Sawicka miała sześć lat, kiedy jej rodzina zdecydowała się na podróż w nieznane. – Ja byłam tym wszystkim bardzo przestraszona, ale siostra mamy rok wcześniej przyjechała do Argentyny. Pisała, żebyśmy i my przyjeżdżali, że jak ktoś będzie ciężko pracował, to się w Argentynie dorobi – wspomina pani Helena.

Pani Naściu też przypomina sobie wieści, jakie przychodziły do wsi zza oceanu. – Jedna rodzina z naszych stron już wcześniej pojechała do Argentyny. Kiedyś przyszedł od nich list. Opisywali, jak to im dobrze, ile ziemi mają. Cała wieś chodziła czytać ten list – opowiada.

Prawdy w nim nie było za wiele. Wielu emigrantów pisało w optymi-

stycznym tonie, by uspokoić rodzinę. Część wysłanych do Polski listów wróciła i dziś można do nich zajrzeć w miejscowym muzeum. O trudach kolonistów nie piszą prawie wcale. Chwalą się tym, że ziemia dała plon. „Zawiadamiamy Was, że my z łaski Pana Boga znajdujemy się wszyscy żywi. Mamy już dom zbudowany. Koło domu 26 drzewek owocowych i 18 bananów – też drzewka, ale nie bardzo wysoko rosną [...], a owoce bardzo dobre, lepsze od jabłek. Jeszcze mamy posadzone ananasy, których owoce są bardzo dobre, wielkości największej brukwi, smak taki jak truskawka” – pisała do bliskich jedna z rodzin.

Pierwsze lata za oceanem były jednak dla wielu kolonistów gehenną. – Z początku tu niczego nie było. Tylko las i las. Jak ludzie płakali, pytali jeden drugiego, co to będzie, każdy przestraszony. Kto to wiedział, że będzie tu tak gorąco? Od różnego robactwa co to się w skórę wpija, pod paznokcie włazi, to aż czarno było, a my niczego nie mieliśmy, żeby się przed tym bronić – wspomina pani Naściu.



Paraná

Jak polscy gospodarze dorabiali się w argentyńskiej dżungli? Pani Józia Chrapek, córka emigrantów, kiedy opowiada o tym w swojej krawieckiej pracowni, zatrzymuje maszynę. – Łatwo im nie było – kręci głową. – Ani do tej roboty, ani do tej ziemi przyzwyczajeni nie byli. Najpierw sadzili... tabak. Jak to po polsku powiedzieć? Tytoń? Dzięki temu zaczęli trochę zarabiać – opowiada. Potem dorabiali się na sadzeniu tungu, którego owoce sprzedawali na olej przemysłowy, a w końcu na plantacjach yerba, czyli ostrokrzewu paragwajskiego, które do dziś ciągną się przez prowincję Misiones i są jednym z filarów gospodarki tej prowincji.

Pani Naściana wspomina, że z czasem z Polski zaczęły przychodzić do nich prośby od rodziny:

– Jedna z moich kuzynek napisała kiedyś do mego ojca: „Wujciu, skończyłam 15 lat. Chciałabym się lepiej ubrać”. Gdyby ona wiedziała, jak my tu żyliśmy... Wiele rzeczy szło się z białych płóciennych worków, co to w nich cukier przychodził i mąka. Ale rodzinie w Pol-

sce się wydawało, że skoro jesteśmy w Ameryce, to nam się lepiej powodzi.

Wanda Orzeł, córka polskich emigrantów urodzona w 1939 r. w Argentynie, przyznaje, że choć rodziny kolonistów bardzo ciężko pracowały, zmagali się z nieprzyjazną naturą i tęskniły za ojczyzną, to wieści z kraju utwierdziły ich w tym, że dokonali dobrego wyboru.

– Mama i tato jak się dowiedzieli, co się działo w Polsce w czasie wojny, to dziękowali Bogu, że tu przyjechali – mówi. – Kuzyni mojego męża, Stefana Firki, zawsze mówili – jak to dobrze, że jego ojciec Franek zabrał wszystkie dzieci i wyjechał. Oni mieszkali przed wojną na Wołyniu. Nie wiadomo, co by się z nimi stało. Tu ciężko pracowali, ale wszystkie dzieci zostały przy życiu.

„POACOÑO”

Dzisiejsza Wanda to 15-tysięczne miasteczko, które przecina trasa wiodąca do słynnych wodospadów Iguazú tłumnie odwiedzanych przez turystów z całego świata. I choć Wanda jest już zamieszkała nie tylko przez potomków Polaków, to swojsko brzmiących nazwisk jest bardzo dużo. Mieszkają tu Wiśniewscy i Zalewscy, Jelenie i Bzowscy, Koturowie i Woronowicze. Przy wejście do miasta stoi drewniany kościół zbudowany przez polskich emigrantów – argentyńska Częstochowa z wizerunkiem Matki Boskiej przywiezionym przez kolonistów z Polski. W centrum miasteczka mieszkańcy spotykają się na pl. República de Polonia przyozdobionym płaskorzeźbą z orłem białym i muralami przedstawiającymi przybycie polskich osadników. Jest muzeum poświęcone polskiemu pionierom. W mieście działa też polski klub, w którym wydarzenia kulturalne organizuje Stowarzyszenie Polsko-Argentyńskie „Wanda”. Do niedawna miało ono własny zespół taneczny, w którym młodzież uczyła się tańczyć krakowiaki i mazury. Niestety, na razie piękne stroje ludowe dla członków zespołu czekają na lepsze czasy, bo w Argentynie trudno znaleźć nauczyciela polskich tańców.

Ze starszymi osobami, z pierwszym pokoleniem urodzonym w Argentynie, można jeszcze całkiem swobodnie rozmawiać po polsku. Młodszy w coraz mniejszym stopniu znają język swoich dziadków. Maria Jejer, działaczka Sto-

warzyszenia Polsko-Argentyńskiego „Wanda”, tłumaczy, że w małżeństwach mieszanych dużo trudniej było zachować język. – Wielu z nas ma już za małżonków osoby, które nie mają polskiego pochodzenia, więc nie było okazji, żeby rozmawiać po polsku – mówi. Sama nadrabia to, co zapomniała, na lekcjach języka polskiego. Od kilku lat działa bowiem w Wandzie polska szkoła. Stowarzyszenie wystarało się o niewielki budynek w centrum miasta i co roku wnioskuje do polskiego MEN o przysłanie nauczyciela.

POWRÓT DO BABIC

Niewielu z polskich pionierów udało się odwiedzić Polskę. Większość, wsiadając na statek w latach 30., pożegnała kraj na zawsze, a krewnych widziała po raz ostatni. Ich potomkowie, choć bariera finansowa wciąż jest duża, starają się odwiedzić ojczyznę przodków. Anas-tazi Senejko udało się nie tylko utrzymać kontakt listowny z rodziną, lecz także pojechać do Polski. – Wyrobiłam polski paszport, bo ja nigdy nie przyjechałam argentyńskiego obywatelstwa, jestem Polką – mówi. Dokument długo leżał w szufladzie, dopiero po dziewięciu latach udało się jej pojechać z wycieczką do Polski. W jej salonie wisi oprawione w ramy duże zdjęcie z krakowskiego rynku – pamiątka z tamtej wyprawy. Udało się jej odwiedzić rodzinne Babice. – Bardzo byłam ciekawa, jak tam teraz wszystko wygląda – mówi pani Naściana. I przyznaje, że ledwo poznała rodzinną miejscowość. – Spotkaliśmy starszego człowieka, wypytywałam go, czy jacyś ludzie tu jeszcze mieszkali, co to mogli nas pamiętać. I tak zajechaliśmy do domu, w którym mieszkał sołtys. Tam spotkałam moją dawną koleżankę ze szkoły. Uściskałyśmy się serdecznie. Potem jeszcze długo pisała do mnie listy tu, do Argentyny – wspomina.

Pani Józia Chrapek opowiada, że jej mama, choć nie udało się jej już nigdy odwiedzić Polski, chciała, żeby kraj przodków zobaczyły jej córki. „Oj, dziecko, ja bym chciała, żebyś ty pojechała zobaczyć, jak to tam w Polsce jest. Tam tyle kwiatków, w lesie rozmaite jagody i grzyby” – mówiła zawsze. – Nie wiem, czy mi pisane jeszcze Polskę zobaczyć – powątpiewa pani Józia. Z rodziną straciła kontakt. – Ostatni list przyszedł wiele lat temu z Jaworzna. Czy to może być, że tam jeszcze jakiś Chrapek żyje? – pyta.

Na świecie jest już ponad 150 fashion weeków, a rozmnażają się z szybkością epidemiczną. Można powiedzieć: zawsze gdzieś odbywa się jakiś FW. Poza najbardziej liczącym się kwartetem – Paryż, Londyn, Mediolan i Nowy Jork – swoją imprezę mody mają Rio de Janeiro, Hongkong, Berlin, Sri Lanka, Fidzi, Atlantic City, Kolumbia, Liberia, Kazachstan i Kirgistan... Aspirujące stolice mody chętnie zapłacą amerykańskim czy francuskim dziennikarzom, żeby do nich przyjechali i oznajmili światu, co ich odległe miejsce na ziemi ma do powiedzenia w tej kwestii. Moda stała się efektownym i skutecznym narzędziem promocji, z którego chętnie korzystają mniej liczące się państwa.

Do listy fashion weeków jeszcze niedawno mogliśmy dołożyć Łódź. Jednak ta po serii 10 imprez chwilowo program zawiesiła. Na puste miejsce wskoczyły Kielce, Białystok, Kraków. Natomiast Warszawa wciąż nie ma nic. Dlaczego? W zeszłym roku miał się odbyć Mercedes-Benz Warsaw Fashion Weekend, ale na skutek wystąpienia tajemniczych przeszkód do niego nie doszło. Mała szansa, żeby do Białegostoku przyjechali dziennikarze z „New York Timesa” oraz „Le Monde”. Polska moda sama musi znaleźć sposób, żeby się wypromować. Kto o nas się bowiem dowie, jeśli sami w tym nie pomożemy?

Zadziałały Instytut Adama Mickiewicza oraz Instytut Kultury Polskiej w Londynie, które wspólnie z poznańską School of Form zorganizowały w Londynie wystawę naszej mody. Jest ona częścią większego wydarzenia o nazwie „Local/Global”, a wszystko odbywa się w czasie London Fashion Week. Obok nas wystąpiły: Ukraina, Rosja, Czechy, Słowacja, Chile, Tajwan, Słowacja, Korea. Niewielka, bo niewielka ta nasza wystawa, ale cieszyła się dużą oglądalnością i sporym zainteresowaniem. Na London Fashion Week przyjechały jak zwykle setki dziennikarzy i ludzi z branży.

Czym się pochwaliliśmy? Swoje projekty i pomysły przedstawili projektanci ze School of Form z Poznania na wystawie „Waste Not”. Skąd tytuł? Temat masowej produkcji, nadkonsumpcji, wynikających z tego problemów środowiska itp. jest obecnie najżywszy w modzie – branży, która ma powody do pocucia winy. Rozpędzona maszyna „fast fashion” każe kupować tony ubrań, żeby za chwilę je wyrzucić i kupić nowe. Trendy zmieniają się w tak zawrotnym tempie, że ludzie przestają na nie w ogóle zwracać uwagę.

Moda jest jednym z największych trucieli naszej planety. Żeby włókno stało się tkaniną, a potem ubraniem, trzeba zużyć 8 tys. rozmaitych środków chemicznych. Do wyprodukowania 1 kg bawełny zużywa się ok. 10 tys. litrów wody. Produkcja naszych T-shirtów i dżinsów pochłania jedną czwartą światowego zużycia pestycydów. W krajach Afryki i Azji pod uprawy karczują się lasy zwrotnikowe. Anajbardziej wykorzystuje się ludzi, bo ubrania powstają w najbardziej ubogich regionach globu. Pseudoluksusy z logo – zegarki, torby, dżinsy – wyprodukowane tam za

rzeczy, nosić dłużej, odzyskać i przerobić, co się da – to są właśnie postulaty nowych ruchów, których wyrazicielką jest m.in. wystawa „Waste Not”. Siedmiu studentów School of Form oprotestowało system, przedstawiając swoje dokonania: ubrania robione techniką macramé, czyli plecionki, z pozyskiwanych kawałków starych ubrań, sportowe buty, które dostały drugie życie dzięki uzupełnieniu ubytków taśmami, rzeczy szyte ze starych sfilowanych koców z odzysku. Potraktowali masową produkcję jako zasób. Zamiast kupować nowe – przerabiać, cerować, naprawiać.



Moda made in Poland



Joanna Bojańczyk

„Polacy szukają równowagi między współczesnym luksusem a kiczem komunizmu odrzuconym przez rodziców”. Nasza moda została doceniona na London Fashion Week

ułamek swojej ceny wciska się za wielkie pieniądze, wmawiając nabywcom, że od tego poczuć się lepiej.

PRZERABIAĆ, CEROWAĆ...

W całej branży powstaje ruch rozsądzający od wewnątrz ten nieudolny system. To paradoksalne, bo przecież chodzi o podcinanie gałęzi, na której sami siedzimy, w tym także niżej podpisana. Jednak rozsądek jest jedynym wyborem i jedyną szansą. Kupować mniej, lepsze

Ci młodzi sprawnie posługują się rzemieślniczymi metodami wytwarzania rzeczy. Znają zasady szycia i konstrukcji, szydełkują, robią na drutach, uczą się klockowej koronki, wiążą makramy. Do budowania nowoczesnych form i znaczeń używają historycznych technik. Jakość rzemiosła jest równie ważna jak jakość wzornictwa. Stare koronki, poznajdowane w szafach ciotek i second-handach, przetworzone, pofarbowane, połączone w nowe całości, stają się tworzywem do

budowania nowego znaczenia. Postkomunistyczną rzeczywistość millenialsi przetwarzają z młodzieńczym spojrzeniem. Bazarowa estetyka, którą pokolenie ich rodziców odrzuciło jako piętno minionej epoki, uwodzi ich kiczowatym wdziękiem i dziwną kolorystyką. Balansują na granicy luksusu i bezguścia.

Ciekawe to wszystko, ale bardziej do obejrzenia niż do noszenia. Polskie pomysły należy traktować w kategorii obiektów konceptualnych. Być może ktoś znajdzie w tym inspirację do tego, co można zrobić. Osobiście uważam, że nasi projektanci

pozytywne, a jako dowód uznania polska wystawa dostała jedną nagrodę z dwóch: za wystawę kuratorską. „Jury doceniło spójność przekazu studentów – mówi kuratorka Agnieszka Jacobson-Cielecka. – Prace były wykonane ze zużytych, przetworzonych materiałów, gdzie odpad stał się tworzywem, a historia i ślady użytkowania środkiem do szukania indywidualnego wyrazu. Obiekty powiązane były ze scenografią, która w całości była wykonana z odpadów stolarskich, połączonych wstążkami z pracowni krawieckiej. Żadna rzecz nie była kupiona nowa – ani tkaniny,

Stary Zachód ma zupełnie inny punkt widzenia. Jego mieszkańcy są bogatsi, nasyćci dobrami materialnymi i generalnie nastawieni antyglobalistycznie. U nich ruchy antykonsumpcyjne zaczęły się 30 lat temu.

SA LOALNA

W modzie, podobnie jak w jedzeniu, hasło „lokalny” jest dzisiaj bardzo na czasie. Jednak mam wrażenie, że jeszcze nie u nas. O ile jest oczywiste, że pomidor z pola sąsiada jest lepszy niż spod hiszpańskiej folii, o tyle przeciętnego polskiego konsumenta ciuchów niewiele obchodzi, gdzie uszyto jego koszulę. Chętnie kupi polskie ubrania, jeśli będą ładne i tanie. A z tym gorzej. Ładne mogą być, ale na pewno droższe od tych, które wyprodukowano w Bangladeszu czy Pakistanie. W Polsce produkcja jest droga i możemy się chyba z tego cieszyć, bo to znaczy, że pracownicy przemysłu tekstylnego nie zarabiają groszy.

Wyrośla u nas cała grupa młodych projektantów i producentów, których nie zrażają trudności założenia firmy, produkcji, dotarcia do klienta. Niektórym z nich udaje się wejść także na zagraniczne rynki. I chociaż może się wydawać, że polska moda nikogo w Londynie specjalnie nie obchodzi, to jest inaczej. Zainteresowanie jest. I doskonale,

że wychodząc mu naprzeciw, Polski Instytut Kultury w Londynie wydał „Chrysalis” – piękny album o naszej modzie. Jest to zamknięty w ozdobnej szkatułce-okładce (brawo dla grafika Tymka Borowskiego!) zbiór pojedynczych plansz ilustrujących nowożytną historię naszej mody. Przy każdej krótki opis po angielsku. Jest tu wszystko, co najważniejsze: projektanci, fotograficy, firmy, modelki, istotne fakty. Polska fashion story nieprzegadana, przejrzysta, efektowna. Gratulacje dla autorów pomysłu: Pauliny Latham, Marcina Różyca i Beaty Dudzic. Takiej promocji nam trzeba!

Można się cieszyć, że moda wreszcie doczekała się lepszego traktowania. Jeszcze niedawno wysoka kultura ze wzgardą krzywiła się na niepoważne słowo „moda”. Dzisiaj to się zmieniło. Na szczęście. Sukienki przyjemniej się ogląda niż nawozy sztuczne. Jednak nie tylko to: one potrafią nas pokazać od lepszej strony.



FOT. K. KWATKOWSKA

mają skłonność do przekombinowywania. Za dużo cytatów, za mało przejrzystości, za mało tego, co po angielsku nazywa się „wearability” – „noszalność”.

Jednak cudzoziemcy widzą to inaczej. Polska wystawa zebrała dobre recenzje. „Polacy szukają równowagi między współczesnym luksusem a kiczem komunizmu odrzuconym przez rodziców. Ich kolekcja wykorzystuje rzemiosło, estetykę plemienną i globalne trendy” – tak opisują nas Anglicy. Inne recenzje również były

ani buty, ani płyty stolarskie, ani elementy odzieży, ani scenografii”.

Trzeba ograniczyć konsumpcję, to pewne. Trudno to powiedzieć Polakom, bo przez 25 lat jeszcze nie zdążyliśmy się nakonsumować. Na razie jesteśmy zachwyceni dostępem do modnych i tanich ubrań z sieciówek. Można to zrozumieć, wiedząc, że statystyczny Polak wydaje na ubrania i kosmetyki 50 zł miesięcznie. Słyszac gadanie o ograniczeniu konsumpcji, ktoś taki puka się w czoło.

STEFAN SĘKOWSKI: Wchodząc do biura Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, zauważyłem, że od strony ulicy wisi szyld z nową nazwą, ale piętro wyżej, pod oknem, jeszcze tabliczka Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych.

TOMASZ PISULA: Właśnie dzisiaj wymienialiśmy tabliczki.

Zmiana tablic przebiega płynnie. Jednak czy to samo można powiedzieć o samej agencji, która w lutym zmieniła nazwę i zakres obowiązków?

PAIiIZ efektywnie obsługiwała zagranicznych inwestorów. Co piąta inwestycja przechodzi przez ręce naszych pracowników. Ponad 60 proc. firm inwestuje później u nas ponownie. Teraz, jako nowa agencja, mamy oprócz inwestycji obsługiwać także eksport. Aktualnie na podstawie likwidowanych Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji budujemy Zagraniczne Biura Handlowe.

Nie brzmi to rewolucyjnie.

To jednak jest rewolucja. WPHI były przykładem braku współpracy między Ministerstwem Gospodarki (dziś Rozwoju) a Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Podlegały MR, ale opiekę nad nimi za granicą sprawował ambasador RP. Ambasadorowie nie mieli nad nimi realnie żadnej kontroli. To były udzielne księstwa Ministerstwa Gospodarki, posługujące się paszportami dyplomatycznymi. Z jednym chlubnym wyjątkiem, czyli Ukrainy, WPHI funkcjonowały dramatycznie źle.

To znaczy?

Polska miała 300 pracowników za granicą, w większości zasłużonych działaczy PSL bądź ich krewnych i znajomych, ewentualnie zasłużonych pracowników MSZ, którzy z jakichś przyczyn musieli odejść z dyplomacji. Schyłek WPHI to koniec elity związanej z handlem zagranicznym rozumianym po PRL-owsku.

Być może. Jednak czy teraz nie mamy pustki instytucjonalnej? WPHI zostały już zlikwidowane, ale ZBH jeszcze nie ruszyły.

Nieprawda. Kolejne WPHI likwiduje się sukcesywnie wraz z powoływaniem ZBH, a nawet po ich uruchomieniu, bo pierwsze sześć biur ruszyło jeszcze przed likwidacją wydziałów. Dobrym przykładem płynnego przechodzenia jest placówka w Berlinie. Uznawana za szczególnie cenną, ale głównie dla jej pracowników, bo efekty jej działania były



Z Tomaszem Pisulą, prezesem Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu rozmawia Stefan Sękowski

Koniec handlu jak za PRL

mizerne. Likwidujemy wydział, a jednocześnie otwieramy biuro we Frankfurcie.

Czy ta zmiana rzeczywiście wymaga cięcia równo z trawą?

Nie tniemy równo z trawą – np. w Budapeszcie jeden z kluczowych pracowników będzie pracował w biurze, bo się sprawdza. Nawet jednak gdybyśmy wymieniali całą kadrę, to i tak nie byłoby to złe, bo ten system był naprawdę nieefektywny. Podam przykład: w jednym z państw w Ameryce Łacińskiej polski podatnikłożył 2,5 mln zł rocznie na utrzymanie dwóch pracowników WPHI,

którzy przez 12 miesięcy obsługiwali dwie imprezy targowe.

Gdzie?

Nie chciałbym podawać nazwy kraju.

Może jednak?

Może nie (śmiech). Można byłoby wysłać tam 10 osób biznes class, wynająć im pięciogwiazdkowy hotel i karmić ich foie gras, a i tak wyszłoby taniej niż utrzymanie dwóch osób w wieku emerytalnym.

Promocją gospodarczą zajmowało się, jak pisała w ubiegłym roku NIK, 170 podmiotów, w całość



FOT. BORYS SZRAMEL/PAIH

zaangażowanych było osiem ministerstw. PAIH ma przejąć te obowiązki?

Już sama likwidacja sieci WPHI wymaga wiele pracy. Przez siedem miesięcy w Ministerstwie Rozwoju, nadzorując tę sieć, zwalniałem kolejne osoby, bo dowiadywałem się o sprawach obyczajowych i kryminalnych. Osoby, które przed wyjazdem musiały uzyskać certyfikaty bezpieczeństwa, bywały równolegle poszukiwane przez prokuraturę, a jednak dostawały paszporty dyplomatyczne. To pokazuje, w jakiej zapaści było państwo polskie. Zdarzało mi się zwalniać osoby nieznające żadnych języków obcych,

a będące przez kilkanaście lat szefami WPHI za granicą. Gdybyśmy więc tylko zlikwidowali WPHI, państwo polskie by nic nie straciło, a jeszcze zaoszczędziło 100 mln zł rocznie.

PAIiZ dostawała w tym czasie 12 mln zł...

...i za te pieniądze ściągala do Polski inwestycje w wysokości 9 mld zł rocznie.

Działała więc bardzo dobrze. Po co więc coś zmieniać?

PAIiZ działała dzięki świetnym kadrom, które funkcjonowały trochę wbrew swojemu zarządowi. Po po-

przednim zarządzie odziedzyczyliśmy firmę z dwumilionową stratą. Tego, co działa dobrze, nie ruszamy. Teraz mamy dodatkowe obowiązki, czyli promocję polskiego eksportu – coś, co kraje takie jak Francja i Wielka Brytania odkryły lata temu. Jedną ręką szukają inwestycji zagranicznych, drugą – obszarów, w których można eksportować swoje produkty.

Konkurencja jest trudna. Budżet PAIH ma wzrosnąć w tym roku ponad trzykrotnie, do 45 mln zł. Dla porównania: German Trade and Investment, czyli niemiecki odpowiednik agencji, dysponuje w tym roku kwotą 70 mln euro.

To są giganci. Brytyjski Department for International Trade dysponuje 2 tys. pracowników i 200 biurami zagranicznymi. My planujemy otworzyć ich kilkadziesiąt. Dodatkowo promocja jest zintegrowana resortowo. Francuzi są znani z tego, że ich dyplomaci – choć nie powinni tego robić – na wszystkie spotkania dyplomatyczne, gdzie można coś sprzedać, przychodzą z francuskimi przedsiębiorcami.

Brzmi jak handel obwoźny.

Tak, ale wychodzi im to, a zwycięzców nikt nie rozlicza. Cały ten interes oscyluje na granicy pomocy publicznej.

Zagraniczne agencje piszą nawet na swoich stronach, że nie subsydują, tylko wspierają.

My też nie subsydujemy, tylko wspieramy.

Tak jest naprawdę czy tylko tak się mówi?

Nasza konkurencja międzynarodowa robi, co może, by i wspierać, i subsydować, my tego nie robimy...

...bo nie mamy na to pieniędzy?

Nie mamy na to środków. Naszym przedsiębiorcom oferujemy jednak relacje. Oni świetnie sami sobie radzą na perspektywicznych rynkach. W każdym kraju, nawet najbardziej egzotycznym, zastanawiamy się, czy tam nie otworzyć biura. Okazuje się, że są tam już dwaj przedsiębiorcy z Polski, którzy świetnie sobie radzą, mają rozpoznaną konkurencję, dogadują się z administracją...

W takim razie po co wy jesteście?

W naszym kraju jest wiele firm, które mają potencjał i parcie, by wejść na rynki zagraniczne. Jeśli da się im dodatkowe wędki, to będą łapać więcej ryb.

■ Taką wędką są np. specjalne programy dedykowane poszczególnym gospodarkom, np. „Go China”. Od kiedy ruszył w 2012 r., eksport wzrósł o ok. 27 proc. O tyle, o ile wzrósł cały polski eksport w tym czasie. Czy jest sens prowadzić takie programy, skoro nie widać żadnej różnicy?

Programy dedykowane poszczególnym rynkom mają sens, podobnie jak programy dedykowane poszczególnym branżom. Być może bez programu „Go China” mówilibyśmy o jeszcze mniejszym wzroście eksportu. Chiński rynek jest bardzo trudny. Polscy przedsiębiorcy napotykają liczne bariery administracyjne, np. certyfikowanie produktów żywnościowych, a także rynek, na którym panują reguły Dzikiego Zachodu – Chińczycy cieszą się, że ktoś coś opatentuje, bo wtedy publikuje dokumentację techniczną, którą mogą skopiować. Ponadto chcą kupować duże ilości produktów, a tu okazuje się, że nie jesteśmy w stanie dostarczyć dostatecznej ilości. Na szczęście polscy eksporterzy, którzy w kraju ze sobą konkurują, często za granicą tworzą klastry, współpracują ze sobą i wspólnie sprzedają swoje produkty.

O Chinach mówi się wiele, ale PAIH nie chce się do nich ograniczać. Gdzie warto szukać kontrahentów?

Choćby w Birmie, Indonezji, na Filipinach, w Wietnamie. To kraje nieco przeoczone, wychodzące z autorytaryzmów. Polscy przedsiębiorcy pamiętają, jak to było u nas w latach 80., i dobrze odnajdują się w tamtych realiach.

A oni w ogóle chcą tam działać?

Oni już tam są. Czasami mam wrażenie, że wyważam otwarte drzwi (śmiech).

Po co je więc wyważać? Może biznes wcale was nie potrzebuje?

Potrzebuje polskiej flagi. We współpracy z jednostką postrzeganą jako emanacja polskiego rządu zyskują dodatkową wiarygodność. Spotkania za granicą, w których obok polskiego biznesmena pojawia się przedstawiciel polskiej administracji, mają większą szansę na sukces. Przedsiębiorcy często sami chcą razem z państwem polskim utrzymywać nasze biura, a przecież oni dokładnie liczą każdy grosz. To oni, tak jak np. w Dżakarcie w Indonezji, wychodzą z inicjatywą założenia biura. Nasza obecność się firmom przydaje, a niewykorzystanych,

perspektywicznych rynków jest wiele. Przykładowo polskie firmy produkują dużo świetnych jachtów, ale sprzedajemy je najdalej na Półwysp Arabski. Nie sprzedajemy ich tam, gdzie byłby na nie popyt, czyli np. w Zatoce Meksykańskiej, bo trzeba by je wozić tam w całości, a to się nie opłaca. Łatwiej byłoby np. założyć fabrykę w Meksyku, a potem sprzedawać np. na Florydzie.

A może produkować je na Kubie?

Mam z tym problem estetyczny (śmiech).

Jako prezes fundacji Wolność i Demokracja wspierał pan np. tamtejszą opozycję.

Rzeczywiście dziś zdarza mi się siedzieć przy jednym stole z przedstawicielami rządów, za którymi nie przepadam. Śmiem twierdzić, że kraje, które nie wykonały nawet gestu w stronę demo-

45 mln zł

DO TEJ KWOTY MA WZROSNAĆ W TYM ROKU BUDŻET POLSKIEJ AGENCJI INWESTYCJI I HANDLU

kratyzacji, nie są dobrym partnerem handlowym. W krajach demokratycznych można liczyć na przynajmniej namiastkę rządów prawa, w dyktaturach jesteśmy zdani na dobry humor miejscowego gospodarza.

Na przykład w Ho Szi Min, gdzie ma powstać jedno z pierwszych sześciu Zagranicznych Biur Handlowych.

Tak, rozmowy trwają, ale to także kwestia siły nabywczej danego kraju. Kuba jest krajem wydrenowanym z wszelkich pieniędzy, Kubańczycy nawet gdyby chcieli, nie mieliby czym płacić za nasze towary. Jeśli ktoś chce tam próbować działać biznesowo, to życzę mu szczęścia, ale PAIH dysponuje ograniczonymi środkami i wolę się skupić na innych rejonach.

Czyli z Wietnamczykami mamy handlować, bo są bogatsi, choć u nich tak samo nie ma demokracji ani rządów prawa?

Tam sytuacja jest inna. Wietnamczycy dyskutują na temat przyszłości systemu. Zdają sobie też sprawę z tego,

że jeśli nie dadzą szansy Zachodowi, to zostaną gospodarczo zmonopolizowani przez Chiny.

W irańskim Tabriz polskie firmy mają budować „smart city”...

Iran jest jednym z najbardziej obiecujących partnerów gospodarczych dla polskiego biznesu. Wchodzimy na rynek, na którym po latach embargo potrzeba bardzo wiele różnorodnych produktów, za które nasi kontrahenci są gotowi uczciwie zapłacić. Zresztą, nawet pomimo sankcji, przez lata były tam obecne firmy europejskie, np. niemieckie. Odrabiamy straty.

Jako prezes FWiD walczył pan z autokratyzmami i totalitaryzmami, a teraz z nimi pan współpracuje.

To prawda, walczyłem, i bardzo mi to pomaga w relacjach z inwestorami, którzy pytają o stan demokracji w Polsce. Przez ostatnie 20 lat badałem stan demokracji w różnych krajach, pisałem raporty dla Freedom House także o Polsce, angażowałem się w arabską wiosnę oraz w krajach postsowieckich i mogę powiedzieć, że mówienie o kryzysie demokracji w Polsce to bajki z mchu i paproci. W mojej obecnej działalności staram się poszerzać zakres wolności gospodarczej. Być może w krajach, w których osiągnąłem stosunkowo niewiele, promując demokrację metodami politycznymi, uda się uzyskać więcej, promując wolność gospodarczą i budując ich ekspozycję na Polskę oraz Polaków.

Tak pisał Mirosław Dzielski w latach 80. o PRL. Najpierw wolność gospodarcza, potem polityczna.

Często zadaję sobie pytanie, czy to, co robię, jest dobre. Mam wrażenie, że do tej pory linii nie przekroczyłem. Otwarcie rozmawiam z polskimi przedsiębiorcami o działaniu w krajach niedemokratycznych, w których margines zysku jest większy, ale i ryzyko jest większe. Nie jestem orędownikiem inwestowania w krajach, w których system niedemokratyczny może się załamać w wyniku rewolucji. To bardzo ryzykowne.

Stefan Sękowski – zastępca redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”

Tomasz Pisula – w latach 2006–2014 prezes fundacji Wolność i Demokracja, od września 2016 r. prezes PAIIZ (dziś PAIH).

Jelcz w służbie dla kraju

Postępująca modernizacja polskich Sił Zbrojnych, dzięki staraniom polskiego rządu oraz Jelcz Sp. z o.o., przyczynia się do wzrostu bezpieczeństwa naszego państwa. A setki samochodów i pojazdów specjalnych marki Jelcz świetnie wpisują się w tę koncepcję. Jakość, zadowolenie i ciągły rozwój to filozofia, która codziennie towarzyszy pracy całego zespołu Jelcz Sp. z o.o.



W 2017 roku Spółka obchodzi 65-lecie marki. Dawniej firma działała jako Jelczańskie Zakłady Samochodowe i zatrudniała kilka tysięcy osób. Ponad ćwierć miliona sztuk pojazdów trafiło do użytkowników w Polsce i na świecie.

Produkcja i usługi

Właścicielem całości udziałów Jelcza jest Huta Stalowa Wola S.A., która jest jedną z 60 spółek wchodzących w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Obecnie Jelcz zatrudnia ponad 580 pracowników.

Głównym przedmiotem działalności jest projektowanie, rozwój, produkcja oraz sprzedaż samochodów ciężarowych marki Jelcz, także w wersjach opancerzonych.

Ciągle unowocześniany park maszynowy oferuje usługi w zakresie obróbki mechanicznej i plastycznej, spawalnictwa i lakiernictwa oraz cięcia termicznego.

Jelczańskie pojazdy w Obronie Terytorialnej

Sztandarowym pojazdem, z którego Jelcz jest najbardziej dumny, jest samochód ciężarowy średniej ładowności wysokiej mobilności Jelcz 442.32. Trafia on do większości rodzajów wojsk.

Spółka prowadzi rozmowy z Inspektorem Uzbrojenia Ministerstwa Obrony Narodowej dotyczące udziału Spółki w projekcie Wojsk Obrony Terytorialnej. Wszystko wskazuje na to, że w ciągu najbliższych miesięcy umowa na dostawę zostanie podpisana. Jelcz dostarczy swoje flagowe pojazdy.

Produkowane przez Spółkę podwozia są wykorzystywane pod zabudowy specjalne w wielu programach modernizacji technicznej armii, między innymi pod wyrzutnie artyleryjskie w programie LANGUSTA.

Przyszłość w kolorowych barwach

Pod koniec ubiegłego roku Spółka ogromnym wysiłkiem i zaangażowaniem wszystkich pracowników nadrobiła zaległości wynikające z pierwszych 7 miesięcy i wykonała plan produkcji.

– Na początku naszej pracy ciężko było zbliżyć się do 2 aut produkowanych dziennie. Pod koniec roku doszliśmy do 5. Liczby mówią same za siebie – mówi **Łukasz Dudkowski**, Prezes Zarządu Jelcz Sp. z o.o.

Perspektywy na następne lata są obiecujące. Podczas wizyty w Jelczu Wojewoda Dolnośląski Paweł Hreniak wspominał, że polski rząd z ogromną determinacją stawia na polską produkcję niemal w każdej dziedzinie. Spółka doskonale wpisuje się w kierunki rozwoju, jakie zostały wyznaczone przez rząd Premier Beaty Szydło.

Tomasz Popławski



Edyta Hołdyńska

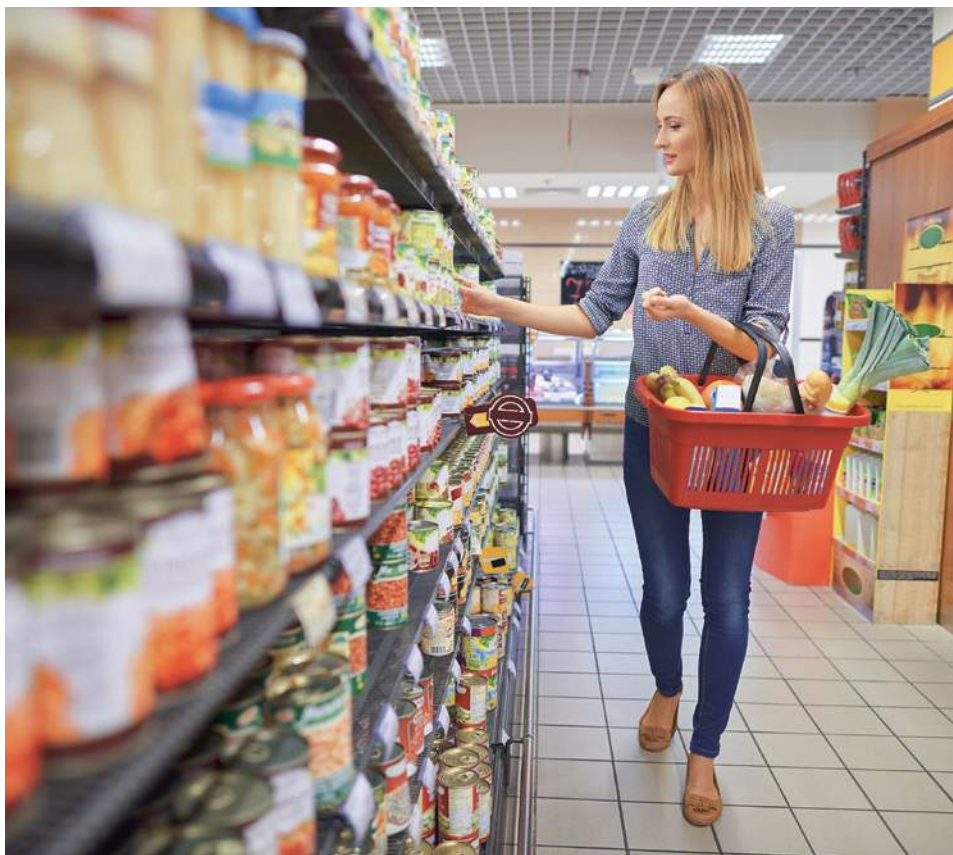
Unia dwóch prędkości już funkcjonuje. To Zachód dostaje najlepsze proszki do prania, mydło, żywność, a wschód kontynentu zalewają produkty gorszej jakości. Grupa Wyszehradzka chce walczyć z tym procederem

Sprite sprzedawany w Niemczech słodzony jest wyłącznie cukrem, a w Czechach sztucznym słodzikiem. Czeska cytrynowa mrożona herbata Nestea zawiera o 40 proc. mniej ekstraktu herbacianego niż jej niemiecki odpowiednik, a paluszki rybne dla Niemców zawierają o 7 proc. więcej ryby niż te same paluszki sprzedawane w Czechach. Cena tych drugich jest nawet wyższa. Do tego, co najbardziej porażające, w polskich, czeskich i słowackich herbatnikach maślanych Leibniz i chipsach Crunchips zamiast oleju słonecznikowego czy masła, stosuje się olej palmowy, okrzyknięty w najnowszych badaniach rakotwórczym. Inne zamienniki w produktach również mogą odbić się na zdrowiu. Większa ilość konserwantów, jak alarmują dietetycy i lekarze, może w najlepszym wypadku być przyczyną niestrawności, a w najgorszym – chorób wewnętrznych.

„Towarowy rasizm” to jedno z najostrzejszych określeń prasy na praktyki zachodnich koncernów w Polsce, Czechach, na Słowacji i Węgrzech. Pierwsze partie swoich produktów giganci mają wysyłać na zachód, a dopiero kolejne, uboższe w składzie, ale zarazem droższe, na wschód Europy. O ile sprawa jest powszechnie znana mediom i nawet w Polsce klienci oblegają sklepy z chemią z Niemiec, bo uważają ją za lepszą, o tyle proceder nie jest łatwy do udowodnienia.

MAŁO WYMAGAJĄCY WSCHÓD

Potwierdzeniem tej teorii miały być słowa Matta Simistera, dyrektora Tesco w Wielkiej Brytanii. W 2015 r. kontrowersje nad Wisłą wywołała jego wypowiedź dla BBC: „W wielu przypadkach wysyłamy produkty pierwszej jakości do marketów w wielkiej Brytanii, a produkty drugiej jakości do sklepów w Środkowej i Wschodniej Europie”. Zdaniem dyrektora klient



FOT. FOTOLIA

Europa dwóch jakości

z Europy Wschodniej jest po prostu mniej wymagający. Tesco tłumaczyło, że słowa były wyrwane z kontekstu i dotyczyły jedynie wyglądu zewnętrznego produktów.

Jednak proceder znajduje potwierdzenie także w badaniach. Naukowcy z Wyższej Szkoły Chemiczno-Technicznej w Pradze wybrali się na zakupy najpierw do niemieckich supermarketów, a potem do ich odpowiedników w Czechach. Zakupili 24 identyczne produkty i ich próbki dali do sprawdzenia ankietowanym. Uczestnicy badania w ośmiu przypadkach wyczuli wyraźną różnicę. Produkty serwowane w Czechach były mniej smaczne od niemieckich. Analiza chemiczna wykazała bardzo konkretne różnice w produktach Sprite czy Nestea.

Także słowacki urząd ds. jakości żywności podaje, że połowa z 22 przebadanych produktów kupionych w Bratysławie i w leżących niespełna 20 km dalej dwóch austriackich miastach przygranicznych miała inny smak, wygląd i skład. Przykładowo napój pomarańczowy sprzedawany na Słowacji nie zawierał soku z pomarańczy, w przeciwieństwie do identycznego w Austrii. Słowacki miał za to więcej środków konserwujących i stabilizatorów.

Korporacje tłumaczą, że obniżają normy jakościowe ze względu na różne preferencje klientów. Jak twierdzą, muszą także dostosować produkt do kryterium niższej ceny, jakim kierują się klienci w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. W świetle prawa nie popełniają przestępstwa, bo

wszystkie informacje dotyczące procentowego składu produktu umieszczają na etykiecie. A tylko taki wymóg stawia im UE.

SPAWA POLITYCZN

– Na rynkach Unii Europejskiej jest podwójna miara. Obywatele Europy Środkowej są drugorzędnymi obywatelami, jeśli chodzi o jakość żywności – grzmiał po ostatnim spotkaniu krajów Grupy Wyszehradzkiej premier Węgier Viktor Orbán. A Beata Szydło poinformowała, że Polska również popiera wszelkie działania zmierzające do eliminowania nieuczciwych praktyk rynkowych i ochrony interesów konsumentów.

Obecni na spotkaniu szefowie rządów państw Grupy Wyszehradzkiej zgodnie przyznali, że należy podjąć działania w sprawie jakości żywności sprzedawanej na terenie UE i nierównego traktowania poszczególnych rynków. – Podjęliśmy decyzję o tym, aby powołać zespół roboczy, który będzie się tym zajmował. Występujemy z apelem do Komisji Europejskiej, aby przestrzegająca rezolucji Parlamentu Europejskiego, które były podjęte w tej sprawie m.in. przez europosłów czeskich – mówiła premier Polski.

Jak dotąd głównie Czesi i Słowacy naciskali, aby w tej sprawie powstało wspólne stanowisko Grupy Wyszehradzkiej. Minister rolnictwa Czech Marian Jurečka zapowiedział nawet, że będzie dążył do wprowadzenia zakazu sprzedaży w krajach tzw. Nowej Unii artykułów gorszej jakości pod takimi samymi nazwami i markami, co w krajach Starej Unii.

Dotychczasowe działania na unijnych szczeblach nie przynosiły bowiem rezultatów. Słowacka prezydencja mająca przynieść większe możliwości wpływów i decyzyjność już się zakończyła. Od 1 stycznia przejęła ją Malta, która ma już zupełnie inne priorytety.

– Już wcześniej zgłosiliśmy ten problem Komisji Europejskiej, ale ta nie zajęła się nim. Dla naszych obywateli należy podać pełną informację o tym, jakiej jakości produkty żywnościowe mogą zakupić w naszych sklepach. Muszą być utworzone do tego przez Komisję Europejską gwarancje prawne – podkreślił Viktor Orbán. – Będziemy przyczyniać się do tworzenia takiej nowej regulacji, która zapobiegnie temu, żeby nadal istniała taka podwójna miara. Bardzo się cieszę, że w tej sprawie będzie współpraca pomiędzy krajami V4 – dodał.

Aby zahamować zalew wschodu UE produktami gorszej jakości, trzeba by

zmienić kilka dyrektyw. Czesi i Słowacy wspominali już o wprowadzeniu jednolitego standardu komponentów danego produktu, który miałby obowiązywać w całej Unii Europejskiej. Konkretnie napoi, kaw, słodczy, czekolad i żywności dla dzieci, a także kosmetyków i detergentów. Marian Jurečka miał alarmować o sprawie Vytenisa Andriukaitisa, unijnego komisarza ds. zdrowia i bezpieczeństwa, a także Elżbietę Bienkowską, komisarz ds. rynku wewnętrznego.

Na razie Komisja Europejska nie zamierza zmieniać prawa. Na etykietach produktów muszą być jedynie informacje o składnikach użytych do ich tworzenia, ale nie ma obowiązku trzymania się jednolitych proporcji składników w każdym z krajów Wspólnoty. Zatem koncerny mogą je do woli różnicować zgodnie z gustem, preferencjami czy siłą nabywczą konsumentów.

Czesi i Słowacy na jakość produktów na swoim rynku narzekają już od niemal siedmiu lat. Niejednokrotnie mieli uwagi także do polskiej żywności. W listopadzie ubiegłego roku zniszczyli 5 mln jaj z Polski, bo podejrzewali, że były skażone salmonellą. Utylizacja była zgodna z prawem UE, bo na podstawie informacji z polskiego sanepidu polskie jajka w kilku krajach europejskich uznano za skażone. Okazało się jednak, że feralne jaja mogły trafić do Skandynawii, Wielkiej Brytanii, a także na rynek belgijski i w Luksemburgu. Nic jednak nie wskazywało na to, że część tej partii znalazła się w Czechach.

Czesi oskarżali nie tylko Zachód, lecz także Polaków o nieuczciwą konkurencję i sprzedaż poniżej kosztów, a także niewłaściwe oznaczanie kraju pochodzenia produktów. Polscy producenci jaj odpięrali zarzuty, tłumacząc, że są zobligowani do podawania bardzo szczegółowych informacji dotyczących pochodzenia każdego jaja. Bez oznaczania i odpowiednich opakowań handel nimi nie jest możliwy. Wyjaśniali też, że o żadnym dumpingu nie może być mowy, bo negocjacje cenowe zawsze odbywają się między konkretnymi odbiorcami i dostawcami.

Beata Szydło także uspokaja: jakość polskiej żywności utrzymywana jest na wysokim poziomie. Polskie produkty są cenione na całym świecie i coraz częściej kupowane przez konsumentów z innych państw.

Z kolei nad Wisłą rekordy popularności biją sklepy z niemiecką chemią. W sieci istnieją sklepy, które zajmują się wyłącz-

nie sprzedażą detergentów sprowadzanych z Niemiec. Z badań PMR Consulting & Research wynika, że ponad 20 proc. Polaków kupuje chemię z Niemiec. 10 proc. przyznaje się do regularnych zakupów, a 11 proc. kupuje ją okazjonalnie.

Dyskusja na unijnym szczeblu sprowadza się obecnie do wymiany apeli: Praga i Bratysława nawołują, by kwestia stała się przedmiotem obrad unijnych środowisk eksperckich, a Bruksela odpowiada, by najpierw udowodnić, że problem jest realny poprzez przeprowadzenie testów w autoryzowanych laboratoriach.

BIEDNI I BOGACI

Czy przyniesie efekty nowo powstały zespół roboczy? Ministrowie rolnictwa krajów Grupy Wyszehradzkiej w trakcie ostatniej debaty szefów resortów z całej Unii już zaznaczyli problem stosowania podwójnych standardów w produkcji żywności dla bogatszych i biedniejszych państw UE. Wniosek Słowacji i Węgier w tej sprawie poparła także Warszawa.

– Komisja Europejska powinna odnieść się do rezolucji Parlamentu Europejskiego z 2013 r., która wskazywała na możliwość wystąpienia tego typu przypadków podwójnej jakości żywności – podkreślił Krzysztof Jurgiel, minister rolnictwa.

Czy Polska także powinna zbadać skład sprzedawanych w swoim kraju produktów, tak jak zrobili to już Czesi i Słowacy? – Zdaniem Polski obecny system bezpieczeństwa i jakości żywności w UE spełnia swoje zadania, a producenci żywności odgrywają ważną rolę w tym procesie. Przeprowadzone badania przez Słowację wskazują, że pewne nieprawidłowości mogą jednak mieć miejsce. Zdaniem Polski to Komisja Europejska powinna zbadać takie przypadki, zgodnie z rezolucją Parlamentu Europejskiego z 2013 r. – mówi Małgorzata Książczyk, dyrektor biura prasowego Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Polska poparła także wniosek do Komisji Europejskiej, by ta zajęła się przypadkami nieuczciwej konkurencji na rynku rolnym. – Popieramy ten wniosek i postulujemy, by na forum Unii Europejskiej było to prawnie rozwiązane. Wnioskujący wskazali na 32 przypadki nieuczciwej konkurencji, które powinny być wyeliminowane w wyniku legislacji – dodaje minister rolnictwa. Przedstawił także wniosek o kolejny pakiet pomocy dla polskich producentów jabłek i gruszek, którzy ponoszą straty przez rosyjskie embargo.



PIOTR GABRYE

PROSTO ZYGZAKIEM

Państwowe jest piękne?

Po ćwierci wieku, gdy ci, którzy zachłynęli się wszystkim, co prywatne, brali górę – raz mniej, innym razem bardziej – nad tymi, którzy z mniejszym lub większym trudem znosili dyktat prywatnego, wkraczamy w czasy, gdy zwolennicy prywatnego i jego przeciwnicy zamieniają się miejscami. Górę biorą ci, dla których prywatne jest z gruntu gorsze, mniej efektywne, społecznie niesprawiedliwe i – rzecz jasna – mocno podejrzane.

Zamiana miejsc ruszyła na dobre za rządów rzekomego liberała, a faktycznie zakochanego we władzy etatysty Donalda Tuska, który doprowadził do zawłaszczenia połowy oszczędności przyszłych emerytów z ich kont w OFE, wskutek czego ok. 150 mld zł przekazano ZUS, czyli znacjonalizowano. Do dziś nie ma pewności, jaki los spotka pozostałą połowę prywatnych oszczędności przyszłych emerytów, ale wiele wskazuje na to, że aż 25 proc. (ok. 35 mld zł) trafi z OFE do Funduszu Rezerwy Demograficznej, czyli także zostanie upaństwowione, a 75 proc. (ok. 107 mld zł) znajdzie się na „już naprawdę na zawsze” prywatnych indywidualnych kontach emerytalnych przyszłych emerytów. Jednak czy tak się stanie? Czy rząd Beaty Szydło – lub inny – na pewno pohamuje swój apetyt na zawłaszczanie i upaństwowienie także tych prywatnych oszczędności?

To jednak nie wszystko. Przyspiesza bowiem także odwrót od prywatnego w służbie zdrowia. Najpierw, po zaledwie

sześciu latach istnienia konkurujących ze sobą o pieniądze pacjentów i zabiegających w ich imieniu o jak najlepsze warunki leczenia publicznych kas chorych, etatysta Leszek Miller – zamiast doprowadzić do powstania prywatnych kas chorych – zlikwidował nawet te publiczne, tworząc w ich miejsce niewydolny państwowy moloch – Narodowy Fundusz Zdrowia. A teraz system ten ma zostać zastąpiony już w pełni państwowym: służba zdrowia – tak jak w PRL – będzie finansowana wprost z kasy państwa, przez Ministerstwo Zdrowia. Na domiar złego rząd chce doprowadzić do powstania sieci szpitali w taki sposób, że aż ponad 90 proc. publicznych pieniędzy na ochronę zdrowia wędrować będzie do kas placówek z owej sieci, głównie państwowych. I już dziś można być pewnym, że fatalnie odbije się to na zdrowiu nas wszystkich.

W porównaniu z trwającym upaństwowianiem systemów ochrony zdrowia i emerytalnego przynajmniej na razie mniejsze znaczenie ma zwrot w stronę wyłącznie państwowych firm jako wehikułów w procesie potrzebnej repolonizacji gospodarki. Odkupienie zagranicznego, ale jednak prywatnego banku Pekao SA przez polskiego, a przy tym państwowego giganta – PZU – to jeden z przykładów tego procesu. Innym jest uporczywe trzymanie się przez rządy państwowej własności kopalń węgla kamiennego, która – jak wszystko, co państwowe, a nie prywatne – kosztuje podatników krocie. ©©



KRZYSZTOF BIŃSKI

RYBIM OKIEM

Czy powstanie rasa nadludzi

W medycynie dokonał się ogromny postęp, który poprawił jakość życia setek milionów ludzi, zarówno bogatych, jak i biednych. W XX w. celem tego postępu było to, by zapobiec chorobie lub ją wyleczyć. Jednak w XXI w. będzie inny. Celem wielu badań i innowacji, w tym neurologicznych, nie jest leczenie ani zapobieganie, lecz stworzenie nadczłowieka.

W laboratoriach służb specjalnych USA prowadzi się badania nad poprawą wydolności fizycznej i psychicznej żołnierzy, żeby

się zastanawiać nad swoim życiem. Dlaczego do tej pory była tak słabo skoncentrowana na celach? Zapragnęła zmian. I chciała wrócić do symulatora, żeby ponownie poczuć ten niesamowity spokój i pewność siebie.

Prawdopodobnie już wkrótce pojawią się pierwsze urządzenia poprawiające pamięć, koncentrację i zwiększające możliwości fizyczne oraz psychiczne przez odpowiednią ingerencję w pracę mózgu. Bogaci, których będzie stać na wydanie setek tysięcy czy kilku milionów dolarów, żeby poprawić swoje możliwości, staną się nadludźmi. Ich poprawione lub zaprojektowane dzieci będą błyskawicznie uczyły się języków obcych i stawały się ekspertami w dowolnej dziedzinie. Nadludzie będą kierowali światowymi firmami, rządami i mediami. Pozostaje pytanie: Jaką rolę w społeczeństwie będą odgrywać zwykli ludzie, których nie będzie stać na metamorfozę w nadczłowieka? Jaka będzie wtedy struktura społeczna? Czy stosunki między nadludźmi i zwykłymi ludźmi będą takie jak obecnie między ludźmi i zwierzętami? Jak homo deus będzie traktował homo sapiens?

To, co opisałem, to nie jest science fiction, to się dzieje tu i teraz. Obecnie szczerzy poddane odpowiedniej stymulacji mózgu osiągają „nadprzyrodzone” zdolności fizyczne i psychiczne. Zastosowanie tych technik wobec ludzi to tylko kwestia czasu. ©©

**Nadludzie
będą kierowali
światowymi firmami,
rządami i mediami**

stworzyć superżołnierzy. Pozwolono dziennikarce zobaczyć, jak wyglądają takie zajęcia. Na symulatorze miała za pomocą karabinu zabić atakujących ją arabskich terrorystów samobójców. Nie poradziła sobie, zagrożenie było tak realne, że panikowała, „zginęła wiele razy”. Potem założono jej specjalny hełm, który stymulował słabym prądem odpowiednie części mózgu. To, co opisała, było niesamowite. Poczula jednocześnie metaliczny smak w ustach, niesamowity spokój i pewność siebie. Strzelała pewnie i skutecznie – „zabiła” wszystkich terrorystów. To doświadczenie spowodowało, że zaczęła

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.



XXIII TARGI
WYDAWCÓW
KATOLICKICH

XXIII TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

30 marca – 2 kwietnia 2017

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

ARKADY KUBICKIEGO

Nagroda FENIKS 2017



Informacje i zgłoszenia

swk@swk.pl

www.swk.pl



Patron medialny:



ORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR



ŁUKASZ MAJCHRZYK: Po raz kolejny wywołałeś zamieszanie w polskim sporcie, ogłaszając przejście do MMA. Trenujesz pod okiem Pawła Nastuli, który też ma takie doświadczenia...

SZYMON KOŁECKI: Dopóki tego mi ktoś z głowy nie wybije, dopóty jest to nieodwołalne. Mam szczęście trenować i sparować ze świetnymi chłopakami, pod okiem dobrych trenerów.

Jeszcze będąc prezesem Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów, mówiłeś podobno, że chętnie byś się sprawdził w tym sporcie?

Taki plan miałem już od wielu lat. Musiałem przedwcześnie zakończyć karierę ciężarowca z powodu kontuzji kolana. Wszystko zaczęło się w 2008 r., kiedy musiałem przejść operację. Potem jeszcze miałem osiem czy dziewięć zabiegów. Niewiele dały i musiałem wycofać się ze sportu. Jesienią 2014 r. zrobiłem zebranie zarządu, podczas którego poinformowałem, że o kolejną kadencję już się nie będę starał. Rok później wszyscy wiedzieli, że nie będę kandydował, bo planuję rozpocząć treningi MMA. Z kolaniem w dalszym ciągu jest problem, ale przez osiem lat nauczyłem się go tak używać, żeby go zbyt mocno nie obciążać.

Sprawa dopingowa braci Zielińskich nie miała nic wspólnego z tą decyzją?

Miała o tyle, że skończyłem pracę w PZPC trzy miesiące wcześniej, niż planowałem. Chciałem odejść 1 grudnia z końcem kadencji. Rozpoczęcie treningów miałem zaplanowane i tak na 20 października, bo startowałem jeszcze w zawodach w wyciskaniu, leżąc. Dzięki temu, że szybciej odszedłem ze związku, mogłem wszystko lepiej zaplanować.

Garnitur już uwierał i trzeba było coś zmienić?

Do dziś garnitur mnie nie uwiera i kilka nawet wisi w szafie na AWF, gdzie mieszkam, kiedy jestem w Warszawie, kilka innych mam w domu (śmiech). Nie chodziło o to, że coś mi przeszkadzało w pracy w związku. Zaplanowałem jedną kadencję, a później chciałem spróbować jeszcze sportu wyczynowego.

Nie możesz żyć bez sportu?

Ja ze sportu zostałem brutalnie wyrwany przez kontuzję. Nie mogłem sobie nigdy zaplanować końca kariery, odejścia. Mam nadzieję, że teraz uda mi się wszystko zrobić w lepszym stylu. Zaplanowałem na razie 3,5 roku kariery



Z Szymonem Kołeckim, sztangistą, olimpijczykiem rozmawia Łukasz Majchrzyk

Cios zawsze miałem mocny



w MMA i w tym czasie chciałbym stoczyć 10 walk, jeżeli te pierwsze pójdą zgodnie z planem. Jeżeli pojedynki będą – że tak powiem – rozczarowujące, to nie będę w to brnął. Mam nadzieję jednak, że wygram i potem sześć, siedem kolejnych jeszcze stoczę.

MMA jest sportem o tyle niewdzięcznym, że walki mogą się skończyć dość brutalnie i media obiegają zdjęcia oraz nagłówki: „Mistrz olimpijski znokautowany”...

Wiem, że jest takie ryzyko. Na szali jest moje nazwisko jako medalisty olimpijskiego i rekordzisty świata. Dlatego nie ma półśrodków i oddaję się całkowicie treningom. Ćwiczę nawet dziewięć razy w tygodniu, robię odnowę biologiczną, jestem na diecie, wypoczywam. Mogę przegrać, ale nie mogę niczego zaniedbać. Moje doświadczenie w sporcie zawodowym pozwala mi wykorzystywać wszystkie moje atuty. Mam nadzieję, że to wystarczy, by takich nagłówków nie było.

Paweł Nastula ostrzegał? Jego kariera ułożyła się podobnie: mistrzostwo olimpijskie, a potem starty w MMA.

Propozycji walk miałem dużo i praktycznie wszystkie opcje omawiałem z Pawłem oraz trenerem. Droga, którą obrałem, jest wynikiem właśnie tych narad. Na pewno moje pierwsze walki będą trudne, ale przede wszystkim mają mnie przyzwyczaić do tego, że zamykają mnie w klatce i każą się bić z przeciwnikiem. Po roku treningów i startów będzie można zrobić analizę „Co dalej?”.

Wytreinowany organizm to jedno, ale w MMA trzeba też umieć się bić. Masz jakieś doświadczenia?

Czuję, że równie ważna jest umiejętność zadawania ciosów, co i ich przyjmowania. Ciosy, które na mnie spadają, odwracają moją uwagę, nie pozwalają kontynuować akcji i to mi sprawia największą trudność. Muszę przywyknąć do uderzeń pięścią, kopnięć. Cały czas

trenuję też kopnięcia, obalenia, walkę w parterze, zapasy, ale nie skupiam się na czymś konkretnie. Nigdy jednak nie miałem żadnego doświadczenia w sztukach walki.

Judapasy?
Nie.

Walka na ulicy?
Bardzo rzadko. Nie więcej niż przeciętnie.

Szymon Kołecki był grzecznym chłopakiem?
Nie byłem nigdy konfliktowy, przynajmniej na ulicy (śmiejch).

Ten sport kojarzy się z wytatuowanym na całym ciele Marcinem Różalskim, mistrzami, którzy lądują w areszcie z poważnymi zarzutami.

Mnie się akurat MMA w ten sposób nie kojarzy. Dla mnie to jest po prostu sport, a ja jestem sportowcem. Dla mnie to przygoda i zwróciłeś mi uwagę na tę stronę MMA, chociaż jakby się dobrze zastanowić, to faktycznie taka twarz MMA też istnieje. Ludzie, którzy mieli problemy z prawem, trafiają do tego sportu, bo potrafią się bić, bo byli dobrzy „na ulicy”, bo umieją znieść ból.

A jak ty znosisz ból?

Jeszcze nie wiem i właśnie dlatego potrzebuję tych trzech pierwszych walk, bo sparingi nie oddadzą tego, co się dzieje w klatce. Podczas sparingów mamy ochraniacze na nogach, duże rękawice, zakładałam jeszcze kask. Na sparingach radzę sobie

dobrze, ale prawdziwą odpowiedź przyniesie prawdziwa walka.

Nie boisz się tego, że będziesz maskotką, celebrytą?
Mariusz Pudzianowski po rozpoczęciu kariery w MMA musiał sobie najpierw poradzić z tą etykietką.

Nie obrażam się, jeśli ktoś mówi, że jestem po to, by przyciągnąć zainteresowanie. Najpierw muszę stoczyć kilka walk i udowodnić swoją wartość. Jeśli ktoś chce, to ma prawo nazywać mnie „maskotką”. Na wszystko w życiu trzeba sobie zapracować. Nie przyszedłem tylko zarobić pieniądze, ale także osiągnąć wysoki poziom sportowy.

Walki w MMA mają być widowiskowe. Ma się łać krew?

Najlepiej nie moja (śmiejch). Trudno powiedzieć, jak będzie. Taktykę ustawia się pod przeciwnika. Nie boję się walki w żadnej płaszczyźnie, ale zawsze ją będę tak prowadził, żeby była skuteczna. Nie będę się starał za wszelką cenę walczyć efektownie, bo brakuje mi doświadczenia.

Największe atuty są tam, gdzie Szymon Kołecki może użyć siły?

Cios zawsze miałem mocny. Wyprowadza się go z nogi, a ja nogi zawsze miałem silne jako ciężarowiec. Potrafię przewracać, kontrolować w parterze, ale to wszystko jest do określonego poziomu. Jeśli miałbym walczyć z prawdziwym mistrzem, to pewnie bym sobie nie poradził.

Co mówili koledzy i rodzina?

Większość kolegów jest bardzo ciekawa moich walk, ale na początku nie dowierzali, że to wszystko jest serio. Kilka osób było zaskoczonych, ale tak pozytywnie. Spotkałem się też z kilkoma opiniami, zwłaszcza trenerów, którzy mówili, że nie rozumieją tej decyzji, bo uważają, iż walki w klatce są zezwierzeciem. Szanuję ich zdanie i powiem, że

nawet oni mi kibicują. Padły argumenty, że medaliście olimpijskiemu się „nie godzi”. Ja to traktuję jako sport i mam nadzieję, że to nie wpłynie na ocenę moich dokonań z okresu kariery w podnoszeniu ciężarów. To jest ryzyko. Mogę przegrać, ale mogę też wygrać.

Gdybyś dostał propozycję walki z Pudzianowskim?

Mariusz jest od wielu lat moim bardzo dobrym kolegą, którego podziwiałem za osiągnięcia w zawodach strongmanów, a jeszcze bardziej podziwiam za to, co zrobił w MMA. Mariusz toczył równe walki z wybitnymi zawodnikami i ja mogę tylko marzyć o czymś takim. Jeśli dostałbym propozycję walki z Mariuszem Pudzianowskim, tobym ją rozważył, chociaż bardzo trudno byłoby się bić z kolegą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: TIMEX IQ+ MOVE

Najnowszy produkt firmy Timex to propozycja dla eleganckich miłośników dyskretnych gadżetów. Gdy spojrzymy na ten zegarek, bardzo trudno jest bowiem się domyślić, że jest to czasomierz inteligentny.

Timex IQ+ Move ma tradycyjną okrągłą kopertę i tradycyjny stylowy wygląd. Jest lekki. Cienki. Również jakość wykonania jest bez zarzutu. „Analogowy smartwatch” mierzy liczbę zrobionych kroków, pokonany dystans oraz wylicza liczbę spalonych kalorii. Tych wartości nie zobaczymy jednak na tarczy zegarka – aby je sprawdzić, należy za pomocą Bluetooth połączyć zegarek ze smartfonem. W aplikacji Timexa (dostępnej na telefony z systemem zarówno Android, jak i iOS) można również zobaczyć efekty monitorowania przez czasomierz naszego snu (w smartfonie można sprawdzić, ile godzin przespał się, i zobaczyć, jak długo trwała faza snu głębokiego oraz płytkiego). Za pomocą smartfona ustalimy także swoje dzienne cele. Dzięki temu zegarek na analogowej tarczy na bieżąco będzie pokazywał, jaki procent planu już udało nam się wykonać (możemy wybrać albo liczbę kroków, albo pokonany dystans). Zegarek w miarę precyzyjnie wskazuje liczbę zrobionych

kroków. Nieco zbyt optymistycznie szacował jednak pokonywany przeze mnie dystans.

Wśród zalet tego modelu można wymienić odporność na zanurzenie w wodzie (można w nim pływać, zmywać i brać prysznic), możliwość podświetlenia tarczy, a także brak konieczności pamiętania o tym, aby poza smartfonem do gniazdka regularnie podłączać również smartwatch. Timex IQ+ Move do działania wykorzystuje bowiem jedynie standardową baterię, która – według producenta – powinna wytrzymać bez wymiany mniej więcej rok.

Niestety, jak to zwykle bywa, „coś za coś”. Poważną wadą tego modelu Timexa jest bowiem brak wielu podstawowych funkcji, które są w większości konkurencyjnych inteligentnych zegarków. Próżno jest więc szukać powiadomień o otrzymanych wiadomościach, e-mailach i nieodebranych połączeniach, o możliwości pro-

wadzenia rozmów przez zegarek nie wspominając. Model ten nie ma również nawet tak podstawowej rzeczy w smartwatchach jak pulsometr. Również sam proces synchronizacji danych mógłby być nieco przyjaźniejszy dla użytkownika.

Timex IQ+ Move nie jest więc typowym smartwatchem, lecz raczej eleganckim „zegarkiem hybrydowym”. Produkt ten może się sprawdzić np. w przypadku biznesmenów, którzy nie chcą zamieniać tradycyjnego czasomierza na nowoczesny gadżet, a którzy chcieliby, by ich zegarek miał chociaż najbardziej podstawowe funkcje motywujące do bardziej aktywnego spędzania czasu. Osoby, które szukają prawdziwego smartwatcha, powinny jednak sprawdzić produkty, które oferują więcej dodatkowych funkcji.

Timex IQ+ Move jest dostępny w wersji męskiej i damskiej. Cena: 759 zł. ©©

Jacek Przybylski



BYĆ JAK FRED ASTAIRE

Lata temu próbowałem nauczyć się tańczyć, co w praktyce przypominało tresurę niedźwiedzia w rosyjskim cyrku; z tą różnicą, że w moim przypadku okazało się to syzyfową pracą.

Pierwsza próba podjęta przez moją miłość z czasów licealnych omal nie zakończyła się tragicznie lotem do betonowej piwnicy, druga –

specjalny kurs – totalną kompromitacją. Pamiętając jednak, że do trzech razy sztuka, poważnie zastanawiam się nad zakupem Rhythm Smart Dancing Shoes, czyli specjalnych butów do nauki „dylania” po parkiecie. Nie, nie obawiajcie się – inaczej niż w rosyjskim cyrku tu nikt nie razi prądem w stopy.

Rhythm Smart Dancing Shoes to po prostu wygodne, inteligentne buty z wbudowanymi czujnikami, analizatorami, żyroskopami i elektronicznym trenerem. Działają na dwa sposoby: poprzez wizualizację w specjalnej aplikacji smartfonowej i przez system vibracji wewnątrz buta. Generalnie działa to mniej więcej na zasadzie: łaskocze w palec – robisz krok w bok, drapie w piętę – kręcisz pupą. Przy tym wszystkim czujniki analizują poprawność ruchów i rytm oraz przekazują dane do aplikacji. Urządzenie nie tylko szkoli, lecz także rozpoznaje wiele rodzajów tańca – od klasycznych do współczesnego hip-hopu. Do tego oczywiście dochodzą punktowanie i ocenianie postępów, licznik spalonych kalorii oraz możliwość komuniko-

wania się z innymi użytkownikami samotnączących butów. Projektanci Rhythm Smart Dancing Shoes zbierają na profilu Indiegogo środki niezbędne do uruchomienia produkcji i tam też można je zamówić w przedsprzedaży.

NIEZNISZCZALNE SŁUCHAWKI

Jeżeli ktoś zamiast płaś woli jednak delektować się w skupieniu muzyką, w dodatku odtwarzaną prosto do ucha, to powinien przyrzeć się słuchawkom bezprzewodowym odpornym na wodę, pył i kurz oraz uderzenia. Podobno mają być niezniszczalne, przetrwają burzę piaskową oraz utopienie w basenie – tak przynajmniej przekonują producenci słuchawek o nazwie Rhinos. Niekoniecznie ich niezniszczalność to zwykłe hasło reklamowe – Rhinos mają wodoodporność na poziomie IPX6 i wytrzymują temperatury do -20 st. C. Żeby utrudnić życie, dodano do nich aż sześć przycisków (pięć na lewej słuchawce i jeden samotny na prawej), które służą do pogłaśniania lub ściszenia muzyki, przesuwania utworów, komunikacji z telefonem i odbierania połączeń. Bateria pozwala na nieustanne korzystanie ze słuchawek przez osiem godzin przy głośności podkręconej na full. Do sprzedaży trafią w lipcu w cenie ok. 400 zł. ©©

Wojciech Wybranowski



CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

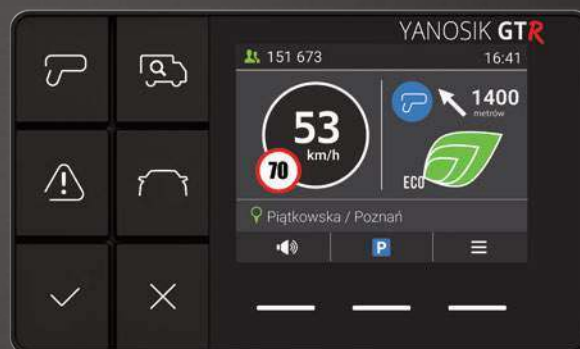
PRENUMERATA DWULETNIA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ YANOSIK GTR WRAZ Z ROCZNĄ TRANSMISJĄ DANYCH



Yanosik GTR

Najsukuteczniejszy komunikator dla kierowców.
Ponad 1,5 mln unikalnych użytkowników miesięcznie.
Bądź informowany o aktualnej sytuacji na drodze!

- **ostrzeżenia** m.in. o kontrolach prędkości, fotoradarach i wypadkach,
- wygodna funkcja **mobilnego parkomatu**,
- wskaźnik **EKOjazdy** dla obniżenia kosztów paliwa i napraw,
- specjalny tryb dla **motocyklistów**,
- **automatyczne** uruchamianie bez konieczności montażu.



490 zł

oszczędzasz 775 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 398251d2ad



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Ruskie z grzybami i kapustą

Pierogi wydają się dziś jednym z głównych dań, które odróżniają polską kuchnię od innych. Tymczasem przyszły do nas ze Wschodu, z Rusi, zapewne jeszcze w średniowieczu. Jednym z pierwszych odnotowujących je źródeł historycznych są rachunki króla Władysława Jagiełły z końca XIV w.

Sledząc późniejszą kuchnię dworską, spotykamy bardzo mało wzmianek o nich. W XVII w. były chyba zbyt plebejskim daniem jak na wydelikaczone gardło Stanisława Czarnieckiego, bo w „Compendium ferculorum” znajdujemy tylko przykłady pierogów na słodko – z konfektami, czyli smażonymi powidłami różanymi, z owoców bzu, śliwkowymi, a także z kawałkami jabłek i gruszek. Znacznie częściej znajdują zastosowanie jako dodatek np. do potrawy przygotowywanej z pieczonego kapłona podlewane go rosółem, do którego wrzucano pierożki z jajek, mąki i nerki cielęcej siekanej drobno z łojem. Podany jest też sposób robienia pierogów z ciasta francuskiego – z „najpiękniejszej pszenicznej” mąki, rozrobionej zimną wodą i białkami z jajek.

Znacznie więcej przepisów znajdujemy w kuchni Radziwiłłów, tradycyjnie bliższej kulturze litewskiej i ruskiej. Są tam przede

wszystkim pierogi z twarogu w maśle z białkami z jajek i mąką pszenną. Ciekawe, że w wielu przepisach pod ich mianem występują różnego rodzaju kluski wyrabiane „na kształt kiszek” i smażone powoli na oleju, ale niezawijane w ciasto. Natomiast niezwykle, ale niestety także niejasnym przepisem jest receptura na duże pierogi pieczone w liściach kapusty. Przygotowuje się je z twarogu, do którego wbija się cztery jajka i dodaje trochę soli. Osobno należy rozczynić ciasto na drożdżach z pół litra mleka, pół litra jajek i takiej samej ilości masła. Do tego wszystkiego dodaje się pszennej mąki i drożdży, wyrabiając ciasto „gęste jak na pączki postne”. Następnie bierzemy liście kapusty, płuczemy, suszymy, układamy na desce, łyżką kładziemy na każdy z nich ciasto i rozcieramy tak, aby pokryło jedną stronę. Następnie bierzemy łyżkę twarogu, oblepiamy ją liściem tak, aby na zewnątrz znalazła się jego część nieposmarowana ciastem, i pieczemy w piecu. Po przyrządzeniu takiego pieroga należało najpierw zedrzeć zeń kapuściany liść, a dopiero potem polać go masłem.

I wreszcie sposób na pierogi z twarogiem w maśle zwane „małymi” – przygotowywane zupełnie jak współczesne – z tego samego

twarogu i ciasta, tyle że należało rozwałkować je na placuszki, kłaść w każdy trochę nadzienia i oblepiać, a następnie gotować we wrzącej wodzie. Przeciwnie niż dziś do stołu podawało się je razem z wodą, tyle że dorzucano do niej jeszcze sporą łyżkę masła.

Co dziwne, nie ma pierogów w „Kucharzu doskonałym” z końca XVIII w., co pokazuje, że zawiera on dania przepisane z kuchni francuskiej. Wracają już jednak za chwilę we wszystkich książkach kucharskich z XIX w. W „Kucharzu wielkopolskim” podany jest przepis na pierogi z grzybami podawane jako dodatek do zup grzybowych lub barszczu. Nowością są pierogi „ruskie” z serem lub marmoladą z jabłek. Mogą też być napełniane gotowaną i siekaną kapustą. Bliższe zapoznanie się z przepisami Lucyny Ćwierczakiewiczowej, najślawniejszej kucharki drugiej połowy XIX w., pokazuje, że wszystkie pierogi nazywane były wówczas ruskimi. W sławnej publikacji „365 obiadów” z 1870 r. znajdujemy bowiem zarówno pierogi ruskie z mięsem, jaki i z kapustą, z rybą mieszaną z jajkiem, a nawet z ryżem. Nazwa „ruskie”, która odnosi się tylko do tych z serem na słono, to wymysł naszych czasów. ©



Pierożki smażone z konfektom różanym

Rozczyniamy trochę pszennej mąki z drożdżami, odstawiamy na jakieś pół godziny, aby ciasto wyrosło. Następnie rozwałkujemy je, za pomocą szklanki wycinamy małe kawałki – dajemy do środka każdego łyżeczkę konfitur z dzikiej róży albo powideł. Oblepiamy dokładnie i smażymy na głębokiej oliwie albo oleju. Można je też upiec. Pocukrowane dajemy na stół.

Pierogi alias kluski z sera owczego

Bierzemy świeży owczy ser, rozcieramy go, wbijamy kilka jajek, mieszamy razem, dodajemy trochę pszennej mąki, aby ciasto nie kleiło się do rąk. Dodajemy cynamonu, cukru, rodzynków. Wyrabiamy z tego niewielkie pierożki, które kładziemy na patelni posmarowanej masłem, potem rozbijamy jajko i z wierzchu smarujemy je białkiem, następnie pieczemy w piecu.

SŁAWOMIRA JASTRZĘBOWSKIEGO SPOSÓB NA KURCZAKA

Chodzę na siłownię i pokazuję to w mediach społecznościowych pod hasłem: „Biceps dla Polski”, gdzie trochę żartuję i się wygłupiam, a trochę motywuję ludzi. Odzew jest taki, że wiele osób pyta mnie, jak ćwiczę i co jem. Jest taki moment – najczęściej gdy przygotowuję się do lata – że ścinam kalorie i zmniejszam poziom tkanki tłuszczowej. Wtedy najczęściej przygotowuję kurczaka z ryżem na różne sposoby. Najlepiej jest w tym czasie gotowane mięso z brązowym ryżem, ale po tygodniu ma się już takiego kurczaka dość, więc trzeba wymyślać na niego najróżniejsze sposoby. Jednym z moich ulubionych jest kurczak z jabłkiem i bananem. To potrawa, która ma niewiele kalorii, ale daje siłę, bo chodzi o to, żeby pomimo ścinania tkanki tłuszczowej można było ćwiczyć.

KURCZAK Z JABŁKIEM I BANANEM

Składniki:

- 1 kg piersi kurczaka
- 2 jabłka
- 1 banan
- 2 cebule
- olej kokosowy
- łyżeczka cynamonu
- cukier
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Siekamy drobno cebulę i podsmażamy ją na oleju kokosowym. Dodajemy do tego pół łyżeczki cukru. Kroimy pierś kurczaka w drobne kawałeczki i wrzucamy na patelnię. Obieramy jabłka i banana. Siekamy jak najdrobniej i dodajemy

do kurczaka. Przykrywamy pokrywką i smażymy na małym ogniu co najmniej kwadrans, nie zapominając o mieszaniu. Dodajemy łyżkę cynamonu, szczyptę soli i pieprzu. Smażymy kilka minut do czasu, aż jabłka będą miękkie. Podajemy z gotowanym ryżem. ©© *oprac. raw*

Sławomir Jastrzębowski jest dziennikarzem, redaktorem naczelnym Grupy Super Express.



FOT. WZYSZTÓF KUCZYŃSKI/FORUM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Cukier nie krzepi

O tym, że cukier nie jest szczególnie polecanym składnikiem diety, wiedzą prawie wszyscy. Trudno uwierzyć, że jeszcze całkiem niedawno człowiek, który wystąpił z teorią o jego szkodliwości, został zmasakrowany przez lobby żywieniowców. Był to brytyjski naukowiec John Yudkin, autor książki „Pure, White, and Deadly: How Sugar Is Killing Us and What We Can Do to Stop It” („Czysty, biały i zabójczy: jak cukier zabija i co możemy zrobić, by to zatrzymać”). Ze swoją teorią wystąpił w latach 70. i – jak widać, – timing okazał się dla niego nieodpowiedni. Prominentni żywieniowcy w koalicji z przemysłem spożywczym zrobili wszystko, żeby Yudkina zmiażdżyć i ośmieszyć. Umarł w zapomnieniu w roku 1995.

Teraz wiatry wieją z innej strony. W oficjalnych zaleceniach z cukrem walczą rządy USA, Wielkiej Brytanii i Francji, u nas w szkołach zakazano nie tylko coli, lecz także zbyt słodkich drożdżówek.

W telewizji francuskiej obejrzałam niedawno wywiad z dziennikarką Danièle Gerkens. Podjęła ona wyzwanie godne swoich czasów, ale w aspekcie osobistym naprawdę odważne: wyeliminować z diety cukier przez cały rok. Odstawić jogurty, soki, dżemy, dania przemysłowe, słodczyce. Nie zrobiła tego, żeby schudnąć, tylko by lepiej się poczuć. Napisała o tym książkę „Zéro sucre”.

Przez pierwsze tygodnie doświadczenie było frustrujące. Przełom nastąpił po dwóch miesiącach, a potem było coraz lepiej: „Całkiem straciłam apetyt na coś słodkiego. Na widok wspaniałego tortu zastanawiałam



się tylko, jak on może smakować”.

Gerkens przyznała, że najgorsza w całym doświadczeniu była presja społeczna. Nawet jej matka nie mogła zrozumieć, że córka nie chce spróbować ciasta, które dla niej upiekła.

Jednak rezultat eksperymentu okazał się zachęcający: Gerkens schudła 6 kg, przestała chorować na zatoki, ma lepszą cerę i skórę, dużo więcej energii. Po zakończeniu eksperymentu wróciła do niektórych słodczych, ale je ich o wiele mniej niż wcześniej.

Teraz. A parę lat temu, w roku 2009, Robert Lustig, pediatra z Uniwersytetu Kalifornijskiego, specjalista od otyłości dziecięcej, wygłosił wykład pt. „Gorzka prawda”. Jego teza: za epidemię otyłości w USA odpowiedzialna jest fruktoza, którą dodaje się do prawie wszystkich przemysłowych produktów spożywczych.

Na końcu wystąpienia (6 mln odsłon na YouTube) prof. Lustig dodał: „Do tego wszystkiego John Yudkin doszedł 34 lata temu. A ja w księgarniach nawet nie znalazłem jego książki”. ©©

LATAJĄCY SAMOCHÓD AIRBUSA

Francuski koncern lotniczy coraz mocniej wchodzi w branżę motoryzacyjną. Jego przedstawiciele przekonują, że już w niedalekiej przyszłości zamiast jeździć, będziemy latać. Wykorzystanie nieba ma rozładować zakorkowane drogi. Opracowany wspólnie z firmą Italdesign system PopUp wykorzystuje m.in. specjalne pojazdy w kształcie kapsuły pasażerskiej. Mogą się one poruszać zarówno po ziemi, jak i w powietrzu. Wykorzystujące sztuczną inteligencję kapsuły są w pełni autonomiczne – rola pasażera ogranicza się więc do zamówienia transportu – oczywiście za pomocą aplikacji – i wybrania celu podróży.

TOYOTA I-TRIL...

Czym będą jeździć mieszkańcy w 2030 r.? Japońscy projektanci sądzą, że będzie to auto przypominające ich model i-TRIL. Zaprezentowany w Genewie elektryczny pojazd koncepcyjny, potrafiący poruszać się bez kierowcy, może zabrać na pokład trzy osoby (jedną z przodu i dwie z tyłu). Wsiadanie ułatwiają odchylające się ku górze drzwi motylkowe. Bagażnika nie ma w ogóle. Tradycyjną kierownicę zastąpiono wolantem. Na nim umieszczono przyciski gazu i hamulca, które zastąpiły starodawne pedały. W kabinie próżno szukać też liczników – wszystkie informacje wyświetlają się bowiem na szybie. Japończycy zapewniają, że auto zostało zaprojektowane tak, aby dawać użytkownikowi jak najwięcej frajdy z jazdy. Za przyjemność prowadzenia i jednocześnie zmniejszenie ryzyka choroby lokomocyjnej u pasażerów odpowiada technologia Active Lean, czyli system aktywnego przechylania samochodu na zakrętach (do 10 stopni). Akumulator ma pozwolić na jednym ładowaniu przejechać 200 km.

... I INTELIGENTNE OPONY

Wraz z samochodem koncepcyjnym Toyoty zadebiutowały futurystyczne opony. Goodyear CityCube, wykorzystując specjalną konstrukcję bieżnika oraz nowoczesne czujniki, potrafi przekazywać do komputera pokładowego informacje o warunkach panujących na drodze. Ma to zwiększyć skuteczność działania automatycznych systemów zapobiegania kolizjom.

PORSCHE W WERSJI KOMBI

Niemiecki producent luksusowych samochodów kolejny raz zaskoczył swoich fanów. Panamera Sport Turismo to pierwsze auto tej



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4)



marki w wersji kombi. Praktyczne porsche może pochwalić się bagażnikiem o pojemności 520 l lub 1390 l po złożeniu tylnych siedzeń. Auto mierzy 5,049 m długości, 1,937 m szerokości i 1,428 m wysokości. Niemcy chwalać się, że luksusowe kombi jest wyposażone w aktywny spoiler, który w zależności od prędkości zmienia siłę docisku. Za wersję Turbo z silnikiem o mocy 550 KM trzeba zapłacić równowartość niemal 800 tys. zł. Podstawową odmianę kombiaka od porsche z silnikiem o mocy 330 KM można kupić za jedyne 450 tys. zł.

PRZEŁOMOWE MITSUBISHI

Salon Samochodowy w Genewie był – według Japończyków – punktem zwrotnym w historii marki. Azjatycka korporacja pokazała



bowiem pierwszy z modeli nowej generacji. Klienci mają pokochać Eclipse Cross m.in. za muskularne nadwozie przypominające coupé. Mitsubishi znacząco odmieniło też wnętrze, w którym Japończycy zainstalowali m.in. nowoczesny kokpit, dotykowy ekran oraz wyświetlacz przezierny typu Head-Up. Pojawił się też touchpad, którym można m.in. regulować głośność i sterować funkcjami multimedialnymi. Auto jest też wyposażone w systemy wspierające bezpieczną jazdę. Kierowca zostanie więc ostrzeżony, jeśli w martwym punkcie lusterek będzie akurat jakiś pojazd, a także przed samochodem, którego może nie widzieć, wyjeżdżając z parkingu. Eclipse Cross potrafi

również autonomicznie zahamować i uniknąć stłuczki oraz potrącenia pieszego, nawet jeśli kierowca zagapi się w korku. Model Eclipse Cross będzie dostępny w dwóch wersjach silnikowych: z czterocylindrową, turbodoładowaną jednostką benzynową o pojemności 1,5 l oraz z turbodieslem o pojemności 2,2 l. W Polsce do salonów ma trafić jeszcze w 2017 r.

CROSSOVER DLA FUTRZAKÓW

Nissan zaprojektował rodzinne auto z bagażnikiem wyjątkowo przyjaznym dla czworonogów. X-Trail 4Dogs jest wyposażony m.in. w składaną rampę, ułatwiającą futrzakom wchodzić do pojazdu, a także w przysięg i suszarkę – dzięki którym można bez obaw wpuścić do auta nawet najbardziej kudłatego miłośnika błotnych kąpiel. Projektanci zainstalowali też w bagażniku miskę zabezpieczoną przed rozlewaniem się wody, a także specjalny podajnik z karmą. W bagażniku mogą wygodnie podróżować dwa czworonogi. System kamer pozwala kierowcy podglądać swoje ukochane futra, a czterołapnym pasażerem obserwowanie na ekranie, co robi ich pan. ©©



STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

LAKE HILL RESORT & SPA

ZAINWESTUJ W APARTAMENT Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

JUŻ OD **199 000 zł**



8%

stopa zwrotu

10 lat

umowa najmu
z operatorem
(5+5)

30 lat

doświadczenia
operatora



widok na góry
i jezioro



wykończenie
i wyposażenie w cenie



22 299 11 55

sprzedaz@lakehill.pl

www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.
Podana cena jest ceną netto, cena brutto 244 770 zł i nie obejmuje miejsca postojowego,
którego koszt to 10 000 zł netto, 12 300 zł brutto.



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Lekcja realizmu

MARCIN MAKOWSKI: Opozycja w szampańskich nastrojach, rządowa dyplomacja również. Jedni uważają, że wybór Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej proporcją głosów 27:1 to znokautowanie PiS. Drudzy – że wreszcie postawił się Unii i obnażył jej niedemokratyczne standardy. Coś cię w tej historii zaskoczyło?

MATTHEW TYRMAND: Patrząc z boku, zaskakujący może być brak poparcia dla kandydatury Saryusza-Wolskiego ze strony Węgier czy Wielkiej Brytanii, ale moim zdaniem nie było cienia szans, aby Theresa May zachowała się inaczej. Przy negocjacjach korzystnych warunków Brexitu konfliktowanie się z największymi partnerami gospodarczymi w Europie byłoby politycznym strzałem w stopę. Poza tym Tusk jest w tej chwili coś winny brytyjskiemu rządowi, który może wykorzystywać okazane mu poparcie do polepszenia swojej pozycji. Słuchając aktualnych wypowiedzi szefa Rady Europejskiej, ten scenariusz zdaje się urzeczywistniać na naszych oczach. Faktycznie, mając na uwadze osobiste relacje Kaczyńskiego i Orbána, dużym rozczarowaniem dla rządu może być pragmatyczne zachowanie Węgier i w ogóle całej

Grupy Wyszehradzkiej. To nauczka dla polskiej dyplomacji, która musi zrozumieć, że wspólne kolacje i poklepywanie się po plecach nie mają żadnej mocy sprawczej, gdy przychodzi do realnego szacowania sił na zamiary.

Jak sądzisz, dlaczego mimo wszystko Jarosław Kaczyński zdecydował się forsować twardy opór przeciw Tuskowi? Przecież musiał mieć świadomość, że to wyścig przegrany na starcie.

Myślę, że duże znaczenie musiały mieć osobista antypatia oraz autentyczne zaangażowanie byłego premiera w działania polskiej opozycji. Poza tym, pomimo wygranej Tuska, sprzeciw Polski pozostawia rysę na jego dziedzictwie. Jest w końcu pierwszym kandydatem na szefa Rady Europejskiej, który został wybrany wbrew własnemu krajowi. Nie przeceniałbym również pogorszenia relacji z unijnym establishmentem. Przecież i tak od półtora roku praktycznie nikt w Brukseli nie traktuje PiS poważnie, więc gorzej już raczej być nie może. Z dyplomatycznego punktu widzenia to była niewymuszona w swojej skali

porażka, ale polityka zagraniczna opiera się na działaniu sytuacyjnym. Długodystansowo, pomimo odmiennego zdania w sprawie wyborów na szefa RE, państwa V4 mają więcej zbieżnych interesów z Warszawą niż z Paryżem czy Berlinem i to się raczej nie zmienia. Sztuka polega teraz na tym, aby MSZ nie obrażało się na cały świat, ale podeszło do podobnych wyzwań w przyszłości z większym pragmatyzmem, który cechuje choćby Viktora Orbána. W jakimś sensie udzielił on Polsce lekcji politycznego realizmu, którą warto wziąć sobie do serca.

Myślisz, że Jarosław Kaczyński wyciągnie podobne wnioski? Z boku to wygląda jak triumf polskiego mesjanizmu: „Polegliśmy na ołtarzu służnej sprawy uzbrojeni z moralną wyższość”.

Paradoksalnie za to lubię Kaczyńskiego. W świecie cyników on faktycznie wyznaje wartości, za którymi bez kompromisu pójdzie na barykady. Jest w tym spójny. Oczywiście brak pierwiastka makiaweliczności czasami prowadzi w ślepy zaułek, ale raz jeszcze to podkreślę – Polska powinna układać się z Unią, ale nie za wszelką cenę. Europa w tej chwili staje się coraz bardziej eurosceptyczna – od Francji przez Włochy do Holandii do głosu dochodzą politycy 10 razy bardziej radykalni od Kaczyńskiego w kwestii fiaska integracji europejskiej. Mając to na uwadze, Polska powinna się w tej chwili skupić na zacieśnianiu strategicznego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi i z NATO, bo to jedyni realni sojusznicy Warszawy w geopolitycznej rozgrywce przyszłości. Naturalnie poza słoneczną republiką San Escobar. Owszem, Tusk dzisiaj wygrał, ale im więcej takich Tusków w Brukseli, tym bliższy jej koniec. ©©

RYŚ ANDRZEJ KRAUZE





od teraz
Telewizja Republika
ZA DARMO w Internecie

www.telewizjarepublika.pl



republika



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Skandal na uniwersytecie

W 2008 r. Uniwersytet Jagielloński zorganizował spotkanie „Czy Trybunał w Strasburgu zalegał z aborcją? Wyrok Alicja Tysiąc przeciwko Polsce”, którego główną prelegentką była prawniczka Alicja Tysiąc, a samo spotkanie reklamował plakat autorstwa Doroty Nieznalskiej przedstawiający kobiece podbrzusze oplecione koroną cierniową, podkreślającą chrystusowe wręcz męczeństwo Alicji Tysiąc, którą życie jej córki kosztowało pogorszenie wzroku o kilka dioptrii.

Ten sam Uniwersytet Jagielloński odwołał właśnie spotkanie z Rebecą Kiessling, która – tak jak córka Alicji Tysiąc – żyje tylko dzięki temu, że jej matce odmówiono aborcji. Charyzmatycznej Amerykanki przestraszyły się także inne szacowne uniwersytety, na których miała zaplanowane spotkania. Jedno z nich się jednak odbyło, a dzięki „wstrząsającej” relacji dziennikarki TOK FM możemy się przekonać, przed jakimi okropnościami uratowały społeczność akademicką Dziewuchy Dziewuchom nakręcające protest przeciwko Kiessling.

ANNA GMITEREK-ZABŁOCKA (RADIO TOK FM): Tu nie chodzi o udział czy brak udziału w tym wykładzie, ale

o legitymizację przez uczelnię tego typu wydarzeń – mówi jedna z kobiet. – Tworzy się sztuczną narrację, jakoby osobiste poglądy prelegentki miały być faktami naukowymi, bezsprzecznym potwierdzeniem rzeczywistości. Przeciwko temu protestujemy, na to nie może być zgody – mówi Artur Janczuk, student UMCS. Na scenie pojawia się wyglądająca dość młodo blondynka, rozpuszczone włosy, sukienka mini, buty na wysokim obcasie. Trzeba przyznać, że bije od niej dobra energia, jest uśmiechnięta. Sprawia wrażenie osoby otwartej i przyjaznej. Jej wykład nie ma jednak charakteru naukowego, nie przekazuje wiedzy jako takiej. Opowiada jedynie o sobie. No właśnie, mówi JEDYNIE o sobie, ale... Przekaz jest bardzo emocjonalny, stosuje pauzy, momentami łamie jej się głos, momentami mam wrażenie, że płacze. Potrafi doskonale akcentować to, co chce, by najmocniej wybrzmiało. Momentami przemawia jak wytrawny prawnik, innym razem niemal jak dziecko. Jej słowa są ważne, przemyślane, trafiające do wyobraźni odbiorcy. – Typowy przekaz podprogowy – słyszę od jednej z kobiet, która jest na wykładzie. Rzeczywiście, spotkanie nazwane wykładem to tzw. human story.

Ludzka historia w mojej ocenie perfekcyjnie przygotowana i opowiedziana. Widać, że jej opowieść trafia do ludzi. Bez wątpienia opowieść Kiessling to historia pełna emocji i wzruszeń. Obyło się bez naukowego języka, a cel był jeden – opowiadając konkretną historię, mówi się słuchaczom, że z takiej ciąży po gwałcie – może wyrosnąć normalna, wykształcona, elegancka osoba. Taka jak my wszyscy. Po wykładzie od jednej z kobiet słyszę pytania: Czy tak będą teraz wyglądać lekcje wychowania do życia w rodzinie albo religii w szkołach? Czy będą to konkretne, barwne historie, które mogą przemawiać do wyobraźni? – Bo jeśli tak, to może być naprawdę złe – dodała moja rozmówczyni.

Czy do tej relacji trzeba coś jeszcze dodać? Moim zdaniem świetnie ujęła to, czego tak bardzo się boją środowiska pro-choice. Nie może być przecież tak, że do ludzi trafi wreszcie, że rozmawiając o aborcji, tak naprawdę rozmawiamy o życiu i nieżyciu kogoś bardzo realnego. Z tego niechcianego „zlepku komórek” może wyrosnąć „normalna, wykształcona, elegancka osoba. Taka jak my wszyscy”. Czy można się dziwić, że uniwersytety nie mogą dopuścić do szerzenia takich herezji? ©©

PODSŁUCHANE

Twórczość ludu

Czylio, panie prezesie, ogłasza my sukces?

Tak, Adam, przecież mamy to od dawna zaplanowane.

Dobrze. Ja sobie tu wypisałem kilka możliwych narracji.

Prześtań używać tego słowa, bo mi się z panią de Barbaro kojarzy. Narrację to masz w powieści.

No... ale to się tak w piarze nazywa. Jak mam mówić?

Mów o opowieści, historii, naszej wersji. Zresztą ja mam cię instruować? Ty dorosły, inteligentny człowiek jesteś.

Czyli... mam tu kilka opowieści.

Spisałem dla pana.

Pokaż no... To już mówiłem...

to też mówiłem... to mówiła Beata. „Pokazaliśmy im”

– to też już było. Następnym razem bardziej się postaraj, bo i bez ciebie na to wszystko wpadliśmy.

A tu to co jest?

A, nic takiego. Wyborca przysłał wierszyk. Przyniosłem tak dla śmiechu.

„Jak pod Grunwaldem w huku dział Jagiełło trwał jak skała, tak też w Brukseli mimo grózb nieporuszona trwała Beata Szydło, żeby nam Polska z kolan powstała”.

Mówiłem, że śmieszne. Poza tym pod Grunwaldem nie było dział.

Ale Krzyżacy mieli armaty, pisze o tym Długosz. Poza tym ty sobie z twórczości ludu nie żartuj. Roześlij to do ministrów. Niech się nauczą. Na pamięć! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Skała wymiany żołnierzy przypomina tylko to, co robiono w Armii Czerwonej pod koniec lat 30., w którą w takich ilościach, bez powodów merytorycznych, przetrzebiono. Później to naraziło ten kraj na ogromne straty”.

ŚLAWOMIR SIERAKOWSKI, szef „Krytyki Politycznej”, w „#dziendobryWP”

fot. Jerzy Gumowski



„Rebelia szpiegów”

Nigdy przedtem (nigdy wcześniej w historii USA) nowy prezydent zaczynający swoje urzędowanie nie miał aż tylu problemów z podległymi mu (przynajmniej formalnie) służbami specjalnymi. Naszpikowane mianowaniami Obamy — nawet szczególnie nie kryją swej wrogości wobec Trumpa i z cotygodniową niemal regularnością dokonują „przecieków” tajnych informacji, karmiąc media sensacjami „anonimowego” chowu wymierzonymi w bliskich współpracowników prezydenta oraz w dygnitarzy Białego Domu, co wymusza blokady stanowisk lub dymisje krępujące/klinczujące politykę waszyngtońską. Celem głównym jest osłabienie pozycji Trumpa. Szary obywatel, słysząc o tym (bo rzecz jest komentowana bez ogródek przez media całego globu), dziwi się, pytając: czemu on nie pogoni tego tałatajstwa w cholerę i nie mianuje własnych „chłopców” na miejsce bezczelnych sabotażystów? Otóż ze specsłużbami to nie jest takie proste, bo gwałtowne/masowe ruchy kadrowe mogłyby być dość groźne, i to nie tylko dla samego Trumpa, lecz przede wszystkim dla państwa. Myślę o państwie urzędowym — o państwie jako kraju (United States of America) — nie zaś o zakulisowym „*deep state*”, mocarnym manipulatorze z cienia, w którym „służbowcy” zawsze (i wszędzie) grają pierwsze skrzypce. Amerykańskie „*głębokie państwo*” było już parokrotnie napomykane przeze mnie tekstami dla „*Do Rzeczy*”, dziś więc nie o nim będę gadał, tylko o specsłużbach „*made in USA*” jako takich.

Bogactwo jankeskich służb wywiadowczych jest nieporównywalne z żadnym innym krajem, nawet z Rosją. Może dlatego, że Kreml zawsze kochał dużą centralizację, ułatwiającą kontrolę. Specsłużbowa „centralizacja” amerykańska to NSC (National Security Council — Rada Bezpieczeństwa Narodowego), swoista „*czapa*” nad agencjami wywiadowczymi, analogiczna do brytyjskiego Komitetu Połączonych Wywiadów. Podporządkowane jej są wszystkie służby wojskowe, np. AI (Army Intelligence, służba wywiadowcza wojsk lądowych), AFI (Air Force’s Intelligence, służba wywiadowcza lotnictwa), czy ONI (Office of Naval Intelligence, służba wywiadowcza marynarki wojennej). Własną służbę wywiadowczą ma w USA nawet Komisja Energii Atomowej. Spośród tych wszystkich służb (kilkadzieści, ważnych kilkanaście) główną jest wielce tajna NSA (National Security Agency — Agencja Bezpieczeństwa Narodowego; jej specjalności to łączność, kryptologia i wy-

wiad techniczny), choć dzięki popkulturze hollywoodzkiej i medialnej rolę czołową w świadomości publicznej grają CIA (wywiad) i FBI (kontrywiad). Notabene: obie te formacje — i Central Intelligence Agency, i Federal Bureau of Investigation — zupełnie się nie przejmują liniami granicznymi zakresu swych obowiązków, stąd często wchodzą sobie w paradę, przeszkadzając, a nawet tocąc okresowe twarde wojenki, co pozwala zbijać niezły grosz gawędziarzom relacjonującym później te wzajemne handryczenia, takim jak Mark Riebling („*Wedge. The Secret War between the FBI and CIA*”, 1994).

Trumpowi dokopuje teraz przede wszystkim CIA. Co prawda głośną dymisję prezydenckiego doradcy ds. bezpieczeństwa, generała Michaela Flynna, wymusiła podsłuchowymi nagraniami NSA, lecz ciągłe „*przeciaki*” do mediów (zwłaszcza lewicowych, jak „*The New York Times*”, „*The Washington Post*”, CNN, et cetera), zwane przez „*The Wall Street Journal*” „*wojną służb z Trumpem*”, a przez „*The New York Observer*” „*rebelią szpiegów*” — są głównie sprawką CIA. Znacząca część tych „*przecieków*” to ujawnianie tajnych informacji (lekczenie klauzul „*top secret*”, „*classified*”, itp.), będące ewidentnym łama-



„*too much monkey business*”



niem prawa. Ale dla CIA łamanie prawa nigdy nie stanowiło problemu, Agencja łamała prawa ludzkie i prawa boskie wręcz rutynowo odkąd powstała. Znamy to wszyscy dzięki produktom lewactwa hollywoodzkiego („*Zasady domina*”, „*Trzy dni «Konadora»*”, cały cykl z agentem Jasonem Bour-nem, i mnóstwo innych filmów), które mogą nas zżymać jako obsesyjne/maniakalne wieszanie psów na CIA, szkalowanie Agencji, lecz prawdą jest, że ma ona istotnie za uszami sporo brudów. W ciągu kilku dekad nie potrafiła nawet uchronić samej siebie przed wrogą penetracją, zwłaszcza sowiecką, czego kuriozalnym dowodem stał się fakt, że przez te kilkadziesiąt lat „*dział rosyjski*” CIA miała szefów będących... „*kre-tami*” rosyjskimi (legendarny „*Sasha*”, którego nigdy nie zidentyfikowano, a po nim Aldrich Ames). Nikita Chruszczow mrknął z kieliszkiem w rękę, przy stole, do wiceprezydenta Richarda Nixona, że USA i ZSRR marnotrawią ogromne sumy placąc tym samym ludziom. Nixon „*aluzję poniał*” i gdy został prezydentem próbował cokolwiek naprawić, jednak bez skutku.

Wśród rzeczonych brudów było (i dalej jest!) wspomaganie budżetu operacyjnego Agencji handlem narkotykami. Trwa to od lat 70. XX wieku i ma tragiczne konsekwencje nie tylko generalne („*koks*” na rynku),

lecz i okazjonalne, exemplum katastrofa samolotu Pan Am (1988) nad szkocką miejscowością Lockerbie (270 ofiar). Zachodnie specsłużby próbowały zwać winę na agentów Kaddafiego („*libijski ślad*”), co początkowo się udawało, bo „*kupiły*” fałszywkę media, lecz gdy holenderski sąd uniewinnił Libijczyków, ta wersja zaczęła się pruć i dzisiaj już wiemy (udowodnili to detektywi prywatnej firmy wywiadowczej Interfor Inc.), że samolot strąciła CIA, bo leciało nim czterech zbuntowanych pracowników Agencji chcących ujawnić w Waszyngtonie, iż jej libańska placówka zalewa amerykański rynek narkotykami z Bliskiego Wschodu.

Ważnym źródłem tajnych dochodów CIA stał się Afganistan. Niedługo po tym jak Amerykanie tam weszli, Agencja przejęła kontrolę handlu heroiną afgańską (z Afganistanu pochodzi 90% światowej heroiny, biznes ten generuje rocznie 1–1,5 bln dolarów; pytanie: jaka część tego zysku przypada dilerowi o nazwie CIA?). Drugi kierunek to Ameryka Łacińska, czyli kokaina. Juan Sebastián Marroquín (syn czołowego narkobaronu kolumbijskiego, nieżyjącego już Pablo Escobara) ogłosił właśnie kolejne rewelacje wspominkowe (książka, film, wywiady), zapewniając, że tatuś był mocno powiązany z CIA, i że Agencja robiła kokosowe (pardon: kokainowe) interesy dzięki tej kooperacji, a zarobioną tak „*kasę*” przeznaczała na zwalczanie w Ameryce Południowej komunizmu. Marroquín winien się mieć na baczności, bo demaskowanie „*koksowniczej*” przedsiębiorczości CIA jest rzeczą bardzo niebezpieczną. Dwie dekady temu (1998) jako pierwszy ujawnił ten agencyjny „*narcotrade*” dziennikarz Gary Webb. Kilka lat później znaleziono go martwego, mimo że przed śmiercią był zdrowy jak rydz. Według oficjalnego komunikatu: popełnił samobójstwo.

Z anonimowych czeluści jankeskich specsłużb dochodzą wyjaśnienia, że bruźdzenie przez nie Trumpowi jest działalnością patriotyczną, chodzi bowiem o powściągnięcie jego putinofilii, zmuszanie go do antykremlowskich deklaracji i działań. Zważywszy brudne (nie tylko narkotykowo) ręce tych „*patriotów*” — można mieć wątpliwość co do czystości ich intencji. Zdaje się, że kontrolsalonowy/kontrestablishmentowy werdykt elektoratu niezbyt im przypadł do gustu, dlatego torpedują demokrację za pomocą ćwiczonych latami „*dirty tricks*”, wedle starej dyrektywy „*deep state*”, którą megabankster, właściciel Chase Manhattan Bank, David Rockefeller, ujął we wszystko mówiący sposób: „*Demokracja demokracją, ale ktoś tym wszystkim musi rządzić*”. Postobamowski specsłużby najwyraźniej nie bardzo chcą, by „*tym wszystkim*” rządził prezydent Donald Trump. ©©

Waldemar Łysiak

Pakiet Prąd i Gaz **PGNiG**

Recepta na najtańszy prąd na rynku

Zamów telefonicznie,
online lub przyjdź do nas:



Zadzwoń do nas!
801 800 234***



Odwiedź naszą stronę!
pgnig.pl



Przyjdź do nas!
Biuro Obsługi Klienta



* Badanie cen prądu na podstawie porównywarki dostępnej na enerad.pl z dnia 20.02.2017

** Cena gazu niższa o 6% w odniesieniu do poprzedniej taryfy nr 4. Szczegóły na pgnig.pl

*** Opłata zgodna z taryfą operatora